CZWARTA FALA
Jak poczuć się bezpieczniej

OKNA ŻYCIA
Ratunek czy przeżytek

ORGANISTKI
Wchodzą do gry

PTASI LOS
Szare jest piękne

GORĄCZKA ZŁOTA
Kto w Afryce liczy na łut szczęścia

Kraków 5 września 2021 nr 36 (3765) cena 9 zł (w tym 8% VAT)

TYGODNIK POWSZECHNY

Katolickie pismo społeczno-kulturalne www.TygodnikPowszechny.pl

Ludzie na granicy

Wracamy do świata zasieków.

To sprawdzian naszego państwa i naszego człowieczeństwa

W NUMERZE
DODATEK
NAGRODA POLIN 2021

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY

OPEN SOUND

_scena_młodych
_wokalistów
_nowy_cykl
_koncertów

13/09/2021

Bovska

koncert sauté

MAZOWIECKI INSTYTUT KULTURY
ul. Elektoralna 12 / Start: godz. 19.00 / Bilety: 25 zł / Dostępne: w kasie MIK i na www.mik.waw.pl

Organizator:

Patroni medialni:

Z uwagi na pandemię koncert może mieć zmienioną formułę, prosimy o śledzenie informacji na www.mik.waw.pl

REKLAMA

REKLAMA

FESTIWAL LITERACKI
ZNACZENIA

Wołomin 11 września
Warszawa 12 września, 2021

10.00 – 11.30/ tereny leśne wokół Wołomina
Tajemnice owadów - przyrodnicza wycieczka rowerowa z Profesorem Tomaszem Mokrzyckim

12.00 – 13.00/ Miejski Dom Kultury
Małe podróże. Filmy animowane dla dzieci

13.15 – 14.30/ Miejska Biblioteka Publiczna
Dzika przyroda wokół nas - spotkanie dla dzieci z Marcinem Kostrzyńskim („Marcinem z lasu")

14.30 – 16.00/ Miejska Biblioteka Publiczna
Uroczyste otwarcie festiwalu - **Ucieczki Szymborskiej i Filipowicza** - prelekcja Justyny Sobolewskiej

16.00 – 16.30/ Miejska Biblioteka Publiczna
Wernisaż wystawy Zbigniewa Rogalskiego

16.00 – 17.00/ Przystanek W
Z odwagą zahaczać o uwagę - spotkanie z autorkami debiutów poetyckich: Agatą Puwalską i Patrycją Sikorą.

17.00 – 18.30/ Mała Huta
Krajobrazy i inne widoki - debata z udziałem Julii Fiedorczuk, Miry Marcinów i Jana Mencwela. Prowadzi - Maciej Jakubowiak

18.45 – 19.30/ Miejski Dom Kultury
Kino rowerowe - „Boy and bicycle" (reż. Ridley Scott), „Koncert życzeń" (reż. Krzysztof Kieślowski). Wstęp: Michał Matuszewski.

20.00 – 21.00/ Miejska Biblioteka Publiczna
Spotkanie z laureatem Jakubem Kornhauserem - wręczenie nagrody i rozmowa Zofia Król i Urszuly Zajączkowskiej z laureatem

21.00 – 22.00/ Miejska Biblioteka Publiczna
Koncert zespołu **Muzyka Końca Lata**

Warszawa 12.09/ 17.00 – 18.30 Start: ul. Elektoralna 12
Znaleźć rytm - eksperymentalna jazda przez miasto z Filipem Springerem i Jakubem Kornhauserem.

Warszawa 12.09/ 19.00 – 20.30 Mazowiecki Instytut Kultury
Premie górskie najwyższej kategorii - z Jakubem Kornhauserem rozmawia Filip Springer

znaczenia.pl

ORGANIZATORZY

PATRONAT
Burmistrz Wołomina Elżbieta Radwan

WSPÓŁORGANIZATOR
Gmina Wołomin

PARTNER GŁÓWNY

KS. ADAM

Boniecki: *Na wysokości wsi Usnarz Górny*

Dotąd tylko raz w życiu spędziłem całą noc przed telewizorem. To było we Włoszech, w latach osiemdziesiątych. Byłem wtedy jednym z tysięcy widzów śledzących z zapartym tchem akcję ratowania dziecka, które wpadło do studzienki kanalizacyjnej. To była jakaś wredna studzienka. Początkowo można było utrzymać głosowy kontakt z dzieckiem, ale wciąż się nie udawało do niego dotrzeć. Potem już była cisza. Nad ranem obserwowana przez tysiące ludzi akcja okazała się daremna, tam pod ziemią dziecko zmarło. To, co się dzieje w lesie na granicy białorusko-polskiej na wysokości wsi Usnarz Górny, przypomina mi tamtą noc. My, tysiące ludzi, bezsilnie obserwujemy akcję. Jak wtedy, choć nie całkiem tak, bo tam wszystko, także deliberacje „co robić?", działo się przed kamerami, a tu aż takiego wglądu ani wiedzy o próbach ratowania ludzi nękanych przez deszcz, zimno, głód i choroby nie mamy. Ale ta okropna historia trwa. I to nie jest spektakl.

Padają ważkie słowa. Biskupi diecezjalni oświadczyli, że „tym, którzy uciekają przed prześladowaniami, winniśmy okazać postawę chrześcijańskiej gościnności, z zachowaniem obowiązującego prawa, gwarantującego bezpieczeństwo zarówno uchodźcom, jak i społeczności przyjmującej" oraz że „oczekują od państwa i samorządów wypracowania właściwych dla naszej sytuacji mechanizmów pomocy uchodźcom, które będą mogły być wsparte zaangażowaniem Kościoła w Polsce". Ksiądz prymas prosił i wzywał przedstawicieli wszystkich sił politycznych, „aby kierując się postawami gościnności, szacunku wobec przybyszów i dobra wspólnego wszystkich Polaków" solidarnie szukali „właściwych rozwiązań skomplikowanych problemów migracyjnych". Siostra Małgorzata Chmielewska była konkretna: koczujących przy granicy trzeba stamtąd zabrać, otoczyć opieką, umieścić w ośrodku dla imigrantów i poddać wszystkim procedurom imigracyjnym, ale „nie wolno patrzeć spokojnie na cierpienie uchodźców, kiedy możemy im pomóc". Bo „nie może być tak, że wygrywa zły, a w tym momencie wygrywa zły, kosztem tych nieszczęsnych ludzi. To jest dla mnie po prostu nie do przyjęcia i myślę, że nie tylko dla mnie" – powiedziała siostra Małgorzata. Donald Tusk z kolei wyraził oburzenie wypowiedzią wicepremiera Piotra Glińskiego, że Polska „obroni się" przed ewentualną falą uchodźców z Afganistanu. „To tak, jakby ci ludzie nam wojnę wypowiedzieli. To są biedni ludzie, którzy szukają swojego miejsca na ziemi, i nie trzeba robić takiej obrzydliwej, ponurej propagandy, wymierzonej w migrantów, bo to są ludzie, którzy potrzebują pomocy". Premier Morawiecki – jak słyszymy – wysłał transport z pomocą dla koczujących na wysokości wsi Usnarz Górny, ale transport nie został dopuszczony, jak niedopuszczony został ksiądz Wojciech Lemański, który też chciał tamtym ludziom pomóc. Jeśli w nocnej akcji we Włoszech było dokładnie wiadomo, o co chodzi, i towarzyszyła jej serdeczna solidarność obserwatorów, to tu mamy sytuację, którą widzowi niełatwo jest zrozumieć. Jej zawiłości z właściwą sobie precyzją wyjaśnia Marcin Żyła w tym numerze.

Gdy piszę te słowa, nie wiadomo, jaki będzie finał tego dramatu, wiadomo jednak, że budowanie zasieków z drutu kolczastego i wzmocnione posterunki nie powstrzymają wzbierającej fali imigrantów. Zamiast pracować nad eskalowaniem strachu, lepiej byśmy zrobili, przygotowując się na spotkanie z nimi. Przygotowując odpowiednie struktury, a także przygotowując Polaków na ich obecność. Jak słyszeliśmy, Kościół deklaruje w tym swoje zaangażowanie. ©℗

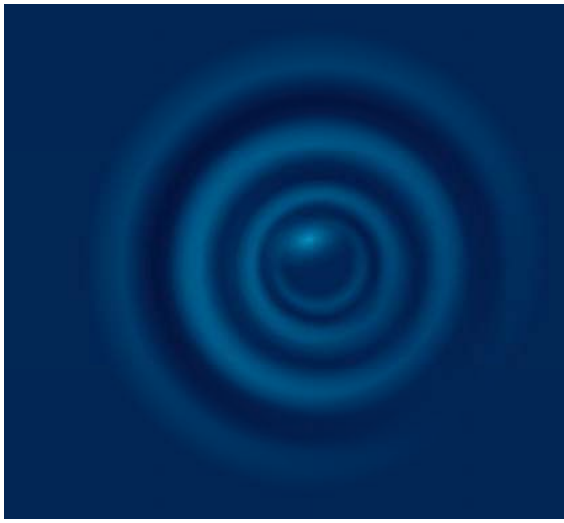

Głusi w Polsce
Niewysłuchana mniejszość

Bohaterami tekstów Anny Goc są osoby głuche, które posługują się polskim językiem migowym (PJM), a język polski jest dla nich językiem obcym. Jak się im żyje w naszym kraju? Czy ich prawa są respektowane? Na czym polega audyzm, czyli dyskryminacja osób głuchych? Kim są Głusi przez duże „G" i co się kryje za hasłem „duma z bycia Głuchym"?

Czytaj w specjalnym serwisie powszech.net/niewysluchani

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

20 Przełamując falę
PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK, ANESTEZJOLOG:
Myślę, że dostrzeżemy ją w połowie września. A mierzymy się z niemal doskonałą mutacją koronowirusa, bardziej zakaźną, która potrafi przełamać barierę ochronną.

38 Ludzie, nie traćcie czasu
KATARZYNA WOLIŃSKA, BOHATERKA KSIĄŻKI SYLWII STANO „OTO JEST KAŚKA":
Skoro są osoby, które marnują część swojego życia, żeby atakować moje, to widocznie jestem w ich oczach kimś ważnym. Nawet mi to pochlebia.

44 Organistki
MARCIN CHODUŃ
Choć z tego zawodu w Polsce nie jest łatwo utrzymać rodzinę, za organowymi kontuarami można spotkać coraz więcej kobiet.

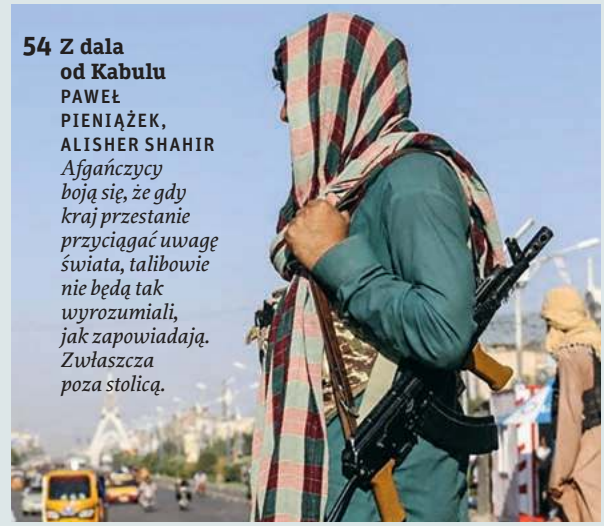

54 Z dala od Kabulu
PAWEŁ PIENIĄŻEK, ALISHER SHAHIR
Afgańczycy boją się, że gdy kraj przestanie przyciągać uwagę świata, talibowie nie będą tak wyrozumiali, jak zapowiadają. Zwłaszcza poza stolicą.

94 Mazurek Pinowskiego
ROZMOWA Z JANEM PINOWSKIM, ORNITOLOGIEM:
U proboszcza w Radzyminie mama kupiła mi skuter. Brałem siatki, drabinę, samczyka na wabia i jechałem w teren. Obrączkowałem tysiące ptaków.

79 Więc idziem żyć
DARIUSZ KOSIŃSKI
Pytanie o polską tradycję romantyczną powinno być stawiane właśnie dziś, wobec pedagogiki i propagandy mającej przygotować kolejne pokolenia naszych dzieci do spektakularnego samobójstwa patriotycznego.

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM // KATARZYNA WOLIŃSKA / INSTAGRAM PUDELIJA // MIR AHMAD FIROOZ MASHOOF / AFP/ EAST NEWS // GRZEGORZ OLKOWSKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS // MARKO KONIG / B&EW // JACEK TARAN

6 Kryzys Bidena
MARTA ZDZIEBORSKA

7-11 Obraz tygodnia

18-19 Czytania / Widzenia
ABP GRZEGORZ RYŚ
MAŁGORZATA KORDOWICZ
O. WACŁAW OSZAJCA
PIOTR SIKORA

■ ■ KRAJ

20 Przełamując falę
ROZMOWA Z PROF. WOJCIECHEM SZCZEKLIKIEM, ANESTEZJOLOGIEM

24 Orlęta w potrzasku
MARIUSZ SEPIOŁO *o synach afgańskiego generała, którzy studiują na wojskowej uczelni w Dęblinie*

27 Po drugiej stronie szyby
PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI: *Okna życia – ratunek czy przeżytek?*

■ ■ ROZMOWA

38 Ludzie, nie traćcie czasu
ROZMOWA Z KATARZYNĄ WOLIŃSKĄ I SYLWIĄ STANO

■ ■ WIARA

44 Organistki
MARCIN CHODUŃ

48 Zakładnik państwa
ROZMOWA Z O. WIESŁAWEM DAWIDOWSKIM, KONSULTOREM RADY EPISKOPATU DS. MIGRACJI, TURYSTYKI I PIELGRZYMEK

50 Etap wstydu
AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ: *Amerykańskie zakonnice podjęły proces rozliczania się z udziału w systemowym rasizmie*

■ ■ ŚWIAT

54 Z dala od Kabulu
PAWEŁ PIENIĄŻEK, ALISHER SHAHIR

TEMAT TYGODNIKA

JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

12 Ludzie na granicy
MARCIN ŻYŁA
Ich przyjęcie nic by Polskę nie kosztowało. Ale wtedy Białoruś wykorzystałaby kolejnych. Na naszej wschodniej granicy rozgrywa się dramat konkretnych osób i coś, co poza ten dramat wykracza.

■ DODATEK SPECJALNY ■

31 Nagroda Polin 2021

■ FELIETONY ■

30 JACEK PODSIADŁO **53** WOJCIECH BONOWICZ
70 HANNA KRALL **92** JAN KLATA **93** PAWEŁ BRAVO
98 STANISŁAW MANCEWICZ
98 BARTOSZ MINKIEWICZ

OKŁADKA: MAREK ZALEJSKI
Redaktorka prowadząca: ANNA GOC

58 Rosyjska ulica Izraela
MAREK MATUSIAK: *Po roku 1990 do państwa żydowskiego przybyło około miliona Żydów*

62 Złoty interes
ALEXIO RASHIRAI Z HARARE, WOJCIECH JAGIELSKI: *Mieszkańcy Zimbabwe i połowy Afryki zapadli na gorączkę złota*

■ ■ HISTORIA

66 Trzy hektary udręki
ANNA WYLEGAŁA: *77 lat temu komuniści uchwalili dekret o reformie rolnej. Jak ta reforma wyglądała w oczach samych chłopów?*

■ ■ NAUKA

74 Jak pobudzić neurony
ŁUKASZ KWIATEK: *Czemu zawdzięczamy nasz edukacyjny sukces?*

■ ■ KULTURA

79 Więc idziem żyć
DARIUSZ KOSIŃSKI

82 Dobra wiadomość, zła wiadomość
BARTOSZ HLEBOWICZ *o Louise Erdrich, laureatce Nagrody Pulitzera*

85 Nieludzkie imaginarium
MACIEJ TOPOLSKI: *Zaraz po wypowiedzeniu przez Wielką Brytanię wojny III Rzeszy miała miejsce masakra. Ponad 400 tysięcy psów i kotów zostało uśmierconych przez właścicieli*

88 Starość maskotki
ANITA PIOTROWSKA *o filmie „Najpiękniejszy chłopiec na świecie”*

92 Rozmowy istotne
LEKTOR *o książce Philipa Rotha „Mistrzowie. Spotkania z twórcami”*

■ ■ WAKACJE

94 Mazurek Pinowskiego
ROZMOWA Z JANEM PINOWSKIM, ORNITOLOGIEM

TYGODNIKPOWSZECHNY.PL

Rosyjska ruletka
Teatr Sowriemiennik płynął pod prąd, omijał rafy cenzury, czasem dryfował, ale zawsze wracał na kurs opowiadania Rosjanom o nich samych. Teraz jeden z jego spektakli znika z afisza
– pisze **ANNA ŁABUSZEWSKA** **tygodnikpowszechny.pl/rosyjskaruletka**

Własny Pokój [Podkast Powszechny]
Słowo „ustąp” pamiętam bardzo wyraźnie: „ustąp głupszemu, bo sobie nie poradzi”, „ustąp mądrzejszemu, bo to jest jego miejsce”. To „ustąp” jest we mnie cały czas – opowiada **BARBARA SADURSKA**, pisarka i prawniczka **powszech.net/podkast**

/TYGODNIKPOWSZECHNY ■ /TYGODNIK ■ /TYGODNIK ■ YouTube /TYGODNIKPOWSZECHNY

OBRAZ TYGODNIA

KRYZYS BIDENA

Wycofanie wojsk do końca sierpnia miało być symbolicznym domknięciem 20 lat operacji USA w Afganistanie. Stało się wizerunkową kompromitacją prezydenta.

MARTA ZDZIEBORSKA

„Gdzie jest Joe Biden?" – to pytanie krążyło na Twitterze wśród ludzi czekających na reakcję prezydenta, gdy w zamachu na kabulskim lotnisku zginęli Afgańczycy i Amerykanie [patrz dział Świat – red.]. Gdy Biden wreszcie zabrał głos, nie zabrakło mocnych słów, porównywanych do tych George'a W. Busha po atakach na WTC w 2001 r. „Nie zapomnimy, nie wybaczymy, będziemy was ścigać i sprawimy, że zapłacicie za to" – mówił Biden. Wkrótce potem amerykański dron zabił dwóch dowódców Państwa Islamskiego Prowincji Chorasan (IS-Ch), które wzięło odpowiedzialność za zamach. W niedzielę zabito kolejnego zamachowca, planującego atak na lotnisko.

Te zdecydowane działania zdają się kontrastować z mową ciała Bidena: pod koniec przemowy w Białym Domu, zrezygnowany oparł głowę na rękach, słuchając zarzutów jednego z dziennikarzy. Prezydenta, krytykowanego za chaotyczną ewakuację z Afganistanu, nie oszczędzają nawet przychylne dotąd media: wytykano mu kłamstwa, gdy np. twierdził, że nie dostał ostrzeżeń przed błyskawicznym zajęciem Kabulu przez talibów; że obywatele USA nie mają trudności z dotarciem na lotnisko, i że w Afganistanie „nie ma już Al-Kaidy" (według ONZ obecna jest w 15 z 34 afgańskich prowincji).

Kryzys – co najmniej wizerunkowy – Bidena wykorzystują Republikanie. Tuż po za-

„Kocham moją pracę" – napisała Nicole Gee (z lewej, bez hełmu) pod tym opublikowanym na Instagramie zdjęciem, na którym trzyma w ramionach afgańskie dziecko. Kilka dni później Gee, żołnierka US Marines, zginęła w zamachu na kabulskim lotnisku. Kabul, 20 sierpnia 2021 r.

machu na kabulskim lotnisku członkowie tej partii wezwali prezydenta do rezygnacji z urzędu (według kongresmenki Elise Stefanik „ma krew na rękach"), a niektórzy żądali wszczęcia wobec niego procedury impeachmentu. Bidena krytykują też Demokraci, ale raczej w kuluarach. Według „Washington Post" nie brakuje głosów, że Pentagon zbyt mocno polegał na talibach w kwestii ochrony lotniska w Kabulu; pojawiły się też propozycje, by za ten kryzys zapłacił dymisją sekretarz stanu Antony Blinken albo doradca ds. bezpieczeństwa Jake Sullivan.

Przed przyszłorocznymi wyborami do Kongresu Demokraci boją się, że ostatnie wydarzenia trwale nadszarpną wizerunek Bidena jako stabilnego lidera, co może odstraszyć umiarkowanych wyborców, kluczowych dla utrzymania przez nich przewagi w obu izbach parlamentu. Sondaże budzą ich niepokój: według Gallupa poparcie dla prezydentury Bidena wynosi 49 proc., o 7 punktów mniej niż w czerwcu. Przebieg ewakuacji z Afganistanu pozytywnie ocenia tylko jedna czwarta respondentów.

Zawiedli się również ci, którzy wierzyli w szybką odbudowę przywództwa USA w świecie. Biden rozczarował działaniem w Afganistanie bez konsultacji z sojusznikami i odpornością na apele, by przedłużyć obecność militarną w Kabulu po 31 sierpnia (do tego czasu nie było możliwe wywiezienie wszystkich Afgańczyków, których powinna objąć pomoc). Pojawiły się też pytania, czy w obecnej sytuacji tacy sojusznicy jak Japonia i Korea Południowa mogą polegać na gwarancjach bezpieczeństwa USA. Choć Biden uspokaja, że jest „fundamentalna różnica" między Afganistanem a krajami Indo-Pacyfiku, w tych ostatnich pojawiają się apele o zwiększenie wydatków na obronność. Oliwy do ognia dolewają chińscy oficjele, sugerujący, że USA są po prostu słabe.

Trudno ocenić, czy ten kryzys przełoży się długofalowo na pozycję Bidena w kraju i za granicą. Jedno jest pewne: temat Afganistanu szybko nie zniknie. Bo jak ostrzega Leon Panetta, były sekretarz obrony, prędzej czy później Stany muszą rozprawić się z IS-Ch: „Możemy zostawić pole bitwy, ale walka z terroryzmem się nie skończyła". ©

SGT. ISAIAH CAMPBELL / U.S. MARINE CORPS / AP / EAST NEWS

Platforma szuka pomysłu na przyszłość

PAWEŁ BRAVO

Campus Polska Przyszłości miał być – przynajmniej na pewnym etapie przygotowań – pomysłem na to, żeby dać nowy pokoleniowy impuls inicjatywie, którą Rafał Trzaskowski ogłaszał mniej więcej rok temu. Potem przez kilka miesięcy czynił kroki (nie zawsze konsekwentne), by stworzyć obok Platformy osobny „hub" działań obywatelskich, bazujący na porozumieniu samorządowców. Ten byt mógł, ale nie musiał się zamienić w zalążek nowej partii, gdyby prezydentowi Warszawy opłacał się kiedyś rozwód z PO. Wizerunek wciąż świeżego i nie tak silnie sklejonego z zasiedziałą partią polityka, jaki ma Trzaskowski, plus rozmach organizacyjny pozwalał się spodziewać w Olsztynie czegoś więcej niż rytualny zlot młodzieżówki.

Ale przetasowania w PO po nagłym przejęciu jej sterów ponownie przez Donalda Tuska sprawiły, że medialnie nośna część imprezy, czyli jej inauguracja, stała się jednoosobowym *show* byłego premiera, któremu prezydent Warszawy mógł sekundować w roli ewentualnie „dbającego o przyszłość". Tusk użył olsztyńskiego podium, by zwrócić się z wyważonym przekazem do o wiele szerszego – i starszego – audytorium w obecnie najbardziej palącej sprawie dotyczącej granic oraz w paru innych chwilowo drugoplanowych, ale dość zapalnych (np. związki partnerskie). A potem obiecał w dwa-trzy lata „pogonić tych, którzy z polskiej polityki czynią piekło", aby te miejsca się „dla was zwolniły". Co było oczywistym zwodem retorycznym, bo takie campusy to nie kuźnia kadr. Jeśli będą się odbywać stale i zachowają bogaty program wykraczający poza występy liderów, mogą sprzyjać powstaniu warstwy wyrobionych politycznie 30-latków, gotowych wchodzić do instytucji oraz stanowić zaplecze mentalne partii. Takie, jak się zdaje, zadanie dostał w ramach podziału pracy Trzaskowski – pytanie, czy będzie umiał w tym wytrwać. ©℗

Czerwone ekierki kontra minister z liniałem

TAKICH IGRZYSK nie było od czasów zarządzającego oświatą za pierwszych rządów PiS Romana Giertycha. Przez niemal 14 lat od jego ustąpienia w resorcie edukacji (a od niedawna także nauki) obowiązywał raczej sznyt urzędniczy – kolejni ministrowie coś realnie zmieniali bądź tylko oświatą administrowali, byli kompetentni bardziej lub mniej, ale własnych ambicji politycznych raczej nie realizowali (co widać też po ich dalszych losach – Ryszard Legutko, Katarzyna Hall czy Anna Zalewska nie weszli do pierwszej politycznej ligi). Aż do gabinetu przy alei Szucha wprowadził się Przemysław Czarnek.

Bilans ministra, którego nominacja nastąpiła ledwie 10 miesięcy temu, jest u progu nowego roku szkolnego imponujący. Zideologizował temat oświaty w skali niespotykanej w III RP, faktycznie zwieńczył – rozpoczęte przez poprzedników – dzieło zastraszania szkolnych społeczności chcących wprowadzać jakiekolwiek zajęcia dodatkowe. Zapowiedział i być może uda mu się wdrożyć groźne zmiany ograniczające autonomię szkół i organów je prowadzących: jeśli pomysły Czarnka wejdą w życie, posłuszni PiS kuratorzy uzyskają znacznie większą władzę nad placówkami.

Taki urzędnik to dla PiS skarb: minister-piorunochron, który wszystkie wyładowania przyjmuje na siebie, odciągając uwagę od problemów (pandemiczny kryzys szkolny, nierówności edukacyjne, odejścia z zawodu nauczyciela). Ale Czarnek może paradoksalnie przysłużyć się rozproszonym dotąd ośrodkom buntu przeciw autorytarnym porządkom w oświacie. Choćby ruszającej właśnie kampanii „Wolna Szkoła", której udało się – pod hasłem wyzwolenia edukacji i pod symbolem czerwonej ekierki – połączyć siły kilkudziesięciu liczących się organizacji (minister Czarnek zdążył je już *en bloc* ochrzcić „lewackimi").

Tego rodzaju akcje w ostatnich latach kończyły się niepowodzeniami: brakowało wyrazistej idei, charyzmatycznych liderów, organizacyjnej konsolidacji, ale też – powiedzmy sobie szczerze – społecznej energii wykraczającej poza „bańki" nawet najbardziej znanych organizacji pozarządowych. Jeśli tym razem się uda, będzie to spory sukces. Którego mimowolnym współautorem będzie mógł się poczuć minister Czarnek.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Skoczyć na Pocztę

MAREK RABIJ

Poczta Polska nie zapewnia właściwej jakości powszechnych usług pocztowych – podkreśla w najnowszym reporcie Najwyższa Izba Kontroli. Inspektorzy wskazują m.in. na opóźnienia w dostarczaniu przesyłek, rosnące ceny oraz fakt, że w małych miejscowościach dostęp do powszechnych usług pocztowych, gwarantowany obywatelom przez państwo, jest tylko pustym hasłem. Poczta Polska wygrała konkurs na operatora takich usług w latach 2016-2025 i musi utrzymywać w całym kraju placówki czynne co najmniej przez pięć dni w tygodniu – nawet na terenach słabo zaludnionych.

Listę zarzutów NIK warto jednak rozszerzyć. Poczta praktycznie bez walki oddaje bowiem pole prywatnej konkurencji – zwłaszcza w strategicznym sektorze usług kurierskich. W 2020 r. operatorzy działający w tym segmencie rynku zwiększyli przychody łącznie aż o 1,7 mld zł w stosunku do 2019 r. (o 33 proc. rok do roku). Wskutek lockdownu, który zaostrzył popyt na zakupy w sieci, liczba przesyłek kurierskich wzrosła o 196 mln sztuk w stosunku do 2019 r. – czyli blisko o 45 proc. Na tak szybko rosnącym rynku Poczta Polska zdołała tymczasem jedynie obronić swoje udziały. Pomimo kolejnych zapowiedzi przejścia do kurierskiej ofensywy od lat jest na trzecim miejscu, obecnie za prywatnym InPostem i DPD. Przychody narodowego operatora pocztowego spadły w ub. roku z 6,7 do niespełna 6,4 mld zł. Poczta właściwie nie zmieniła też liczby placówek (7,6 tys.), podczas gdy reszcie operatorów przybyło ich aż o 12,9 proc.

Kontrola NIK i cytowane wyżej dane z raportu Urzędu Komunikacji Elektronicznej składają się więc na smutny obraz firmy, która na życzenie państwowego właściciela zamienia się w coraz mniej potrzebną podatnikom sieć sklepików z prasą i dewocjonaliami. ©℗

KRAJ W SKRÓCIE

ZNACZKI
Z informacji „Rzeczpospolitej" wynika, że min. Jacek Sasin zdecydował o wypuszczeniu przez Pocztę Polską znaczka upamiętniającego 30-lecie Radia Maryja, wcześniej filateliści otrzymają kolekcję z okazji beatyfikacji Stefana Wyszyńskiego i Elżbiety Czackiej oraz znaczki z Matką Bożą Elekcyjną – nie będzie za to znaczków z okazji Konkursu Chopinowskiego.

ZNACZENIA
Wygląda na to, że minister Sasin wyważył dobra, podobnie jak Andrzej Duda, który podczas wystąpienia w Stalowej Woli wytłumaczył, dlaczego podpisał ustawę umożliwiającą odebranie Lasom Państwowym terenów pod budowę fabryki samochodów elektrycznych. „W każdej sytuacji trzeba wyważyć dobra – wziąść [wymowa oryginalna – red.] jedno dobro, wziąść drugie dobro i ocenić, które z nich ma w danym, konkretnym przypadku ważniejsze znaczenie" – powiedział prezydent.

ZAZNACZENIE
Dobra wyważyła również „Gazeta Wyborcza", zamieszczając okładkową rozmowę z Jarosławem Gowinem. „Jarek, oszukałeś mnie" – brzmi jej kluczowy cytat.

ZMIANY
Jarkiem jest oczywiście prezes PiS, Jarosław Kaczyński – a ważenie dóbr w jego wydaniu oznacza zaplanowaną na wrzesień rekonstrukcję rządu. Min. Sasin z pewnością może spać spokojnie.

RDC POLSKIE RADIO

MACIEJ TOPOLSKI opowie Grzegorzowi Chlaście o fotografiach zwierząt z czasów II wojny światowej (tekst na s. 85). Słuchaj w środę 1 września o godzinie 7.30 w Polskim Radiu RDC. Audycję można także odsłuchać w podkastach na stronie internetowej radia. Warszawa 101 FM | Ostrów Maz. 87,6 FM | Radom 89,1 FM | Ostrołęka 100,8 FM | Płock 101,9 FM Siedlce 103,4 FM oraz na Mazowszu i w Warszawie – **www.rdc.pl**

Neurologia w potrzebie

CO TRZECI EUROPEJCZYK przynajmniej raz w życiu doświadcza chorób neurologicznych, są one jedną z głównych przyczyn niepełnosprawności i skrócenia życia – alarmuje raport „Stan polskiej neurologii i kierunki jej rozwoju" sporządzony przez środowisko neurologów i specjalistów zdrowia publicznego. Publikacja, nieoficjalnie znana jako „Biała księga neurologii", zostanie zaprezentowana w połowie września podczas zjazdu Polskiego Towarzystwa Neurologicznego.

„Ze względu na przewlekły charakter, przebieg i następstwa, schorzenia neurologiczne będą stanowiły coraz większe obciążenie dla systemu ochrony zdrowia, pomocy społecznej i całej gospodarki" – przestrzegają autorzy. Pandemia pogłębiła problem: lekarze obawiają się zapaści zdrowotnej wielu pacjentów ze względu na utrudniony dostęp do opieki (30-procentowy spadek przyjęć do szpitali z udarem). Ponadto powikłania neurologiczne (m.in. mgła mózgowa) są najczęstszymi z tych powodowanych przez covid.

Tymczasem trwa kryzys kadrowy: niektóre szpitale mają kłopoty z obsadzeniem dyżurów, inne zawieszają bądź zamykają oddziały. A według prognoz liczba hospitalizacji na oddziałach neurologii wzrośnie z 326 tys. w 2018 r. do 361 tys. w 2031 r. To ostatni dzwonek na wprowadzenie neurologii na listę priorytetów zdrowotnych państwa – wzywają eksperci. Trzeba nie tylko kształcić nowych specjalistów, ale także zintegrować placówki w sieć, refundować nowoczesne metody leczenia, zwiększyć wyceny porad i „podnieść czujność neurologiczną" dzięki społecznym kampaniom edukacyjnym. ©℗ MACIEJ MÜLLER

Psycholog na każdej porodówce

ZATRUDNIENIE PSYCHOLOGA na przynajmniej pół etatu będzie obowiązkiem wszystkich oddziałów ginekologiczno-położniczych w szpitalach I i II stopnia referencyjności, czyli na oddziałach, w których odbiera się porody naturalne i niepowikłane. Ministerstwo Zdrowia przekazało właśnie do konsultacji projekt rozporządzenia, które wprowadza nowe wymogi.

Zmiana, której od lat domagały się m.in. organizacje zabiegające o podwyższenie standardów opieki okołoporodowej i Rzecznik Praw Pacjenta, to efekt krytycznego raportu NIK z lutego, w którym opisano, jak wygląda opieka nad pacjentkami w przypadkach poronień i tymi, które urodziły martwe dziecko. Skontrolowano wtedy 37 szpitali z siedmiu województw – żaden nie zapewniał wystarczającej opieki kobietom, blisko 35 proc. z nich nie miało możliwości, by skorzystać z pomocy psychologa. Personelowi szpitali często brakowało umiejętności rozmowy z pacjentką, a psychologowie, jeśli już w szpitalach byli, to na zasadach współpracy, zatrudnieni najczęściej na podstawie umów cywilno-prawnych.

Skala osób, które potrzebują takiej pomocy, jest zaś bardzo duża: w Polsce w latach 2017-19 co roku ok. 1700 kobiet rodziło martwe dziecko, a u ok. 40 tys. ciąża kończyła się poronieniem. ©℗ EWELINA BURDA

NEWSCOM / PAP

W TOKIO trwają Letnie Igrzyska Paraolimpijskie, w których bierze udział blisko setka reprezentantów Polski. Do chwili zamknięcia tego numeru nasi sportowcy z niepełnosprawnościami zdobyli kilkanaście medali – w tym Patryk Chojnowski złoto w tenisie stołowym, Róża Kozakowska w rzucie maczugą (jej historię: ofiary przemocy domowej, zapowiadającej się w młodości na świetną sprinterkę i dotkniętej paraliżem w wyniku neuroboreliozy, w ostatnich dniach opisują media całego świata), a Piotr Kosewicz w rzucie dyskiem. Na zdjęciu: reprezentujący Egipt Ibrahim Elhusseiny Hamadtou podczas turnieju tenisa stołowego. Tokio, 25 sierpnia 2021 r. ©℗ MO

Rosną szeregi „zagranicznych agentów”

ANNA ŁABUSZEWSKA

Rosyjskie władze nie ustają w staraniach dociśnięcia wentyli w życiu społecznym i politycznym. Kaganiec nałożony wiele lat temu na media miał zapewnić Kremlowi dominację na rynku informacji i publicystyki. Pozostawiono jedynie wysepki niezależnych tytułów o niewielkich nakładach. Za zbyt śmiałe publikacje opozycyjne media są karane wysokimi grzywnami.

Od przykręcenia kurka z informacją minęło prawie 20 lat, przez ten czas życie nie stało w miejscu: powstały nowe kanały przekazu, media społecznościowe, wykształciły się też nowe metody pracy dziennikarskiej i pozyskiwania środków na działalność medialną. Kreml też bierze na warsztat nowe metody – jedną z nich jest nadawanie przez ministerstwo sprawiedliwości statusu „zagranicznego agenta” tym mediom, które nie realizują linii władzy.

Niedawno ministerstwo uzupełniło listę owych „agentów” o dwie znamienne pozycje: internetową telewizję Dożd’ (TV Rain) i portal Ważnyje Istorii (Ważne Historie), dla którego pracują dziennikarze śledczy, docierający m.in. do ukrywanych przez elitę rządzącą kont i nieruchomości.

TV Dożd’ istnieje od 11 lat, przebija się ze swoim przekazem do użytkowników internetu. Nie ma wsparcia potężnych reklamodawców, utrzymuje się z patronatu i wpłat subskrybentów. Prowadzi samodzielną politykę redakcyjną, stara się pokazywać bez cenzury treści pomijane przez media obsługujące Kreml. Na jej antenie wypowiadają się eksperci, którzy nie mają wstępu do telewizji państwowej z uwagi na niezależną pozycję. W styczniu br. stacja prowadziła relacje z protestów ulicznych w obronie aresztowanego Aleksieja Nawalnego. Nawalny, który od ponad 200 dni odsiaduje karę orzeczoną w sfingowanym procesie, w rocznicę swego otrucia nowiczokiem udzielił wywiadu, ale nie rosyjskiej gazecie (której zapewne udaremniono by jego zamieszczenie), lecz „Washington Post”.

Za niespełna miesiąc ma zostać wyłoniony nowy skład Dumy Państwowej. Jakikolwiek przekaz, który nie jest zatwierdzoną przez Kreml dozwoloną wersją, nie powinien trafić do publiczności. ©℗

Osiem tysięcy ofiar NKWD

„SKALA POCHÓWKÓW w Odessie poraża. Groby są właśnie lokalizowane, liczba ofiar represji nie jest jeszcze podliczona, ale już można stwierdzić, że ten obiekt jest jednym z największych na Ukrainie” – napisał południowy oddział Instytutu Pamięci Narodowej tego kraju.

W trakcie poszukiwań w jednym z sektorów byłego obiektu specjalnego NKWD „Tatarka” znaleziono co najmniej 29 masowych grobów. Część mogił znajduje się prawdopodobnie też na terenie sąsiadującej z obiektem jednostki wojskowej i lotniska. Ludzkie szczątki spoczywają na głębokości 1,6 metra, przysypane warstwą ziemi i śmieci.

Jak wskazuje jeden z badaczy pracujących na miejscu, Ołeksandr Babicz, prawdopodobnie leżą tam mieszkańcy Odessy rozstrzelani podczas Wielkiego Terroru w latach 1937-1939, choć możliwe, że część mogił pochodzi też z lata-jesieni 1941, kiedy to przed ewakuacją Armii Czerwonej z miasta NKWD pospiesznie rozstrzeliwało więźniów politycznych. Historyk opublikował na Facebooku kilkanaście świadectw osób, które pracowały na tym terenie w latach powojennych. „Gdy kopaliśmy rów pod przewód paliwowy, natknęliśmy się w dwóch miejscach na mogiły pełne ludzkich kości. Czaszki były przestrzelone z tyłu, niektóre zawierały kule jak z rewolweru. Natrafiałem też na buty – damskie, męskie, dziecięce” – zeznawał Mykoła Cyhankow, który pracował na odeskim lotnisku w latach 1962-1963 jako magazynier.

Publikacje o masowych grobach spotkały się z odzewem lokalnej społeczności. „Tam może być mój dziadek! W mieście zawsze mówiło się, że lotnisko wybudowano na trupach, ale latami nikt z tym nic nie robił!” – napisała mieszkanka Odessy.

Prace poszukiwawcze rozpoczęły się po ogólnokrajowym skandalu: władze miasta w lutym zaproponowały ten teren członkom kooperatywy garażowej w zamian za zajmowaną przez nich obecnie działkę, którą planowano przekazać lotnisku. © MONIKA ANDRUSZEWSKA

KOŚCIÓŁ W SKRÓCIE

BEATYFIKACJA
„Gdybyśmy mieli szukać wspólnego mianownika dla świętych, to można powiedzieć, że potrafili oni rozpoznać wolę Bożą i ją wypełniać w sytuacjach i w czasie, w jakim przyszło im żyć. Tak też było w życiu m. Elżbiety Czackiej i ks. kard. Stefana Wyszyńskiego" – napisali biskupi przed beatyfikacją założycielki Zakładu dla Ociemniałych w Laskach pod Warszawą i prymasa, która odbędzie się 12 września.

UNIWERSYTET HARVARDA / MATERIAŁY PRASOWE

WYBÓR
Kapelani różnych religii i wyznań Uniwersytetu Harvarda wybrali swego nowego prezydenta. Został nim 44-letni Greg Epstein (na zdjęciu), ceniony i lubiany duchowy opiekun studentów niewierzących lub nieutożsamiających się z żadną religią, ateista, autor książki „Dobro bez Boga". Będzie koordynował prace kapelanów przez kolejne 4 lata.

ROZWIĄZANIE
Watykan rozwiązał kolejne w ostatnim czasie (po Movimento Apostolico) stowarzyszenie religijne we Włoszech. Wspólnocie „Regina Pacis" z siedzibą w Weronie zarzuca się „brak oryginalności", niewiarygodny charyzmat, niekonsekwencje w tekstach duchowych, a także niekompetencje organizacyjne. Wstrzymany też został proces beatyfikacyjny jej założyciela – Alessandro Nottegariego (1943-1986).

Chrześcijaństwo nie jest sektą judaizmu

MAŁGORZATA KORDOWICZ

Naczelny Rabinat Izraela" brzmi dostojnie, zwłaszcza gdy spodziewamy się struktur paralelnych do Kościoła katolickiego. Tymczasem z punktu widzenia żydowskiej diaspory, Naczelnych Rabinów Izraela lepiej porównać do królowej angielskiej niż do papieża. Na fali wizyty Jana Pawła II w Izraelu została powołana przez Rabinat Komisja ds. dialogu międzyreligijnego. Jej obecny przewodniczący, rabin dr Racon Arusi, wyraził ostatnio zaniepokojenie przyszłością dialogu chrześcijańsko-żydowskiego, sugerując cofnięcie się do czasów przed Soborem Watykańskim II.

Wyrwane z kontekstu sformułowanie ze środowej papieskiej katechezy z 11 sierpnia (prawo „nie daje życia") brzmi jak mało pochlebna ocena praktyk wyznawców judaizmu. Mimo to nie widzę powodu, by obruszać się relacjonowaniem poglądów Pawła z Tarsu, który w liście do kościołów Galacji kładzie fundamenty pod chrześcijaństwo. Społeczność w Anatolii składa się przede wszystkim z nie-Żydów – czy ich droga do nowej wspólnoty ma wieść przez przestrzeganie Prawa? Paweł reprezentuje inne stanowisko niż Jakub, przywódca Kościoła w Jerozolimie, który jest za wiernością Torze. Opisany w Dziejach Apostolskich sobór jerozolimski ogranicza oczekiwania w stosunku do nieżydowskich konwertytów do z grubsza wypełniania tego, co Żydzi nazywają Prawami Noachidów. Ciekawa zbieżność: judaizm stoi na stanowisku, że to właśnie one, a nie Prawo, są wiążące dla nie-Żydów.

Odrzucenie obrzezania dorosłych – w świecie grecko-rzymskim poważna bariera dla rzesz zwolenników judaizmu – otwiera pole do wyjścia poza wspólnotę żydowską. Gdyby nie Paweł, chrześcijaństwo pozostałoby sektą judaizmu. To, co nas różni – np. postrzeganie Prawa – nie może stać się kamieniem obrazy. ©

Autorka jest rabinką w Gminie Wyznaniowej Żydowskiej w Warszawie.

Niezbędnik spowiednika

CZEGO OCZEKUJE, przychodząc do konfesjonału, osoba zraniona wykorzystaniem seksualnym, i jak spowiednik powinien z nią rozmawiać? Czy sprawca wykorzystania powinien otrzymać rozgrzeszenie, jeśli nie decyduje się na publiczne wyznanie winy i odmawia zgłoszenia się do organów ścigania? Kiedy osoba postronna staje się współwinna wykorzystaniu?

Odpowiedzi na te i wiele innych pytań zawiera opublikowana przez wydawnictwo WAM książka „Spowiednik wobec dramatu wykorzystania seksualnego. Poradnik". Oprócz omówienia konkretnych sytuacji publikacja zawiera wyciąg najważniejszych przepisów państwowych i kościelnych oraz adresy instytucji działających na rzecz osób dotkniętych przemocą seksualną.

Poradnik zamówiła i sfinansowała Fundacja Świętego Józefa Konferencji Episkopatu Polski przy współpracy Biura Delegata KEP ds. ochrony dzieci i młodzieży. Jego autorami jest dwóch współpracujących z fundacją księży: Tomasz Liszewski i Krzysztof Matuszewski. Vademecum jest częścią serii „ABC dobrych praktyk w zakresie ochrony dzieci, młodzieży, osób z niepełnosprawnością i bezradnych przed wykorzystaniem seksualnym w Kościele katolickim w Polsce". ©℗ ARTUR SPORNIAK

Świecki na Synod

EPISKOPAT.PL

PRZEDSTAWICIELEM KOŚCIOŁA w Polsce na rozpoczęcie procesu synodu o synodalności będzie człowiek świecki – prof. Aleksander Bańka. Mianował go przewodniczący KEP, abp. Stanisław Gądecki.

Rozpoczęcie procesu synodalnego będzie wydarzeniem symbolicznym – konkretna praca i rozstrzygnięcia przyjdą później. Symboliczny jest też skład przedstawicieli. Europę reprezentować będzie trzech biskupów i siedmioro świeckich – co zostało ustalone przez organizatorów synodu.

W polskim kontekście znamienny jest jednak wybór konkretnej osoby. Prof. Bańka jest ważną postacią ruchu Nowej Ewangelizacji, jednym z liderów Centrum Duchowości Ruchu Światło-Życie Archidiecezji Katowickiej, prowadzącego m.in. gromadzące tłumy charyzmatyczne Tyskie Wieczory Uwielbienia. Jednocześnie jest filozofem i teologiem oraz publicystą. Jego teksty można uznać za jeden z bardziej pogłębionych, samodzielnych i rozsądnych głosów polskiego środowiska charyzmatycznego. ©℗ PIOTR SIKORA

KULTURA W SKRÓCIE

LITERACI

Eseistka i historyczka sztuki Joanna Krakowska, poetka Natalia Malek, prozaik Waldemar Bawołek oraz tłumaczka Magda Heydel laureatami 16. edycji Nagrody Literackiej Gdynia. Ogłoszeniu werdyktu kapituły towarzyszył trwający cały tydzień Festiwal Miasto Słowa.

KOMPOZYCJE

Nagrodę im. Wojciecha Jerzego Hasa za niezależność twórczą otrzymał Mariusz Wilczyński, autor filmu „Zabij to i wyjedź z tego miasta". Wyróżnienie wręczono podczas Festiwalu Filmowego im. Krzysztofa Komedy. Za autora najlepszej muzyki filmowej uznano w tym roku Bartosza Chajdeckiego, za całokształt twórczości wyróżniono Andrzeja Korzyńskiego.

KANDYDACI

Film „Śniegu już nigdy nie będzie" Małgorzaty Szumowskiej i Michała Englerta znalazł się wśród tytułów kandydujących do Europejskich Nagród Filmowych. Nominacje zostaną ogłoszone 9 listopada.

DEBATY

Cały wrzesień potrwa cykl plenerowych debat literackich „Kultywacje 2021" organizowany przez Górnośląski Park Etnograficzny w Chorzowie. Udział w nim wezmą pisarze, którzy budują swoje opowieści w oparciu o kategorię chłopskości, etnografii i lokalności. Wśród gości Radek Rak, Olga Drenda, oraz Małgorzata i Michał Kuźmińscy.

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

PAWEŁ PIENIĄŻEK, współautor korespondencji z Afganistanu (s. 54), porozmawia z Agnieszką Lichnerowicz w „Światopodglądzie" Radia TOK FM w piątek 3 września o godz. 15.00
87,9 FM Gorzów | 88,2 FM Toruń
89,2 FM Elbląg | 93,8 FM Lublin
94,9 FM Kielce www.tokfm.pl

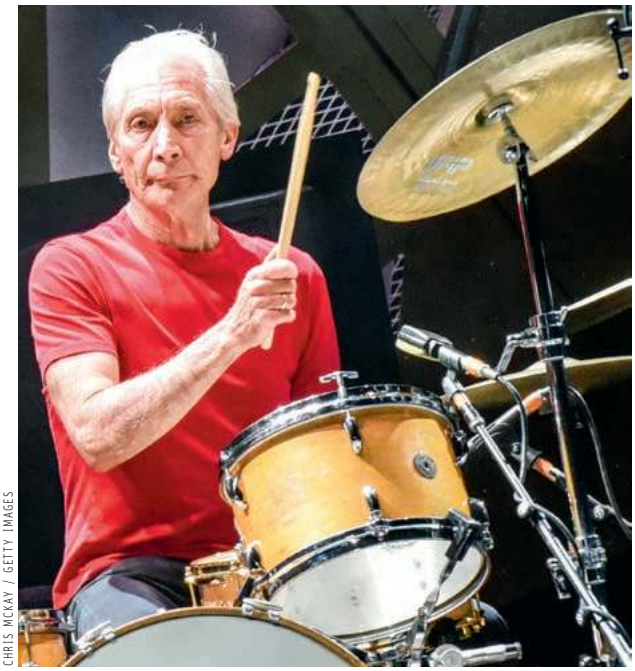

CHRIS MCKAY / GETTY IMAGES

ZMARŁ CHARLIE WATTS, perkusista The Rolling Stones. Miał 80 lat. Był ostatnim dżentelmenem rocka, niewielu ich było. Zawsze stojący nieco z boku szalonych kolegów z zespołu, elegancki, powściągliwy i ostentacyjnie profesjonalny. Na koncert przychodził trochę jak urzędnik do biura, ale bez niego ta maszyna nie miałaby mocy zdolnej porywać fanów przez blisko 60 lat. Być może to, że karierę zaczynał jako muzyk jazzowy (i do końca traktował jazz jako odskocznię), pozwoliło mu przez tyle lat zachować dystans do rockowego cyrku, którego Stonesi są doskonałą emanacją. Zespół już zapowiedział, że zaplanowana na jesień amerykańska trasa się odbędzie: Wattsa zastąpi Steve Jordan, który występował m.in. u boku Erica Claptona.
©℗ JACEK TARAN

Badacz uczciwości podejrzany o oszustwo

DAN ARIELY zasłynął z książek poświęconych irracjonalności i uczciwości. Prowadzone przez niego badania pokazują m.in., że ludzie chętnie oszukują, ale tylko trochę. Tak, by odnieść korzyść, ale jednak nie musieć przyznawać przed samym sobą, że jest się skończonym łajdakiem.

W 2012 r. Ariely z zespołem opublikował w czasopiśmie „PNAS" artykuł, w którym twierdził, że wystarczy zachęcić ludzi do złożenia obietnicy mówienia prawdy, by wzrósł ich poziom uczciwości. Np. kierowcy, którzy mieli podać firmie ubezpieczeniowej pokonany w danym roku dystans, od którego zależą koszty polisy, wpisywali do formularza przeciętnie większą liczbę kilometrów (o 10 proc. w porównaniu z grupą kontrolną, która najwyraźniej nieco kłamała), jeśli na początku podpisali oświadczenie, iż podadzą prawdziwe dane.

Niedawno Leif Nelson i współpracownicy odkryli jednak, że dane, którymi posługiwał się Ariely, zostały sfabrykowane, więc wnioski z publikacji nie są wiarygodne. Jak do tego doszło? Ariely obwinia firmę ubezpieczeniową – której nazwy nie może zdradzić – ponieważ to od niej mają pochodzić dane. Nie potrafi jednak wytłumaczyć, dlaczego niezależna firma miałaby tak „dostroić" dane, by świetnie pasowały akurat do jego teorii.
©℗ ŁK

Rezusy pod presją

NAWET KIEDY MAMY wszystkie umiejętności potrzebne do zwycięstwa, często coś idzie nie tak – zwłaszcza gdy bardzo nam zależy. Badania zespołu Adama Smouldera opisane w „PNAS" sugerują, że z tym problemem zmagają się też rezusy. Obserwowano je podczas zadań wymagających szybkości i precyzji – sterowały kursorem za pomocą ruchu ręką. Musiały umieścić kursor w kółku, dopóki to nie zniknęło, a następnie przekierować go na pojawiającą się figurę i tam przez chwilę go utrzymać. Za poprawnie wykonane zadanie otrzymywały nagrodę. Gdy stawka była wysoka, szło im lepiej, ale tylko do pewnego momentu – kiedy małpy widziały, że nagroda jest wielokrotnie większa od przeciętnej, ich wyniki znacznie się pogarszały.

SAM OGDEN / EAST NEWS

Porażki wynikały najczęściej ze zbyt wczesnego zakończenia ruchu ręką. Co więcej: ruchy na ostatnim odcinku były wolniejsze niż w przypadku nagród mniej wartościowych. Zdaniem badaczy do porażek przyczyniła się nadmierna kontrola wynikająca ze wzmożonej ostrożności oraz przekroczenie optymalnego progu pobudzenia. Wykazanie, że zjawisko występuje także wśród zwierząt, może pomóc lepiej je zrozumieć u ludzi.
© KATARZYNA DZIADOWICZ

STR
GRAN
AŻ
ZNA

TEMAT TYGODNIKA

LUDZIE NA GRANICY

Ich przyjęcie nic by Polskę nie kosztowało. Ale wtedy Białoruś wykorzystałaby kolejnych. Na naszej wschodniej granicy rozgrywa się dramat konkretnych osób i coś, co poza ten dramat wykracza.

MARCIN ŻYŁA

Zauważyliśmy ich dekadę temu. Mniej więcej wtedy moi serbscy przyjaciele zaczęli opowiadać o cudzoziemcach o śniadej skórze, których spotykali w miastach położonych przy drodze E-75, prowadzącej w kierunku Węgier.

Prawie zawsze byli to młodzieńcy z Afganistanu, Iranu lub Bangladeszu. Jeden stanął w kolejce do bankomatu w Belgradzie, inny wsiadł do zdezelowanego autobusu w Nowym Sadzie. Do centrum przygranicznej Suboticy przychodzili parami, kupić chleb i wodę. Pakowali je do reklamówek – i szybko wracali za miasto. Którejś niedzieli, gdy pod ratuszem trwał festyn i jakiś marny zespół grał utwory Pink Floyd, dwóch dołączyło do tłumu i przez chwilę bawiło się tak samo źle jak wszyscy.

Między słowami

Działo się to dwa lata przed pierwszym głośnym wypadkiem łodzi przy włoskiej wyspie Lampedusa – wtedy jeszcze nikt w Serbii nie mówił o nich: „migranci". „Oni", „tamci", „Arabowie", „chłopcy" – różne były określenia, żadne specjalnie trafne, wszystkie neutralne.

Niby się odróżniali, lecz przecież mieścili się w krajobrazie wielokulturowej Wojwodiny. Kiedy przyszła zima i mróz skuł pola słoneczników pod Suboticą, Tibor Varga, miejscowy ksiądz ewangelicki, zanosił im jedzenie. Kilka kilometrów dalej, we wsi Röszke 70-letni István Turó, szef straży sąsiedzkiej, dzielącej ciasną siedzibę z lokalnym kołem wędkarskim, pomagał węgierskim pogranicznikom zatrzymywać tych, którzy nielegalnie przeszli granicę.

„Współczuję im wszystkim. I za nic ich nie winię" – mówił.

Varga i Turó wiedzieli o sobie nawzajem, mieli nawet swoje numery telefonów. Choć jeden „chłopcom" pomagał, a drugi im przeszkadzał, nie mieli do siebie pretensji.

Tak upływały ostatnie spokojne tygodnie na granicy serbsko-węgierskiej. Kończył się czas, gdy, utraciwszy orientację wśród meandrujących dopływów Cisy, na nieskończonej równinie, człowiek nie zawsze wiedział, w jakim kraju jest – i kto jest „swój", a kto „obcy".

Taka granica długo nie wróci.

Rzecz umowna

„No byli, jacyś byli. Wieczorem przeszli przez wieś". „Pytali, którędy iść, to pokazaliśmy kierunek".

W sierpniu 2021 r. mieszkańcy okolic Hajnówki tak odpowiadali na pytania o ludzi na granicy. Borek, jedną z położonych tu wsi, dzieli od Suboticy tysiąc kilometrów. Ale słuchając Kamili Plis, jej sołtyski, rodowitej Podlasianki, mam *déjà vu*.

– Traktuje się ich jak szukających drogi, wędrowców. Raczej nie mówi się: „migranci", „uchodźcy". A już na pewno nie: „najeźdźcy". Okej, teraz są, potem pójdą – mówi.

Jeszcze zanim tematem zajęły się media, tu było wiadomo, że coś się dzieje. Znajomi ratownicy medyczni jeździli pomagać na bagna w Puszczy Białowieskiej. – Wiem, że nie wszyscy pogranicznicy zgadzają się z bieżącą polityką. Mam wrażenie, że całą tę sytuację próbujemy wcisnąć w ramy, których nie umiemy do końca zdefiniować – mówi Plis.

Granica to dla niej „rzecz umowna". Bo to tylko ktoś, w którymś momencie, zdecydował akurat, że przebiega w tym miejscu.

– Żyjemy w mieszanych małżeństwach, mamy przyjaciół po drugiej stronie. Ktoś, kto jest po drugiej stronie, nigdy nie był dla nas dziwny. Dopóki nie jest zły w stosunku do mnie, nie uprzedzam się. Przecież zanim go spotkam, jeszcze go nie znam – tłumaczy sołtyska wsi Borek.

Gdzie jest najlepiej

Wiosną 2015 r., w opuszczonej cegielni na przedmieściach Suboticy, Walid, 15-letni Pasztun ze wschodniego Afganistanu, czyścił nawilżającymi chusteczkami czarne adidasy. Nazajutrz miał iść dalej. Nie wiedział dokąd.

Trzy miesiące wcześniej – po tym, gdy w zamachu bombowym zginęli jego rodzice, dwóch braci i siostra – uciekł z kraju. Wciąż bił się z myślami, czy dobrze zrobił, zostawiając najmłodszego, ostatniego z żyjących braci, pod opieką wujka.

Trudno było czyścić te buty. Wiatr unosił tumany kurzu, a Walid prawą dłoń miał bezwładną. Kilka dni wcześniej ↦

Na granicy polsko-białoruskiej. Usnarz Górny, 19 sierpnia 2021 r.

JAKUB KAMIŃSKI / EAST NEWS

↦ bułgarski policjant potraktował go paralizatorem. Chłopak co jakiś czas wstawał, wspinał się na hałdę suchej gliny i patrzył na północ, w stronę Węgier.

W końcu zapytał, gdzie w Europie jest najlepiej. Zaskoczony, wybąkałem, że „chyba w Niemczech". Później zrozumiałem, że tego dnia decydował o całym swoim życiu.

Liście polskie, białoruskie

Teraz o podobne rzeczy mogłyby nas pytać 32 osoby z Afganistanu, które od 16 sierpnia, otoczone kordonem polskich i białoruskich żołnierzy, żyją na granicy w pobliżu wsi Usnarz Górny w powiecie sokólskim. Rozmawiać chciałoby też może 41 Kurdów z Iraku, znajdujących się w podobnej sytuacji na granicy łotewsko-białoruskiej.

O nic jednak nie zapytają, bo inaczej niż „chłopcy" zza serbskiej granicy znaleźli się w miejscach i czasie, w których granica – odwrotnie niż czują to Varga, Turó i Plis – jest do bólu konkretna.

Z punktu widzenia ministerstw w Warszawie nie może być inaczej. Granica państwa – wyobrażona linia łącząca środki krzyży umieszczonych na poziomej powierzchni sąsiadujących ze sobą słupów granicznych – nawet liście jednego drzewa dzieli na polskie i białoruskie. Z wyjątkiem odcinków przebiegających rzekami żeglownymi, gdzie granica biegnie środkiem głównego toru wodnego lub nurtu, które mogą się nieznacznie zmieniać, Polska jest wymierzona co do centymetra. Jej kształt wyznaczają linie proste.

Oraz kąty między nimi. Bo to tutaj – paradoksalnie, w miejscu, które wyznacza limit jej zwierzchnictwa – władza najpełniej egzekwuje swoją siłę.

Pierwszy powód

Ludzi na granicy – ich cierpienia i naszych sporów – nie byłoby, gdyby nie polityka Białorusi. Jeszcze przed wyborami w sierpniu 2020 r. Alaksandr Łukaszenka straszył sąsiadów, że przestanie pilnować granicy i „zaleje" Europę migrantami i narkotykami.

Na przełomie wiosny i lata białoruskie linie Belavia uruchomiły loty do Mińska z irackich miast: Basry, Irbilu i Sulejmaniji (dwa ostatnie są położone w autonomicznym regionie Kurdystanu). Zwiększyły też częstotliwość lotów z Bagdadu. W lipcu litewskie służby graniczne zaczęły codziennie odnotowywać nawet 300 osób nielegalnie przekraczających granicę. W całym 2020 r. było takich przekroczeń około stu.

Przy cichym wsparciu Unii, która na miesiąc przed ważnymi wyborami w Niemczech obawiała się kryzysu na swoich zewnętrznych granicach, w Wilnie naprędce zmieniono ustawodawstwo. Teraz, zgodnie z prawem litewskim – choć wbrew międzynarodowemu – można już cofać ludzi z granicy, nie pozwalając im na złożenie wniosku o ochronę. Podobnych zmian dokonała Łotwa.

Bruksela zmusiła też Irak do wstrzymania lotów do Białorusi. Wciąż widnieją w rozkładzie, wyświetla je tablica odlotów lotniska w Bagdadzie, nie można jednak kupić biletów. Oficjalnie są wyprzedane, ale samoloty po prostu nie startują. Belavia zwiększyła natomiast częstotliwość rejsów ze Stambułu. Do Mińska, z międzylądowaniem w Jemenie, latają też z Iraku prywatne odrzutowce.

Według danych litewskich i szacunków białoruskiej opozycji w strefie przygranicznej jest wciąż co najmniej 5 tys. ludzi z Bliskiego Wschodu, których służby na razie nie dopuszczają do granicy.

Bilans akcji Łukaszenki: z 4140 ludzi, którzy dotąd trafili na Litwę, 2803 to obywatele Iraku, głównie Kurdowie i Jazydzi, przedstawiciele grup, które obecnie nie są w tym państwie prześladowane. 83 to obywatele Afganistanu.

Misterium Mostu

22 sierpnia, tydzień po tym, gdy pod Usnarzem Górnym zaczął się dramat 32 ludzi, w Krasnogrudzie pod Sejnami odbyło się coroczne Misterium Mostu – zwieńczenie serii spotkań i koncertów odbywających się w Dworze Miłosza, artystyczna celebracja piękna i złożoności pogranicza.

Krzysztof Czyżewski, szef Ośrodka „Pogranicze – sztuk, kultur, narodów": – Elementem Misterium był akt ustanowienia granicy wśród publiczności. Takiej, która rozdzieliła ją na dwie połowy, czasem nawet przebiegając w poprzek rodzin. Między ludzi weszła specjalna „bojówka", po czym rozpaliliśmy pas ognia. W Krasnogrudzie mamy swoją przestrzeń „niewidzialnego mostu". Na trawie jest wciąż czarna szrama po ogniu. Do dziś gdy tam idę, serce mi się kraje.

Trzydziesty pierwszy już rok Czyżewski, jego współpracownicy i przyjaciele pracują na rzecz porozumienia ponad granicami. Ale ich istnienia i sensu nie podważają.

– Granica z Białorusią to zewnętrzna granica Polski i Unii. Naturalne, że państwo za nią odpowiada. Z drugiej strony, to wciąż wewnętrzna granica Europy. Problemy, które się na niej rodzą, nie dotyczą wyłącznie suwerenności państwowej – mówi Czyżewski.

Pytam, co w tych dniach nam mówi granica polsko-białoruska.

– Że jesteśmy zagrożeni przez wroga, jakim jest Łukaszenka – brzmi odpowiedź. – I że nie można tego lekceważyć. Musimy ją jednak też obronić jako granicę wewnątrzludzką. Ona działa jak lustro, pokazuje, jacy jesteśmy. To skandal, że problemem staje się na niej podanie potrzebującym wody czy lekarstw.

Teraz Polska

Kiedy wzmocniono ochronę granicy litewskiej, uwaga służb białoruskich zwróciła się ku Polsce. Pod koniec czerwca Straż Graniczna zaczęła zatrzymywać irackich Kurdów i Jazydów. Później – także obywateli Afganistanu. Od stycznia do 21 sierpnia Urząd ds. Cudzoziemców zarejestrował 625 wniosków od obywateli Afganistanu o ochronę międzynarodową. Dane te są jednak niepełne, bo przesłuchanie zatrzymanych na granicy zajmuje trochę czasu, nie obejmują one też osób, które rząd ewakuował z Kabulu.

Mimo obecności 1800 żołnierzy i strażników granicznych na blisko dwustukilometrowym odcinku granicy z Białorusią niebiegnącym wzdłuż Bugu – do Polski wciąż nielegalnie przechodzą ludzie.

Wojciech Konończuk, analityk Ośrodka Studiów Wschodnich i współpracownik „Tygodnika", uważa, że przez tę granicę

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY
TYGODNIK POWSZECHNY
AFGANISTAN
Czytaj na bieżąco powszech.net/afganistan

MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

Budowa płotu z drutu kolczastego na granicy polsko-białoruskiej. Krynki, 27 sierpnia 2021 r.

Zasieki, kordony, zawracanie

NIE ZAWSZE WIEMY, kim są ludzie na granicy. Nie wiemy, bo do wielu z nich nie podeszliśmy, a innych od razu zawróciliśmy. Według danych z Łotwy, Litwy i Polski większość osób zatrzymywanych w ostatnich tygodniach na białoruskich pograniczach pochodzi z państw, które, choć nie zawsze są bezpieczne, nie kwalifikują automatycznie do przyznania statusu uchodźcy. Nie oznacza to, że wśród tych osób uchodźców nie ma.

KADRY z ustawiania zasieków z drutu kolczastego – w naszej części Europy najbardziej nacechowanego symbolu opresji i cierpienia – to w każdej dyskusji „szach-mat". Drut kolczasty łapie nas w pułapkę, gdzieś w połowie odległości między metaforą a dosłownością. Ta pierwsza nie wymaga opisu. Posłużenie się drugą – jakakolwiek próba obrony sensu grodzenia granicy – jest w praktyce niemożliwe.

ZASIEKI na granicy to coś innego niż ogrodzenie obozu koncentracyjnego. Tu uniemożliwiają one przekroczenie linii, której przekraczać nie wolno. Ale w tej konkretnej sytuacji – grupy Afgańczyków wykorzystanych przez Łukaszenkę (białoruscy żołnierze zabraniają im wycofać się w głąb swojego terytorium lub przejść w inne miejsce polskiej granicy) – ustawienie obok nich drutu kolczastego będzie zawsze odmówieniem udzielenia pomocy.

LUDZIE są po obu stronach granicy. Zanim pod Usnarzem Górnym zjawiły się kamery, polscy strażnicy graniczni podrzucali grupie afgańskiej butelki z wodą. ©℗

nie dojdzie do masowej migracji z Afganistanu. – Większość Afgańczyków, którzy ostatnio dostali się do Polski, podróżowała przez Azję Centralną i Rosję – mówi.

To jednak nie oznacza, że nie ma niebezpieczeństwa użycia tych ludzi przez Kreml. – Można się spodziewać migracji na małą skalę, którą będą w stanie zarządzać służby białoruskie i rosyjskie, zapewne z użyciem komunikacji lotniczej – twierdzi Konończuk.

Innymi słowy, na naszej wschodniej granicy i w jej pobliżu dzieje się coś, co jest równocześnie dramatem konkretnych ludzi i poza ten dramat wykracza. Rację mają ci, którzy mówią, że przyjęcie grupy ludzi spod Usnarza Górnego nic by Polskę nie kosztowało. Rację mają też ci, którzy twierdzą, że ich śladem Białoruś wykorzystałaby kolejnych ludzi.

Jest i ten kontekst: białorusko-rosyjskie ćwiczenia wojskowe „Zapad-2021", które rozpoczynają się 10 września w pobliżu granicy z Polską i państwami bałtyckimi.

Konończuk: – Według propagandy białoruskiej to Polska zatrzymuje i odsyła ludzi przez zieloną granicę na Białoruś. Łukaszenka twierdzi, że walczy z nielegalną migracją. Zwalczanie takich zagrożeń jest w programie manewrów. Nie można wykluczyć prowokacji ze strony białorusko-rosyjskiej.

Nie opuścimy was

Późną zimą 1993 r. z koszar na przedmieściach Sarajewa ruszył konwój sił pokojowych ONZ. Dowodzący nim francuski generał Philippe Morillon miał dostarczyć pomoc humanitarną do jednego z uzdrowisk we wschodniej Bośni, gdzie od miesięcy gromadzili się muzułmanie, uciekinierzy z trwającej od roku wojny domowej.

Kiedy konwój dotarł na miejsce, otoczyli go ludzie, nie pozwalając wyjechać. Wiedzieli, że obecność francuskiego generała daje im chwilowe bezpieczeństwo.

W ciągu kilku nerwowych godzin, jakie Morillon spędził w budynku miejscowej poczty, wypalając jednego papierosa za drugim, podjął decyzję o wywieszeniu na placu błękitnej flagi ONZ. Potem wychylił się przez okno i przez ręczny megafon powiedział: „Jesteście odtąd pod ochroną sił Narodów Zjednoczonych. Nigdy was nie opuszczę". Wzbudził aplauz mieszkańców – i palpitacje serca dyplomatów w nowojorskiej siedzibie ONZ, zmuszonych usankcjonować jego samowolę. Rada Bezpieczeństwa wkrótce uchwaliła rezolucję ustanawiającą w Bośni sześć „stref bezpieczeństwa".

Uzdrowisko, w którym zachodni generał złożył ludziom obietnicę, nazywało się Srebrenica. Niecałe dwa lata później, opuszczone przez siły międzynarodowe i zdobyte przez armię bośniackich Serbów, stało się miejscem ludobójstwa.

Już wtedy było jasne, że obietnice ochrony będą dotrzymywane pod jednym warunkiem: że pozwoli na to bieżąca polityka.

Opuszczamy was

Kilkanaście miesięcy przed eskapadą Morillona Polska przystąpiła do Konwencji dotyczącej statusu uchodźców – obok konwencji genewskich najbardziej śmiałej obietnicy ochrony ofiar wojen i prześladowań, jaką kiedykolwiek złożył świat.

Liczący 70 lat dokument jest dziś potrzebny bardziej niż kiedykolwiek – i równocześnie bardziej niż kiedykolwiek nie przystaje do rzeczywistości. Nie uwzględnia zjawiska migracji mieszanej, słabo radzi sobie ze skutkami zamrożonych konfliktów czy wojen hybrydowych. W czasie, gdy go przygotowywano, nikt nie wiedział, kim są uchodźcy klimatyczni. ↦

↦ Konwencja jest też coraz częściej łamana. W ostatnich dniach przez Polskę, wcześniej przez inne państwa Unii. Wiele krajów nie ratyfikowało jej w ogóle.

Dyskusja o niej nie jest wcale sporem „otwartej" lewicy z „zamkniętą" prawicą. Wycofanie się Niderlandów z konwencji z 1951 r. sugerował liberalny premier Mark Rutte. Politycy duńskiej socjaldemokracji wzywali do zaprzestania szukania azylu w tym kraju. Grecki minister ds. migracji mówi, że konwencja nie jest biletem do dowolnego kraju, do którego chciałoby się dotrzeć.

Sama Unia Europejska omija konwencję, dogadując się z sąsiadami. Turcja dostała dotąd 6 mld euro – zawarte z nią wiosną 2016 r. porozumienie zmniejszyło skalę tzw. kryzysu migracyjnego. Rok później Marco Minniti, szef MSW Włoch, zaprosił do Rzymu przedstawicieli 60 frakcji i grup etnicznych z Libii. W zamian za pieniądze z Europy miały zatrzymywać imigrantów. „Dopiero kiedy upewniłem ich, że pochodzę z Kalabrii, regionu, gdzie umowy pieczętuje się krwią, zgodzili się podpisać" – chełpił się minister.

Niejaki Al-Bija, owiany złą sławą dowódca oddziału libijskiej straży przybrzeżnej, chwalił się ongiś na Facebooku dwiema rzeczami: luksusowym jachtem i zaproszeniem, jakie dostał od Międzynarodowej Organizacji ds. Migracji na „szkolenie z zakresu operacji ratowniczych".

Żaden z tych faktów nie usprawiedliwia cofania przez polską Straż Graniczną ludzi z granicy białoruskiej. Wszystkie jednak pokazują kontekst.

Byle jak najbliżej

W maju 2016 r. Nader, wtedy 40-letni księgowy, stawał czasem na skraju skarpy i patrzył w dół doliny na swoją rodzinną wieś w Syrii. Widział meczet i szpital. Sprawdzał, czy jego sąsiedzi mieli prąd, czy akurat go wyłączono.

Rozmawialiśmy w północnym Libanie, we wsi Bire. Aby spojrzeć z drugiej strony granicy na swoją wieś, Nader musiał podróżować przez Indie. Wcześniej pracował w Zjednoczonych Emiratach Arabskich, gdzie jak on zarabiało wielu Syryjczyków. Któregoś dnia dostał decyzję o deportacji – i 24 godziny na opuszczenie kraju.

Wsiadł w autobus do sąsiedniego Omanu. W Maskacie, stolicy tego państwa, zaczął odwiedzać zagraniczne ambasady. Wizę dał mu akurat konsul Indii. Dopiero stamtąd przyleciał do Libanu. Powiedziano mu, że może tu zostać nie dłużej niż rok.

Przeniósł się do Bire, żeby widzieć swój dom. Wydzwaniał do ambasad państw europejskich. Pytał o wizy.

Słyszał zawsze: „nie".

Kto otwiera bramy

„Jeśli na ciało nie działa żadna siła lub siły działające równoważą się, ciało pozostaje w spoczynku lub porusza się ruchem jednostajnym prostoliniowym".

Pierwsza zasada dynamiki Izaaka Newtona dotyczy też ludzi. W ubiegłym roku na świecie było już ponad 82 mln osób wprawionych w ruch za sprawą prześladowań, wojen, przemocy lub władz naruszających prawa człowieka.

Zmieniły się jednak zasady tego ruchu. Obraz uciekiniera wojennego, samotnie przemierzającego kolejne granice, jest tyleż ikoniczny, co rzadko spotykany. Pół roku mojej rozmowie z Walidem o okolicach serbskiej Suboticy zrobiło się głośno na całym świecie. Jesienią 2015 r. nawet 7 tysięcy osób dziennie – wtedy niemal wyłącznie uchodźców z Syrii – przekraczało tę granicę, aż Węgrzy postawili na niej zasieki.

W tym samym czasie ludzi zaczęły też przewozić państwa. W 2015 i 2016 r. greckie wyspy Morza Egejskiego były jednym z niewielu punktów długiej trasy z Syrii, gdzie podróżujący nie byli zdani na łaskę i ceny szmuglerów. Transport stamtąd zapewniał grecki rząd – było to w interesie i podróżujących, i mieszkańców wysp. Rządy Serbii, Chorwacji i Słowenii podstawiały pociągi docierające do samej granicy austriackiej. W Slavonskim Brodzie zorganizowano jeden z punktów rejestracyjnych. Był formalnością – miejscem, gdzie chorwacki minister spraw wewnętrznych Ranko Ostojić, w wojskowym dresie i luźnej koszuli, mógł się fotografować na tle punktu rozdawania wody.

MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

Usnarz Górny, sierpień 2021 r.

Człowiek: kilka kręgów jednego słowa

KAŻDY UCHODŹCA jest migrantem, czyli człowiekiem zmieniającym na stałe miejsce, w którym żyje, ale nie każdy migrant to uchodźca. Według wąskiego – i dlatego przestrzeganego przez dekady – opisu z konwencji z 1951 r. uchodźcą jest człowiek, który „na skutek uzasadnionej obawy przed prześladowaniem z powodu swojej religii, narodowości, przynależności do określonej grupy społecznej lub z powodu przekonań politycznych przebywa poza granicami państwa, którego jest obywatelem, i nie może lub nie chce z powodu tych obaw korzystać z ochrony tego państwa". Podobny zapis dotyczy ludzi bez obywatelstwa.

WERYFIKACJI tych warunków – opartej, w miarę możliwości, na historii człowieka, czasem jednak na wiedzy o sytuacji panującej w danym kraju i w danym momencie – dokonuje państwo, w którym składa się wniosek o status uchodźcy. Państwa niechętnie przyznają taki status. Obecnie, aby uniemożliwić nawet złożenie wniosku, często cofają ludzi z samej granicy – choć zabrania tego konwencja. Do takich państw dołączyła właśnie Polska. Rząd zmienia właśnie stosowne przepisy.

ALE W NASZYM JĘZYKU „uchodźcy" to po prostu uciekający przed wojną bądź prześladowaniami – nieważne, gdzie są, czy i ile mają pieniędzy ani jakim statusem prawnym dysponują. Słowo oddaliło się już od precyzyjnej definicji. U wielu z nas zaczęło budzić wyłącznie współczucie lub wyłącznie niechęć. ©℗

Wtedy greckie wyspy stały się bramą do Europy ze względu na geografię – leżą zaledwie kilkanaście mil od Turcji. Dziś „bramy do Europy” tworzą się ze względu na politykę. Otwierać i zamykać mogą je lokalni watażkowie – dowódcy oddziałów libijskiej straży granicznej, kluczowi dla Zachodu politycy, jak Erdoğan, autorytarni władcy – jak Łukaszenka.

Między linią a miejscem

„Człowiek nigdy nie wybiera dla siebie opcji gorszej”, powtarza Kamila Plis, sołtyska wsi Borek.

– Mówię o sobie: „tutejsza”. Stąd pochodzą moi rodzice i dziadkowie. Wiem dobrze, że historia Polski, której uczymy się z podręczników, jest pisana z perspektywy stolicy. Im bliżej żyjesz granicy, nieważne której – Białorusi, Moraw czy Słowacji – tym lepiej wiesz, że ważna dla ciebie historia odbiega od tego, za co w szkole dostawałeś piątki. Dla mojej babci wojna nie wybuchła 1 września. A później żołnierze Armii Czerwonej zobaczyli na tym terenie cerkwie i usłyszeli ludzi, którzy mówili w ich języku. Nikt ich nie traktował jak okupantów. Ale spróbuj to dziś powiedzieć w Polsce – mówi Plis.

I dodaje: – Może to jest wojna między Łukaszenką a Unią. Może. Ale za każdą polityką stoją w końcu ludzie. Granica zawsze oznacza zasady. Choćby była to granica parku narodowego czy naszego podwórka. Ale niewpuszczenie tych ludzi stawia nas w złym świetle. Musimy dać im szansę. Postawmy im toi-toia, traktujmy jak ludzi. Wpuśćmy.

Dalej od racji

– Emocjonalne wypowiedzi nie służą nikomu. Antagonizują, stygmatyzują każdą ze stron sporu – jako zdrajców albo ojczyzny, albo chrześcijaństwa czy człowieczeństwa. Sprzyjają Łukaszence czy Erdoganowi. Oni bez naszego języka nie mogliby tyle osiągnąć – mówi Krzysztof Czyżewski, zapytany o temperaturę dyskusji w Polsce.

Jego zdaniem, w odniesieniu do sytuacji w Usnarzu Górnym nie chodzi o to, aby mieć rację, tylko żeby wspólnie zrobić coś dobrego. A czasem – ustąpić ze swoich racji. – Jeśli tego nie zrobimy, sytuacja uchodźców tylko się pogorszy, zaogni się wewnątrzpolska wojna kulturowa – uważa.

W Krasnogrudzie Misterium Mostu zakończyło się podejściem rozdzielonych ludzi do siebie.

– W którymś momencie zaprosiliśmy przelęknioną widownię, aby przeszła niżej – opowiada Czyżewski. – Zeszliśmy ze wzgórza, tego pola zdobywców, miejsca posiadania racji, symbolu oddzielenia. Schodziliśmy z pokorą, bo niżej było to, co bliższe, cichsze, najbardziej podstawowe.

Pod Usnarzem Górnym do chwili zamknięcia tego numeru „Tygodnika” – czyli przez co najmniej dwa tygodnie – ludzie nie mogą do siebie podejść. Rozdziela ich państwo. Czyżewskiego martwi, że coś ważnego usuwa się nam spod nóg. Że zewnętrzne granice umacnia się tylko wtedy, gdy słabe jest centrum.

– Pamiętam rozmowę, jaką przeprowadziłem w Syrakuzach z seniorami pomagającymi przepływającym przez morze – mówi. – Byli to głównie rybacy. Zapytałem, czy przybycie obcych nie zaszkodzi ich kulturze? Odpowiedzieli: „Zabierzcie nam prawo do pomocy ludziom na morzu, a nie będziemy wiedzieć, kim jesteśmy”.

Z braćmi

Na początku czerwca 2017 r. ugandyjscy żołnierze pilnujący granicy z Sudanem Południowym – gdzie od trzech i pół roku trwała wojna domowa – mówili, że walki chyba ustały, bo poprzedniego dnia przekroczyło ją „tylko czterysta osób”.

Tamtego świtu do posterunku we wsi Oraba dotarło 31 Sudańczyków, głównie kobiet i dzieci, których wieś, odległą stąd o pięć kilometrów, kilka godzin wcześniej zaatakowali rebelianci.

Dziesięcioletni Winston z całej nocy zapamiętał moment, gdy napastnicy porzucają broń palną i zaczynają zabijać za pomocą noży. Mało mówił, my nie chcieliśmy pytać, rysowaliśmy na kartce to słońce, to księżyc, to dom, raz my, raz on.

Zerkał na swoich dwóch młodszych braci. Był to moment, w którym zdał sobie sprawę z tego, że odtąd musi się już nimi opiekować.

Jakiś kierowca uruchomił silnik. I tu dawał o sobie znać paradoks granicy: ugandyjscy żołnierze chronili uchodźców, choć obok, w kolejce do odprawy w drugą stronę, jak gdyby nigdy nic czekały ciężarówki z towarem.

©℗ MARCIN ŻYŁA

TYGODNIK POWSZECHNY ■ www.TygodnikPowszechny.pl

„Tygodnik Powszechny” dostępny dla osób niewidomych i słabowidzących! Więcej informacji na powszech.net/dostepny

Redaktor naczelny Piotr Mucharski
Redaktor senior ks. Adam Boniecki
Zastępcy redaktora naczelnego: Michał Kuźmiński, Marcin Żyła
Dyrektor artystyczny Marek K. Zalejski
Wiara: Maciej Müller, ks. Jacek Prusak SJ, Piotr Sikora, Artur Sporniak (kierownik)
Kraj: Paweł Bravo (kierownik), Anna Goc, Michał Okoński, Marek Rabij, Mariusz Sepioło, Krzysztof Story, Przemysław Wilczyński
Świat: Patrycja Bukalska, Wojciech Jagielski, Anna Łabuszewska, Marcin Żyła, Wojciech Pięciak (kierownik),
Historia: Wojciech Pięciak
Nauka: Michał Kuźmiński, Łukasz Kwiatek (kierownik), Łukasz Lamża
Kultura: Kalina Błażejowska, Tomasz Fiałkowski, Grzegorz Jankowicz, Katarzyna Kubisiowska, Piotr Mucharski (kierownik), Anita Piotrowska
Reportaż: Anna Goc, Wojciech Jagielski, Katarzyna Kubisiowska, Mariusz Sepioło, Przemysław Wilczyński, Marcin Żyła (kierownik)
Fotoedycja: Edward Augustyn, Grażyna Makara (kierownik), Jacek Taran
Wydanie internetowe: Ewelina Burda, Michał Okoński, Michał Kuźmiński (kierownik), Monika Ochędowska
TP Typografia: Marta Bogucka, Zuzanna Kardyś, Andrzej Leśniak, Artur Strzelecki (kierownik)
Korekta: Grzegorz Bogdał, Katarzyna Domin, Sylwia Frołow, Maciej Szklarczyk (kierownik)
Marketing i Projekty Specjalne: Anna Dziurdzikowska, Maja Kuczmińska (kierownik), Mateusz Gawron, Marta Filipiuk-Michniewicz, Monika Ochędowska, Anna Pietrzykowska, Patryk Stanik (kierownik ds. komunikacji)
Manager IT: Bartłomiej Swojak
Redaktor wydań specjalnych Michał Okoński
Felietony: Wojciech Bonowicz, Jan Klata, Andrzej Stasiuk, Jacek Podsiadło, Dorota Masłowska, Zuzanna Radzik, Stanisław Mancewicz, Bartosz Minkiewicz, Hanna Krall
Stale współpracują: Elżbieta Adamiak, Klaus Bachmann, Justyna Bargielska, Marek Bieńczyk, Wojciech Bonowicz, Wojciech Brzeziński, Beata Chomątowska, s. Barbara Chyrowicz, Justyna Dąbrowska, Bartek Dobroch, ks. Andrzej Draguła, Jakub Dymek, Jarosław Flis, Andrzej Franaszek, ks. Tomáš Halík, ks. Michał Heller, Agata Kaźmierska, Eliza Kącka, Piotr Kłodkowski, Małgorzata Kordowicz, Piotr Kosiewski, Dariusz Kosiński, Dorota Kozińska, Ryszard Koziołek, Karolina Lewicka, Magdalena Łanuszka, Stanisław Łubieński, Szymon Łucyk, Józef Majewski, Paweł Marczewski, Michał P. Markowski, Rafał Matyja, Marcin Napiórkowski, Małgorzata Nocuń, Magdalena Nowicka-Franczak, Wojciech Nowicki, Joanna Olech, Olaf Osica, o. Wacław Oszajca, Jacek Podsiadło, Karolina Przewrocka-Aderet, Jakub Puchalski, Zuzanna Radzik, Adam Robiński, Dariusz Rosiak, Joanna Rusinek, abp Grzegorz Ryś, Tadeusz Sławek, Michał Sowiński, Andrzej Stasiuk, Władysław Stróżewski, Marcelina Szumer-Brysz
WYDAWCA Tygodnik Powszechny Sp. z o.o.
Zarząd: Jacek Ślusarczyk (prezes), Piotr Mucharski (wiceprezes), Maja Kuczmińska (wiceprezeska)
Adres wydawcy i redakcji: ul. Dworska 1C/LU 3-4 30-314 Kraków, tel. 668 477 039
redakcja@TygodnikPowszechny.pl
Reklama, promocja: tel. 602 590 416
reklama@TygodnikPowszechny.pl
promocja@TygodnikPowszechny.pl
Prenumerata: tel. 668 479 075
prenumerata@TygodnikPowszechny.pl
Projekt graficzny: Marek Knap i Marek Trojanowski
Druk: Walstead Kraków Sp. z o.o.

REKLAMA

S-NET GRUPA TOYA
S-NET zapewnia wsparcie technologiczne dla „Tygodnika Powszechnego”

■ REDAKCJA NIE ZWRACA TEKSTÓW NIEZAMÓWIONYCH ORAZ ZASTRZEGA SOBIE PRAWO ICH REDAGOWANIA I SKRACANIA. REDAKCJA NIE ODPOWIADA ZA TREŚĆ OGŁOSZEŃ. REDAKCJA MA PRAWO DO ODMOWY PUBLIKACJI OGŁOSZEŃ.

■ **PRAWA AUTORSKIE I MAJĄTKOWE DO WSZYSTKICH MATERIAŁÓW** zamieszczonych w „Tygodniku Powszechnym” należą do Wydawcy oraz ich Autorów i są zastrzeżone znakiem © na końcu artykułu. Materiały oznaczone na końcu dodatkowym znakiem ℗ mogą być wykorzystane przez inne podmioty tylko i wyłącznie po uiszczeniu opłaty, zgodnie z Cennikiem i Regulaminem korzystania z artykułów prasowych, zamieszczonymi pod adresem www.TygodnikPowszechny.pl/nota-wydawnicza.

MAŁGORZATA

Kordowicz:
Uchodźca

„Wysłuchaj modlitwę moją, Boże, wołanie moje usłysz, na łzy moje nie milcz, bo przychodniem ja u Ciebie, przysiedleniec jak wszyscy przodkowie moi" (Ps 39, 13; ten i kolejne cytaty: Cylkow). 32 migrantów na granicy polsko-białoruskiej kładzie się cieniem na moim sumieniu. Jak spojrzę któremuś z nich w twarz? „Azali ten sam, który w żywocie mnie stworzył, nie stworzył i jego, azali nie ukształtował nas Jeden w matczynem łonie?" (Hi 31, 15). Bycie wyzutym z praw, obcym w nie-swoim kraju, niewola i wyzwolenie to doświadczenia, które ukształtowały Izraelitów jako naród i po wsze czasy stanowią imperatyw moralny: „Cudzoziemca nie będziesz krzywdził ani uciskał go; bo cudzoziemcami byliście w ziemi Micraim [hebr. Egipt]" (Wj 22, 20). Choć zakaz jest sformułowany w liczbie pojedynczej, równie dobrze dotyczy on instytucji państwowych, które w sposób systemowy mogą nękać przybyszów. Na przykład celowo rzucając prawne kłody pod nogi przedstawicielom jednej z religii Abrahamowych, aby nie mogli zarejestrować swojego związku wyznaniowego – co ma miejsce obecnie, w sąsiadującym z Polską wcale nie od wschodu kraju.

Następna księga Pięcioksięgu wzmacnia przekaz: „Jak każdy z krajowców między wami będzie u was cudzoziemiec, zamieszkały przy was, i będziesz go miłował jak samego siebie; gdyż cudzoziemcami byliście na ziemi Micraim: Jam Wiekuisty, Bóg wasz!" (Kpł 19, 34). To dopiero wyzwanie: nie tylko – miłuj jak siebie samego swojego sąsiada, ale właśnie cudzoziemca: człowieka o innym kolorze skóry, wyznającego inną religię, przedstawiciela innej kultury. Albowiem „Jam Wiekuisty, Bóg wasz" – Bóg zarówno twój, jak i jego – przybysza.

Cudzoziemiec jak krajowiec oznacza równe prawa dla wszystkich mieszkańców – jak daleko nam do zrealizowania tego biblijnego ideału? Kolejna starożytna rewolucja: „Nie wydasz panu niewolnika jego, jeżeli się schronił do ciebie od pana swego; z tobą niechaj zamieszka, wpośród ciebie, na tém miejscu, które sobie wybierze, w któremkolwiek z miast twoich, gdzie mu dogadza – nie uciemiężaj go!" (Pwt 23, 16-17). Wbrew panującym na starożytnym Bliskim Wschodzie regułom, udziel schronienia złaknionemu wolności zbiegowi. „Zamieszka wpośród ciebie na miejscu, które wybierze" – wszak to echo tak obecnego w Księdze Powtórzonego Prawa refrenu o Bogu i Świątyni (zob. np. 12, 5), tutaj użyte w odniesieniu do cudzoziemca! Otwórz przed nim i swoje serce, i kraj.

A tak na marginesie: słysząc „niewolnictwo", nie wydymajmy z wyższością ust. Według szacunków mówimy współcześnie o czterdziestu milionach ludzi. Czyli w liczbach bezwzględnych mamy więcej niewolników teraz niż kiedykolwiek w ludzkiej historii. ©

O. WACŁAW

Oszajca:
Zwycięstwo nad wojną

Początek września kojarzymy z wojną. Wspominamy bohaterów i antybohaterów, ale umyka nam środowisko, w którym jedni i drudzy żyli i działali. Nie chcemy pamiętać, że Hitler został ochrzczony w Kościele rzymskokatolickim, a Stalin w Cerkwi prawosławnej, podobnie jak ci, którzy poszli za nimi dobrowolnie lub z przymusu. Hitler doszedł do władzy w sposób demokratyczny, Stalin przeciwnie, antydemokratycznie.

W przeddzień 77. rocznicy wybuchu powstania warszawskiego abp Józef Guzdek powiedział, że w „stolicy toczyła się walka na dwóch frontach: walka fizyczna z bronią w ręku i walka duchowa – wewnętrzne zmaganie się z samym sobą, aby w tym morzu zła i nienawiści pozostać dobrym człowiekiem (...). To pozwala wierzyć, że nawet w krańcowo trudnych warunkach próby i prześladowań można zachować się godnie i ocalić swoje człowieczeństwo". Że jest to możliwe, niech świadczy postępowanie kapitana Wehrmachtu Wilhelma Hosenfelda na ziemiach zagarniętych przez Niemców. Nie przestając być żołnierzem, uratował on wielu Polaków i Żydów, m.in. ks. Antoniego Cieciorę i Władysława Szpilmana, za co po wojnie otrzymał Order Polonia Restituta i tytuł Sprawiedliwego wśród Narodów Świata – niestety pośmiertnie. Wpadł w radziecką niewolę, został skazany najpierw na karę śmierci, a następnie na dożywocie, zmarł w łagrze. W 1943 r. Hosenfeld zapisał w dzienniku: „Popełniając straszliwy masowy mord na Żydach, przegraliśmy wojnę. Sprowadziliśmy na siebie niedającą się zmyć hańbę, wieczną klątwę. Nie zasługujemy na jakąkolwiek łaskę, wszyscy jesteśmy współwinni".

We wspomnianej homilii abp Guzdek mówił: „Największym moralnym zwycięstwem jest uwolnienie się od nienawiści i chęci odwetu. Trzeba zwycięstwa nie tylko na wojnie, ale i nad wojną". Następnie cytował słowa kard. Stefana Wyszyńskiego: „Kto nienawidzi – przegrał. Kto mobilizuje nienawiść – przegrał. Kto walczy z Bogiem Miłości – przegrał. A zwyciężył już dziś – choćby leżał na ziemi podeptany – kto miłuje i przebacza, kto jak Chrystus oddaje swoje życie za nieprzyjaciół swoich". Stąd Hosenfeld stwierdza: „Trzeba zadać sobie pytanie, jak mogło do tego dojść, że w naszym narodzie mamy taką zwyrodniałą szumowinę, (...) funkcjonującą jak wściekłe psy? Niestety, to są ludzie, którzy w naszym państwie zajmują wysokie stanowiska".

„Bracia moi! Wiara w naszego Pana, Jezusa Chrystusa, uwielbionego nie kieruje się względami na osoby. (...) Słuchajcie, moi bracia umiłowani! Czy Bóg nie wybrał ubogich tego świata na bogatych w wierze i na dziedziców królestwa, jakie przygotował tym, którzy Go miłują?" – pyta Paweł Apostoł. ©

ABP GRZEGORZ

Ryś:
Miejsca pamięci

Nigdy nie definiuj Bóstwa. Definicje są odpowiednie dla rzeczy stworzonych i złożonych.

EWAGRIUSZ Z PONTU

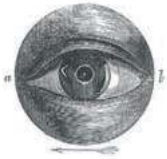

Bez jedności nie ma wielości. Bez wielości nie ma jedności. Dlatego rzeczy wyłaniają się współzależnie – nie mają trwałych cech.

NAGARDŻUNA

Dwa razy w ostatnim czasie (14 i 22 sierpnia) liturgia przypomniała nam wydarzenie przymierza, jakie w imieniu Ludu Izraela Jozue zawarł z Panem Bogiem w Sychem. Jednym z kluczy, za pomocą których można „otworzyć" owo wydarzenie i opisujący go fragment Księgi Jozuego (zob. Joz 24, 1-28), jest zamykający go niemal werset: „[Jozue] wziął potem wielki kamień i ustawił go tam pod terebintem, który jest w miejscu poświęconym Panu. Następnie Jozue rzekł do zgromadzonego ludu: Patrzcie, oto ten kamień będzie dla was świadectwem, ponieważ słyszał wszystkie słowa, które Pan mówił do was" (Joz 24, 26).

Otóż – jak widać – Jozue nie zwołał Ludu dla zawarcia Przymierza w dowolnym miejscu – nawet nie w dowolnym miejscu w Sychem. Nie. Zwołał go pod starym (bardzo starym!) dębem.

Ten dąb po raz pierwszy wspomniany jest w 12. rozdziale Księgi Rodzaju jako świadek pierwszego objawienia Boga Abramowi po jego dojściu do ziemi obiecanej. Pod tym dębem Bóg obiecał mu: „Twojemu potomstwu dam tę ziemię", a Abram wybudował tu ołtarz i złożył Panu ofiarę (w. 6 i 7). Drugi raz nasz dąb przywołany jest w Księdze Rodzaju w rozdziale 35. Oto patriarcha Jakub wraz z całą swoją rodziną wraca z wygnania. Kiedy przychodzi do Sychem, każe swoim bliskim oddać przyniesione ze sobą „wszystkie bożki" oraz przedmioty związane z pogańskimi kultami, i cały ów „skarb" zakopuje „pod dębem w Sychem" (Rdz 35, 5). Dzieje się to wszystko niemal zaraz po nocnych zapasach Jakuba z Bogiem – zapasach, z których Jakub narodził się jako Izrael. Ów „dąb w Sychem" był więc niezwykle ważnym „miejscem pamięci" – „pamiętał" wybór Boga dokonany przez Abrama, a także moment radykalnego i ostatecznego nawrócenia Jakuba/Izraela ku Bogu.

W chwili, w której „spoglądał" na zawarcie przymierza Ludu pod wodzą Jozuego z Bogiem, miał już dobrze ponad 600 lat (Abram przyszedł do Sychem ok. 1850 przed Chr., a Jozue wprowadził Izraela do obiecanej mu ziemi ok. 1200 przed Chr.). Pamięć, jaką w sobie kodował, była pamięcią historii, nie mitologii – była pamięcią o ludziach, którzy faktycznie spotkali Boga, wchodząc w to spotkanie „na całego", odnajdując w Nim swoją tożsamość i szczęście. Taką samą perspektywę odsłaniał przed swoim Ludem Jozue.

Pierwszy raz wspominany fragment czytany był we wspomnienie św. Maksymiliana – dokładnie w 80. rocznicę jego męczeńskiej śmierci w obozie koncentracyjnym w Auschwitz. Komentując czytania mszalne, zapraszałem wszystkich do odbycia duchowej pielgrzymki do piwnic Bloku Śmierci. To dla nas niesłychanie ważne „miejsce pamięci": Blok X, cela Maksymiliana, cały obóz. Miejsce pamięci. Miejsce nadziei. Miejsce odkrywania własnej tożsamości i szczęścia. Miejsce decyzji. ©

CZYTANIA LITURGICZNE (5 – 12 IX)

23. niedziela zwykła: Iz 35, 4-7a; Ps 146; Jk 2, 1-5; Mk 7, 31-37;
Poniedziałek: Kol 1, 24 – 2, 3; Ps 62; Łk 6, 6-11;
Wtorek: Kol 2, 6-15; Ps 145; Łk 6, 12-19;
Środa: Mi 5, 1-4a albo Rz 8, 28-30; Ps 13; Mt 1, 1-16. 18-23;
Czwartek: Kol 3, 12-17; Ps 150; Łk 6, 27-38;
Piątek: 1 Tm 1, 1-2. 12-14; Ps 16; Łk 6, 39-42;
Sobota: 1 Tm 1, 15-17; Ps 113; Łk 6, 43-49;
24. niedziela zwykła: Iz 50, 5-9a; Ps 116; Jk 2, 14-18; Mk 8, 27-35.

Wybrał PIOTR SIKORA

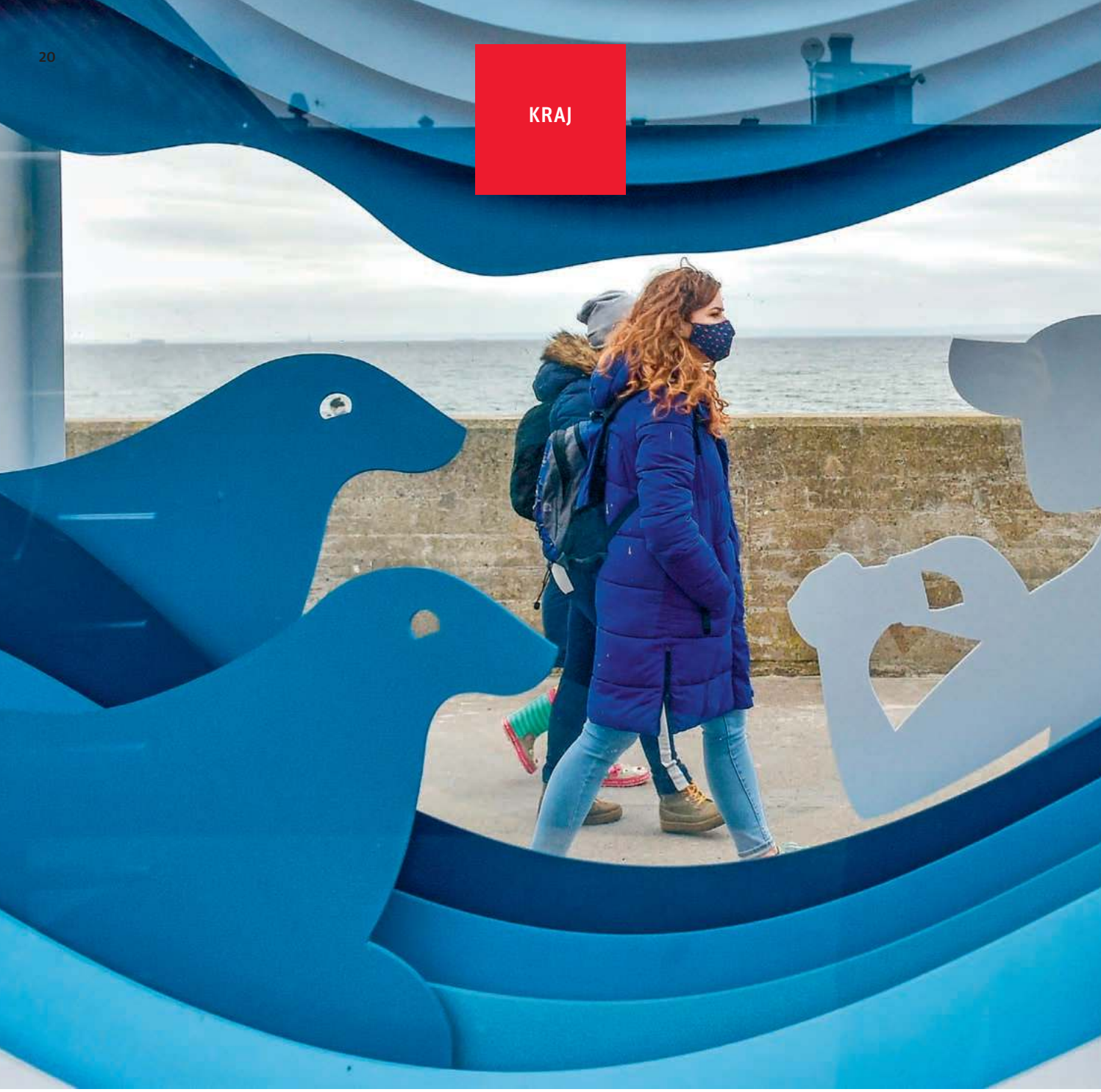

PRZEŁAMUJĄC FALĘ

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK, ANESTEZJOLOG:

Myślę, że dostrzeżemy ją w połowie września.
A mierzymy się z niemal doskonałą mutacją koronawirusa,
bardziej zakaźną, która potrafi przełamać barierę ochronną.

ŁUKASZ DEJNAROWICZ / FORUM

Hel w czasie pandemii, listopad 2020 r.

MACIEJ MÜLLER: Według matematycznego modelu sporządzonego przez naukowców z Politechniki Wrocławskiej w połowie września zacznie się czwarta fala zakażeń koronawirusem. Szczyt ma nastąpić pod koniec listopada z nawet 30 tys. zakażeń dziennie. Czy to prawdopodobny scenariusz?

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK: Jestem ostrożny wobec wszelkich symulacji. Nietrudno sprawdzić, patrząc wstecz, że te prowadzone w zeszłym roku niespecjalnie się sprawdzały, a rozwój pandemii co i rusz zaskakiwał. Obecnie wchodzi w grę nowy wariant SARS-CoV-2, poszczególne kraje przyjmują rozmaite strategie restrykcji, słowem: jest tyle zmiennych, że trudno wziąć je wszystkie pod uwagę. Aczkolwiek 30 tys. infekcji dziennie to liczba, którą osiągnęła w Polsce fala marcowa. W Izraelu, Wielkiej Brytanii czy USA fala wywołana wariantem Delta zbliżyła się do maksymalnych notowań z fali poprzedniej. Więc zapewne tak będzie i u nas.

Czy jednak ta fala naprawdę nadchodzi? Na razie dzienne zachorowania wzrosły w ciągu miesiąca z ok. 100 do 200. To wprawdzie 100 proc. wzrostu, ale jednak te liczby nie robią wrażenia.

Pamiętajmy, że w Polsce przeprowadza się niewiele testów na SARS-CoV-2 w porównaniu do większości krajów europejskich, więc rzeczywista liczba zakażeń może być większa. Z drugiej strony, kiedy w poprzednich falach liczba infekcji rosła, efekt widzieliśmy od razu w szpitalach: zapełniały się oddziały covidowe i intensywnej terapii, pacjenci tłoczyli się w oddziałach ratunkowych. Gdyby więc już teraz działo się coś groźnego, nie moglibyśmy tego przeoczyć. Dlatego niezależnie od niewielkiej liczby wykonywanych testów oceniam, że fala jeszcze do nas nie doszła. Równocześnie nie mam wątpliwości, że to nastąpi. Biorąc pod uwagę opóźnienia, jakie obserwowaliśmy wcześniej wobec krajów południa Europy, Francji czy Niemiec – myślę, że rzeczywiście fala stanie się dostrzegalna w połowie września.

Na ile wariant Delta zmienił zasady gry?

Bardzo – wariant Delta czasami sprawia wrażenie całkiem innej choroby. Nie sprawdza się wiele doświadczeń, które nabyliśmy przy wcześniejszych wariantach koronawirusa. Przede wszystkim Delta jest dwa-trzy razy bardziej zakaźny niż wcześniejszy, Alfa (brytyjski). Druga zasadnicza różnica polega na jego zdolności do przełamywania odporności. Szczepionki nadal w wysokim stopniu chronią przed ciężkim przebiegiem covidu, hospitalizacją i zgonem, ale osłona przed samym zakażeniem jest słabsza niż przy poprzednich wariantach.

Co to znaczy, że wirus jest dwa-trzy razy bardziej zakaźny?

Dawniej jedna zainfekowana osoba była w stanie zakazić znacznie mniejszą liczbę osób. Teraz transmisja Delty w społeczeństwie jest o wiele większa, co jest efektem wyższego współczynnika reprodukcji (R) tego wariantu. Oznacza to, że każda zakażona tym wariantem osoba jest w stanie przekazać wirusa większej liczbie ludzi niż przy zakażeniu wcześniejszymi wariantami (2-, 3-krotnie więcej). Ta ulepszona zdolność do zakażania przekłada się także na to, że osoby zaszczepione i te, które covid przechorowały, mogą zainfekować się ponownie. Wirus przełamuje naszą barierę ochronną. Nie wygląda natomiast na to, żeby Delta wywoływała cięższy przebieg choroby – przynajmniej nie ma na to obecnie mocnych dowodów.

Ale np. gastroenterolodzy zgłaszają więcej objawów z układu pokarmowego.

To prawda, że lekarze obserwują czasem nieco inny początek choroby. Przyzwyczailiśmy się do takich objawów, jak utrata węchu i smaku, uporczywy kaszel. Teraz częściej notuje się wodnisty katar czy objawy brzuszne, ale to na razie początkowe porównania, trudno powiedzieć coś pewnego. Niemniej to wszystko nie oznacza, że zakażenie jest groźniejsze niż dawniej.

Z czego wynika wyższa zakaźność wirusa?

Z mutacji w białku kolca – wirus potrafi skuteczniej związać się z receptorami komórkowymi i przeniknąć do środka komórki. Poza tym wirus intensywniej namnaża się w górnych drogach oddechowych i jest go w wydychanym powietrzu więcej – przez co łatwiej się zakazić.

Połowa polskiej populacji jest zaszczepiona, ale wirus zakaża przynajmniej dwa razy skuteczniej. Co to oznacza?

Że fala może być naprawdę wysoka...

Powiedział Pan przed chwilą, że zaszczepieni też się będą zakażać. Spytam jak adwokat diabła: to po co to było?

Cóż, w nielicznych przypadkach może dochodzić u nich nawet do ciężkiego ↦

↦ przebiegu. Ale absolutnie nie można argumentować, że skoro i tak można się zakazić, to szczepienia nie mają sensu. Z raportu amerykańskiego Centrum Kontroli Chorób (CDC) z hrabstwa Los Angeles, sporządzonego w czasie, kiedy w Stanach Zjednoczonych dominował już wariant Delta, wynika, że u osób nieszczepionych ryzyko zakażenia jest 5 razy większe, a ryzyko hospitalizacji 29 razy większe niż u zaszczepionych.

Szczepienia są najlepszą istniejącą ochroną przed ciężkim przebiegiem choroby. Odpowiedź układu odpornościowego po zetknięciu z wirusem jest zdecydowanie szybsza, szybciej dochodzi do „oczyszczenia" z wirusa, przez co zakaźność osób zaszczepionych jest prawdopodobnie krótsza. Dodatkowo, chociaż ilość wirusa w górnych drogach oddechowych jest porównywalna u osób szczepionych i nieszczepionych, to jest on dużo mniej żywotny. Innymi słowy, zakażenie u zaszczepionych trwa krócej i w mniejszym stopniu zagraża innym.

Czy odporność po przechorowaniu różni się jakościowo od tej po szczepionce?

I po szczepionce, i po przechorowaniu odporność z czasem spada. Szczepienia jednak nie są ukierunkowane na jeden typ wirusa, ale na wiele antygenów, które znajdują się na białku kolca – są dosyć uniwersalne i prawdopodobnie przez to lepiej chronią przed wariantem Delta niż naturalna odporność po przechorowaniu. Naukowcy zgadzają się co do tego, że osoby, które przechorowały covid, powinny się szczepić m.in. ze względu na powstawanie nowych wariantów wirusa. Jest dużo dowodów na to, że osoby, które przebyły zakażenie, już po pierwszej dawce szczepionki zyskują bardzo dobrą ochronę przed ponowną infekcją, również Deltą.

To nieprawda, że skoro wirus potrafi przełamać odporność, to szczepienia nie mają sensu. **U nieszczepionych ryzyko zakażenia jest 5 razy większe,** a hospitalizacji 29 razy większe.

Spadek liczby przeciwciał z biegiem czasu powinien nas niepokoić?

Nie przywiązywałbym do izolowanego pomiaru przeciwciał zbyt dużej wagi. Co prawda to jedyny łatwo mierzalny wskaźnik odporności, jakim dysponujemy, ale nie jest on do końca miarodajny. Przeciwciała to tylko mały fragment dużego obrazka. Są też inne elementy odpowiedzi immunologicznej, jak chociażby komórki pamięci: jeśli chorowaliśmy lub zaszczepiliśmy się, to one w razie zakażenia dosyć szybko wyprodukują nowe przeciwciała. Istnieje też odpowiedź komórkowa, niezwiązana z przeciwciałami, a ona też nie jest łatwa do zmierzenia.

Czy Pana zdaniem rząd powinien umożliwić chętnym przyjęcie trzeciej dawki szczepienia?

Pytanie brzmi, co chcemy tą trzecią dawką uzyskać. Jeżeli chodzi o zmniejszenie liczby ciężkich przebiegów covidu i zapobieganie zgonom, to udaje się to przy dotychczasowym, dwudawkowym schemacie. Ochrona słabnie, ale nie ma bezwzględnej potrzeby powtarzania dawki. Jeżeli myślimy z kolei o zatrzymaniu transmisji wirusa, to nie ma na razie silnych dowodów, że powtórzenie dawki w tym pomoże. Warto obserwować sytuację w Izraelu czy w USA, bo kraje te zdecydowały się na podawanie chętnym dawki przypominającej.

Koniecznie natomiast powinniśmy umożliwić podanie trzeciej dawki – i to jak najszybciej, zanim przyjdzie fala – osobom z obniżoną odpornością, narażonym na najcięższy przebieg choroby. Chodzi głównie o pacjentów po przeszczepach, z chorobami autoimmunologicznymi, łykających leki immunosupresyjne, z nowotworami krwi, jak szpiczak czy przewlekłe białaczki. Dla nich covid jest śmiertelnym zagrożeniem, a szczepionka działa słabiej (na co istnieją mocne dowody). W następnej kolejności trzeba pomyśleć o osobach starszych oraz grupach zawodowych narażonych na kontakt z dużą ilością wirusa, jak pracownicy ochrony zdrowia.

Są nadzieje na to, że znajdziemy w końcu lek na covid?

Wciąż go nie mamy, ale amerykański rząd wpompował gigantyczne pieniądze w rynek farmaceutyczny i badania wyraźnie przyspieszyły. Wiele substancji jest w trakcie badań i sądzę, że przyszły rok będzie przełomowy, jeśli chodzi o metody leczenia. A już teraz wiele się dzieje, w ostatnim czasie wprowadzono np. do praktyki klinicznej przeciwciała monoklonalne, które wydają się działać bardzo skutecznie na początku zakażenia. Przykładowym lekiem jest tu mieszanina przeciwciał o nazwie Regeneron – otrzymał go podczas choroby prezydent Donald Trump. Lek był wtedy w fazie badań klinicznych, obecnie stosuje się go coraz częściej u osób z wysokim ryzykiem ciężkiego przebiegu covidu. Preparaty z przeciwciałami monoklonalnymi są niestety trudno dostępne w Unii Europejskiej.

Naukowcy pracują też nad cząsteczkami mającymi osłabić replikację wirusa, kiedy już dojdzie do zakażenia, ale na tym polu nie ma na razie wielkich osiągnięć. Powstaje natomiast wiele leków przeciwzapalnych, stosowanych w dalszych fazach choroby, kiedy dochodzi już do niewydolności narządowej.

Całkiem niedawno sądziliśmy, że osiągnięcie odporności zbiorowej pozwoli na okiełznanie pandemii. Jednak kraje, którym udało się

OGŁOSZENIE

W Sądzie Rejonowym w Chełmie I Wydział Cywilny toczy się postępowanie (sygn. akt I Ns 4/20) z wniosku Huberta Zdanowskiego o stwierdzenie nabycia spadku po Tomaszu Ćwiek, zmarłym w dniu 11 listopada 2017 roku w Chełmie, ostatnio zamieszkałym w Strupinie Dużym. W skład spadku po Tomaszu Ćwieku wchodzi gospodarstwo rolne o powierzchni 4,71 ha położone w Strupinie Dużym gmina Chełm, opisane w księdze wieczystej nr LU1 C/00026338/8 prowadzonej przez Sąd Rejonowy w Chełmie VI Wydział Ksiąg Wieczystych.

Wzywa się spadkobierców Tomasza Ćwieka, aby w terminie trzech miesięcy od dnia ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie zostaną pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

zaszczepić wysoki odsetek populacji, zmagają się dziś z kolejnymi falami. Czy zwycięstwo jest więc w ogóle możliwe, a jeśli tak, to na czym mogłoby polegać?

Sam coraz mniej wierzę w skuteczność odporności zbiorowej. Próg odporności co jakiś czas rósł: od 75 proc. do nawet 95 proc. przy Delcie. Szanse na to, że covid całkiem zniknie, są nikłe. Szczególnie że w niektórych rejonach świata nie szczepi się prawie w ogóle [według portalu ourworldindata.org. w krajach o najniższym dochodzie przynajmniej jedną dawkę przyjęło zaledwie 1,4 proc. populacji – red.]. Nawet gdybyśmy uodpornili całe nasze społeczeństwo, wirus wróci w zmienionej formie z krajów, które są niezabezpieczone.

Pandemia więc nie wygaśnie. Sądzę, że przyjmie postać endemiczną, czyli będzie powracała okresowo w różnych rejonach świata. W przyszłości czekają nas zapewne dawki przypominające na nowe warianty koronawirusa.

Czy patrząc na kolejne warianty możemy spekulować, w jakim kierunku mutuje SARS-CoV-2 i co chce osiągnąć?

To niemożliwe, bo zmiany są zupełnie przypadkowe. W organizmie każdego człowieka w przebiegu zakażenia może się pojawić kilka miliardów czy wręcz trylionów kopii wirusa. Kiedy on się namnaża, raz na jakiś czas matryca się myli i dochodzi do mutacji. Zmiana może dotyczyć np. białka kolca, i przy odrobinie szczęścia taki zmutowany wirus może przenieść się na kolejne osoby, a w końcu skutecznie zdominować poprzednie warianty. To mutacja funkcjonalna, która sprawia, że wirus jest lepszy niż wcześniejsze wersje. Może być też tak, że zmiana nie ma znaczenia, może też wirusa osłabić.

Jeżeli te miliardy kopii u każdego zakażonego człowieka pomnożymy przez liczbę zakażeń – a np. w Indiach w szczycie pandemii było ich nawet 400 tys. dziennie – to widzimy, jak gigantyczna jest możliwość stworzenia nowego wariantu. Co warto podkreślić: nie jest prawdą, że to szczepionki powodują mutacje wirusa. Jest dokładnie na odwrót: to puszczenie wirusa na żywioł i zwiększenie liczby zakażeń sprawia, że powstają nowe mutacje.

Szanse na to, że covid całkiem zniknie, są nikłe.
Nawet gdybyśmy uodpornili całe nasze społeczeństwo, wirus wróci w zmienionej formie z krajów, które są niezabezpieczone.

Słyszałem hipotezę, że końcowym adresatem koronawirusa mogą stać się dzieci.

To futurystyczne i na razie niepotwierdzone naukowo gdybanie. W różnych miejscach na świecie lekarze obserwują obecnie więcej hospitalizacji dzieci, ale nie da się stwierdzić, czy wynika to z ogólnie większej liczby zakażeń, czy z tego, że wirus wziął na cel populację dziecięcą. Byłbym na razie bardzo ostrożny w formułowaniu hipotez na ten temat.

Jest szansa na to, że koronawirus przestanie być w końcu niebezpieczny dla człowieka, tak jak to się stało z wirusem hiszpanki?

To jest opcja optymistyczna... Dzisiaj mierzymy się z mutacją niemal doskonałą, która bardzo wirusa wzmocniła. Ale nie można wykluczyć, że powstanie forma, która będzie dla nas dużo mniej dokuczliwa. Zakaźna, ale powodująca np. objawy grypopodobne i nic więcej. Wówczas covid stałby się rodzajem sezonowego kataru. Szansa, że to się zdarzy, jest chyba znacznie większa niż na to, że sami tego wirusa zwalczymy.

©℗ Rozmawiał MACIEJ MÜLLER

PROF. WOJCIECH SZCZEKLIK *jest kierownikiem Kliniki Anestezjologii i Intensywnej Terapii w 5. Wojskowym Szpitalu Klinicznym z Polikliniką w Krakowie. Ma specjalizacje z chorób wewnętrznych, anestezjologii i intensywnej terapii oraz immunologii klinicznej. Autor prawie 200 publikacji naukowych.*

TYGODNIK POWSZECHNY

PRZEMOC

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

W następnym wydaniu „Tygodnika Powszechnego" opublikujemy dodatek specjalny na temat przemocy w rodzinie.

Od słowa do czynu – czyli o tym, czym jest przemoc, kto pada jej ofiarą, jakie są jej źródła, a przede wszystkim jak z nią walczyć, opowiedzą eksperci w dziedzinie przemocy i terapeuci.

Wśród autorów m.in.: Kuba Benedyczak, Małgorzata Nocuń, Elżbieta Woydyłło.

WSPÓŁWYDAWCA
FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNER STRATEGICZNY
Komisja Europejska

PARTNER
Centrum Praw Kobiet

Orlęta w potrzasku

MARIUSZ SEPIOŁO

Synowie afgańskiego generała studiują na wojskowej uczelni w Dęblinie. Ich kompetencje mogłyby służyć ojczyźnie. Ale wolny Afganistan upadł, a bracia nie liczą na szybki powrót.

Poniedziałek, 16 sierpnia. Agencje prasowe podają wiadomość: talibowie zajęli Kabul. Tysiące Afgańczyków postanawiają rzucić dobytek i wydostać się z kraju na pokładzie jednego ze startujących ze stolicy samolotów.

Ale lotnisko jest już wtedy pułapką. Tylko w części zarządzane przez amerykańskich żołnierzy – resztę kontrolują talibowie, którzy szturmujących ludzi odganiają kolbami karabinów.

Jednocześnie w całym Kabulu ukrywają się ludzie, dla których władza talibów oznacza najprawdopodobniej okrutną śmierć. Wśród nich są współpracownicy Polskiego Kontyngentu Wojskowego w Afganistanie. Nie mogą tak po prostu zjawić się na lotnisku. Muszą się ukrywać, unikać posterunków, gubić tropy przed ścigającymi ich oddziałami talibów.

W takiej sytuacji znajduje się Muhammad Haidar Naikpai, generał wojsk specjalnych afgańskiej armii (odpowiednika polskiego dowództwa wojsk specjalnych kierującego m.in. jednostką GROM), współpracujący w przeszłości z polskimi żołnierzami z bazy w Ghazni. Kiedy polski rząd ogłasza wysłanie do Kabulu samolotów, które mają wywieźć z kraju współpracowników naszej armii, dla Naikpaia i jego rodziny zaczyna się gra o przetrwanie.

Na wieści w Polsce czekają jego synowie: Elyas i Faiaz, którzy siedem lat temu w wieku 13 i 14 lat przylecieli do Polski, by uczyć się w liceum lotniczym, a potem w Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie, zwanej „Szkołą Orląt".

Kiedy upadł Kabul, bliscy Elyasa i Faiaza znaleźli się w potrzasku. Bracia – dziś mający po 22 i 21 lat – są jednymi z nielicznych Afgańczyków mieszkających w Polsce (według danych Urzędu do Spraw Cudzoziemców, osób pochodzenia afgańskiego posiadających uprawnienia do pobytu było do niedawna w Polsce 233). Większość stanowią tzw. uchodźcy przymusowi. W przypadku Elyasa i Faiaza jest inaczej: do Polski przyjechali z własnej woli i za zgodą rodziny, dzięki pomocy polskich wojskowych z bazy w Ghazni oraz dowódcy operacyjnemu Sił Zbrojnych gen. Markowi Tomaszyckiemu. Kompetencje, które u nas zdobędą, w wolnym Afganistanie mogłyby być na wagę złota.

Ale wygląda na to, że ludzie tacy jak bracia Naikpai mogą jeszcze długo nie być swojemu krajowi potrzebni.

Dom

Rok 1999. 35-milionowy kraj, którego górzyste tereny skrywają ogromne złoża żelaza, miedzi, złota i litu, od dawna dręczony jest wojnami domowymi. Od siedmiu lat państwem rządzą okrutni, uzbrojeni po zęby i nieprzebierający w środkach fanatycy religijni. Jak wynika z raportu Human Rights Watch z 1999 r., na północy kraju talibowie urządzają masakry cywilów, a w innych rejonach próbują kontrolować ludność przy pomocy ekstremalnie restrykcyjnej polityki, szczególnie wobec kobiet.

Mimo wszystko ludzie starają się żyć normalnie. Pracują w urzędach i ledwie zipiącym prywatnym sektorze, prowadzą małe lub większe biznesy, uprawiają rolę i handlują jej płodami na przeludnionych miejskich targach. Kabul jest 5-milionową metropolią, w której mimo wszystko toczy się gęste, uliczne życie.

W takim Afganistanie na świat przychodzi Elyas, a rok później Faiaz. Nie zapamiętają ostatnich lat pierwszego reżimu talibów – będą go znać jedynie z opowieści. Nie pamiętają też interwencji NATO z 2001 r., ataki na wieże WTC w Nowym Jorku znają z internetu. – W domu nie mówiło się o takich sprawach – opowiada Faiaz. – Tylko czasem rodzice opowiadali, że kiedy rządzili talibowie, to ludziom żyło się ciężko. Że kobiety nie mogły pracować i że musiały chodzić w chustach. Na co dzień po prostu staraliśmy się normalnie żyć.

Ich pierwsze wspomnienia to przydomowy ogród i zabawy z licznym rodzeństwem. Aromatyczna kuchnia mamy i gwar kabulskiej ulicy. A także mundur taty.

Mundur – dodajmy – nowej armii afgańskiej, szkolonej i zbrojonej już przez wojska NATO. – Wiedzieliśmy, że tata pracuje w armii, i bardzo nam się to podobało – opowiada młodszy Faiaz. Elyas dodaje: – U nas szanuje się ojca i jego zdanie. Ale każdy z nas mógł spełniać się w tym, co lubił. Ja grałem w piłkę, Faiaz ćwiczył zapasy. A później razem zamarzyliśmy, żeby zostać żołnierzami.

Faiaz śmieje się: – Tak, byliśmy typowymi dziećmi wojskowego. Nie był ja-

ALBERT ZAWADA DLA „TP"

Faiaz, syn afgańskiego generała Muhammada Haidara Naikpaia, przed siedzibą Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie, sierpień 2021 r.

kimś tyranem i nigdy nie zrobił nam krzywdy. Ale wszystko musiało być tak, jak tata powiedział.

Samolot

Elyas i Faiaz od wczesnych lat mają talent do sportu. – Zapasy to sport uczący cierpliwości i pracy nad sobą – mówi młodszy z braci. – Ostatnio trenuję też MMA, to sport przyszłości. W nim ważna jest każda część ciała, każdy mięsień. Ważna jest też głowa, myślenie strategiczne. Przewidywanie ruchu przeciwnika, unik, chwyt w odpowiednim czasie i z odpowiednią siłą.

Po szkole jeżdżą na treningi, chociaż na ulicach ciągle bywa niebezpiecznie. Talibowie nigdy nie zrezygnowali ze swoich ambicji, ciągle podkładają bomby, a w atakach terrorystycznych giną niewinni ludzie. Rodzina Naikpai nie jest szczególnie zamożna, bo nawet oficerowie nie zarabiają wiele. Ale w domu Elyasa i Faiaza niczego nie brakuje. Ich ojciec cieszy się szczególnym respektem sąsiadów. Rozsądnie myślący Afgańczycy nie chcą władzy talibów, a to właśnie wojska NATO i współpracujący z nimi miejscowi są gwarantem, że radykałowie nie powrócą.

Dlaczego to właśnie kilkunastoletni chłopcy wyjadą do Polski, by uczyć się na wojskowych? Prawdopodobnie decyduje o tym przypadek. Są „środkowymi" dziećmi z dziesięciorga rodzeństwa. Starsze potomstwo dba już o dom, kończy szkoły i idzie do pracy. Kiedy pojawia się możliwość wyjazdu do szkoły w Polsce, po prostu pada na Elyasa i Faiaza. Wyjazd i możliwość nauki w Polsce pomagają załatwić koledzy gen. Naikpaia z polskiego kontyngentu w Afganistanie.

Kilka łez przy pożegnaniu, długi lot i lądowanie na Okęciu. – Pamiętam tylko, że jak zobaczyłem Warszawę, to miałem takie „wow!". Było tu zupełnie inaczej niż w Afganistanie – opowiada młodszy z braci. Nie pamięta, jaka była pora dnia i co wtedy czuł. Wie tylko, że na horyzoncie widział piękne słońce, również inne niż w Kabulu. – Do dziś to pamiętam – mówi Faiaz. – Potem długo jechaliśmy i słońce nagle zaszło. Od razu zrobiło się ciemno. Na miejsce dotarliśmy po zmroku.

Rano pobudka i pierwsze zderzenie z nowym światem: polskie śniadanie. Domowa, afgańska kuchnia to do dzisiaj coś, za czym bracia tęsknią najbardziej.

Egzamin

Początkowo Dęblin nie robi na nich dobrego wrażenia. Kilka uliczek, przy nich banki, sklepy, kwiaciarnie, apteki, knajpki. Pędzący za swoimi sprawami ludzie, ze zdziwieniem patrzący na ciemniejszy odcień skóry.

Ale poza ścisłym centrum jest już dużo ładniej. Wojskowa uczelnia mieści się w kompleksie kilkunastu przedwojennych budynków. Obok piękny park, po którym chodzą uczniowie, studenci i kadra: wszyscy w mundurach i pod pagonami.

Elyas i Faiaz trafiają razem do pierwszej klasy liceum. Uczą się z Polakami i wyłącznie po polsku. Z początku towarzyszy im tłumacz. Pomaga w załatwianiu spraw, dogadywaniu się z nauczycielami i kolegami z klasy. Z czasem przestaje być potrzebny, a chłopcy naturalnie wsiąkają w szkolną społeczność. Z polskiego zdają maturę, taką samą jak Polacy. Na rozwiązanie zadań mają tylko pół godziny więcej od innych.

W tym czasie Afganistan zmienia się nie do poznania. 20 procent kobiet ma stałe zatrudnienie, 3,5 mln dziewczynek uczy się w afgańskich szkołach (przypomnijmy: w 1999 r. liczba ta wynosiła 9 tys.). Ludzie zdążyli już przyzwyczaić się do obywatelskich swobód. Powoli rozwija się nawet turystyka – gałąź biznesu, która za rządów talibów praktycznie nie istniała. Kabul nowocześnieje.

Jednocześnie talibowie ciągle pozostają silni i choć stracili władzę, nadal planują ↦

↦ zaprowadzenie własnych porządków, jeśli tylko przydarzy się okazja. A ta zaczyna się klarować: Amerykanie zapowiadają wycofanie swoich wojsk z Afganistanu. Afgańskich przywódców o ból głowy przyprawia pytanie: czy to jest państwo gotowe na samodzielne rządy?

Na razie gen. Naikpai pracuje w bazie w Ghazni, z biegiem czasu awansuje, staje się ważnym oficerem w afgańskich siłach specjalnych. W przyszłość nie spogląda jeszcze ze strachem. Czuje się „przyjacielem Polski" i czuje dumę z uczących się w Europie synów.

Tymczasem Elyas i Faiaz zdają maturę i wybierają pozostanie w Polsce. Chcą studiować. Czują, że teraz ich dom jest także w Dęblinie.

Mundur

Po liceum nie udaje im się dostać na kierunek wojskowy. Jednym z głównych problemów jest brak polskiego obywatelstwa. Na razie nie zostaną więc lotnikami, „orlętami z Dęblina". Studiują na kierunku cywilnym: bezpieczeństwo narodowe z cyberbezpieczeństwem. Poznają tajniki wojny hybrydowej, coraz bardziej powszechnej w dzisiejszych czasach. I nie narzekają. – Żołnierzem jest się nawet bez munduru – mówi z dumą Faiaz.

W Dęblinie spełnia dwa ze swoich największych marzeń: lata szybowcem i skacze ze spadochronem. W powietrzu czuł się tak, jak powinien się czuć każdy lotnik: całkowicie wolny.

Miasto

Pada zimny, sierpniowy deszcz. Faiaz mówi, że zdążył się przyzwyczaić. Zaprasza na obiad do ulubionej knajpki. Idziemy obok głównej ulicy w mieście i omijamy rosnące kałuże. Faiaz wskazuje kolorowe szyldy palcem i objaśnia: – Ten kebab prowadzi Hindus, ten Turek, a ten chłopak z Bangladeszu. Często do nich przychodzę, żeby zjeść i pogadać. Czasem rozmawiamy po polsku, a czasem po persku, żeby nie zapomnieć języka.

W barze siedzi grupa młodych Polaków. Czekają na swoje kanapki i co chwilę podnoszą wzrok znad telefonów, by przyjrzeć się Faiazowi. – W Dęblinie nikt mnie nie zaatakował, nigdy nie musiałem się bronić. Zresztą, to jest małe miasto i wszyscy wiedzą, że trenuję MMA. Wolą się nie wychylać – uśmiecha się Faiaz i sprawdza, jak smakuje mi turecki falafel.

ARCHIWUM PRYWATNE

Elyas, drugi z braci

Starszy Elyas przyznaje: od czasu do czasu słyszy wyzwiska. Do nich, jak do polskiego deszczu, też zdążył już przywyknąć. – Najczęściej wyzywają pijani. Alkohol sprawia, że nie wiedzą, co mówią – twierdzi. I podkreśla, że Polacy na trzeźwo są bardziej przyjaźni.

Na początku obu braciom pomogli koledzy z klasy. Tłumaczyli, podpowiadali, a czasem zapraszali do siebie. Faiaz spędził kiedyś dziesięć dni w domu polskiej rodziny w okresie świąt Bożego Narodzenia. – Było bardzo miło – mówi. – Dużo jedzenia. Pierogi i bigos.

Obaj lubią pograć w gry komputerowe, a Faiaz od czasu do czasu jedzie z kumplami postrzelać w paintballa. – Wbrew pozorom, nie jest to prosta gra. Trzeba ustalić role, przewidywać ruchy przeciwników itd. – tłumaczy. I uśmiecha się: – Ja w strategii jestem dobry. Gorzej z celnością.

Biurokracja

W środę 18 sierpnia ciągle nie wiadomo, czy gen. Naikpaiowi uda się wydostać z kraju. W czwartek rano przychodzi wiadomość: „Wylądował".

Dziś jeszcze nie wiadomo, jak udało mu się wymknąć talibom. Z pewnością nie byłoby to możliwe bez pomocy przyjaciół w Afganistanie i w Polsce, skąd koordynowana była akcja przedostania się na pokład polskiego samolotu.

Z ojcem spotkał się na razie Elyas. Faiaz dołączy do rodziny później. Potem: powrót na uczelnię i nauka. Najlepiej „na żywo", a nie zdalnie. Żeby można się było spotkać z przyjaciółmi.

Obaj są na trzecim roku. A co potem? To się okaże. – Czy chciałbym założyć rodzinę? Tego jeszcze nie wiem. Za młody jestem, żeby o tym myśleć – uśmiecha się Faiaz.

Bracia przebywają w Polsce na podstawie dokumentu przewidzianego Konwencją Genewską, wydawanego raz na dwa lata cudzoziemcom o statusie uchodźcy. Starają się o polskie obywatelstwo, choć z tym jest kłopot.

Mimo zapewnień, że chcą żyć i pracować w Polsce, ich sprawa w dziwny sposób utknęła w urzędowym systemie i nadal nie może być pozytywnie rozwiązana. – Co chwilę składamy jakieś dokumenty i co chwilę wymagane są nowe – mówi Faiaz.

Czy jeśli bracia zostaną w Polsce, znajdą tu swoje stałe miejsce na ziemi? Czy znajdą pracę w wyuczonym zawodzie i czy nie porzucą marzeń o wojsku?

I czy kiedykolwiek wrócą do Afganistanu? Jeśli wrócą: jaki kraj zastaną? Na razie są w zawieszeniu. Muszą czekać – jak ci na kabulskim lotnisku, którym nie udało się dosięgnąć wejścia do samolotu.

Bóg

Nadal wierzą w swój naród. Mają nadzieję, że Afgańczycy oprą się władzy radykałów. – Talibowie nie będą rządzić długo – uważa młodszy z braci. – Kiedy muszą kierować państwem, wojskiem, gospodarką, to zaczynają się gubić.

– To ludzie, którzy idą do boju z Bogiem na ustach, ale tak naprawdę Allah nie jest dla nich ważny. Nie znają Koranu, a wielu z nich nie potrafi nawet czytać i pisać. Potrafią się tylko bić, strzelać, ucinać głowy i ręce – mówi Faiaz. Podkreśla, że sam jest wierzący. Koran czytał dwa razy i nigdzie nie znalazł zapisów, że muzułmanin ma zabijać w imię Allaha.

Według Elyasa zwykli mieszkańcy Afganistanu nie mają nic wspólnego z radykalnym islamem. Dla większości Afgańczyków powrót talibów to koszmar i cofnięcie się o kilka dekad. Nie wierzą w ich zapewnienia, że nie będą się mścić na sprzymierzeńcach Zachodu i że w kraju będzie można żyć i pracować normalnie.

Na manipulację talibów są za to podatni wychowani w biedzie, pozbawieni wykształcenia młodzi ludzie, którzy zasilają ich szeregi. – Talibowie wręczają tym ludziom kluczyk, taki zwykły, metalowy klucz do drzwi. I wmawiają, że to klucze do raju. Z tymi kluczami młodzi talibowie rzucają się do walki albo wysadzają w powietrze – opowiada Faiaz.

I dodaje: – Kiedy ludzie zaczną odczuwać głód, zbuntują się. A wtedy Afganistan, jeśli Bóg da, znowu stanie się wolny.

© MARIUSZ SEPIOŁO

MAREK LASYK / REPORTER

Kard. Stanisław Dziwisz odwiedza pierwsze w Polsce Okno Życia z okazji 10-lecia jego otwarcia. Kraków, marzec 2016 r.

Po drugiej stronie szyby

PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

Ratunek, alternatywa dla „śmietnika i beczki". W taką opowieść 15 lat po powstaniu pierwszego Okna Życia i tuż po znalezieniu w Częstochowie kolejnego dziecka wierzy prawie cała Polska. Czy słusznie?

Czas: najlepszy z możliwych. Było tuż po dwudziestej pierwszej, więc nad miastem zapadał już zmierzch. Miejsce: na pierwszy rzut oka najgorsze. Kilkaset metrów stąd jest Jasna Góra, jeszcze bliżej jedna z bardziej ruchliwych arterii tej części Częstochowy. Ale to pozory: jednokierunkowa, wznosząca się ku klasztorowi ulica św. Kazimierza jest dość spokojna. W dodatku wnękę w murze domu zakonnego sióstr służebniczek starowiejskich wybito z boku budynku, więc postaci, która się nachyla, a potem wkłada do środka dziecko, nie widać ani z ulicy, ani z okien.

16 sierpnia siostry służebniczki usłyszały charakterystyczny alarm po raz szósty od 2008 r. Jak zwykle zakonnica kierująca domem najpierw chwilę odczekała, a później pobiegła na dół. – A gdy dostała się od wewnętrznej strony budynku do środka, to się zdumiała – relacjonuje rzecznik częstochowskiej kurii ks. Mariusz Bakalarz. – Okna są zwyczajowo przeznaczone dla niedawno narodzonych, a siostra dyrektor ujrzała dziecko... siedzące. Niemal dwuletnie, jak się później okazało.

Anna Krawczak, kulturoznawczyni z Interdyscyplinarnego Zespołu Badań nad Dzieciństwem UW, krytyczka Okien Życia: – Formalnie nie ma żadnych limitów: jedynym jest pojemność wnęki. To zresztą problem obecny od czasu tzw. kołowrotów, będących czymś na kształt Okien Życia: w XIX wieku zmniejszano ich obwód, by ludzie nie wkładali do środka czterolatków. W Częstochowie najwyraźniej dwuletnie dziecko było na tyle drobne, że się zmieściło... Tyle że takie dziecko jest już w pełni świadome, wie, kto jest jego matką. Ląduje w jakiejś dziwnej kapsule, matka się oddala, zamiast niej pojawia się obca postać...

Ks. Bakalarz: – Siostra dyrektor wykręciła do mnie numer. Usłyszałem radosne: „Mamy dziecko!".

Łożysko i pępowina

Podobnych historii – choć zwykle dotyczących dzieci nowo narodzonych – było przez 15 lat co najmniej sto piętnaście. Taką liczbę jako minimalną podaje ↦

↦ w każdym razie centrala Caritas, zawiadująca większością polskich Okien Życia (nie uwzględnia przypadków z ostatnich miesięcy ani pojedynczych Okien działających poza Kościołem katolickim). Wśród nich dzieci narodzone w szpitalach i poza nimi; oddane po niedługim czasie do adopcji – i takie, których matki zmieniły zdanie (tak zresztą, jeśli wierzyć lokalnym mediom, było też w Częstochowie).

O historie najlepiej zapamiętane pytam opiekunów najstarszego Okna – założonego 15 lat temu przy Domu Samotnej Matki w Krakowie – gdy spotykamy się w siedzibie zawiadującego Domem Wydziału Duszpasterstwa Rodzin krakowskiej kurii. – Tę historię usłyszałam od dwóch sióstr, Cherubiny i Józefiny, opiekujących się w pierwszych latach krakowskim Oknem właśnie z ramienia Domu Samotnej Matki – opowiada Agnieszka Homan, pracownica krakowskiej Caritas, która zajmowała się przez lata opisywaniem i propagowaniem idei Okien. – Jedno z pierwszych pozostawionych dzieci pochodziło z pozaszpitalnego porodu: siostry znalazły je z nieodciętą pępowiną i łożyskiem, zawinięte w podkoszulek. Pamiętam, jak siostry zakonne [dziś już nieżyjące – red.] powtarzały ze wzruszeniem dwie rzeczy. Pierwsza: że zawsze trzeba w podobnych sytuacjach dziękować kobietom, które oddały dziecko. I druga: że podobne historie pokazują sens Okien.

Siostrę Kanizję, która dziś pracuje w Domu Samotnej Matki, pytam o moc uruchamiającego się w przypadku pozostawienia dziecka alarmu. Odpowiada, że nie da się go nie usłyszeć nawet w środku nocy – jest głośniejszy niż najdonośniejsze szkolne dzwonki. Podczas pięcioletniej posługi siostry trzy razy pozostawiono dziecko w oknie, nie licząc fałszywych alarmów. – Najlepiej zapamiętałam także historię z dzieckiem pochodzącym z porodu poza szpitalem: z pępowiną i łożyskiem – wspomina s. Kanizja. – To był wcześniak, dziecko narodzone w okolicach siódmego miesiąca. Zapamiętałam ogromne napięcie. Wezwana przez nas natychmiast karetka nie mogła dojechać, bo w Krakowie były jakieś remonty. Na szczęście wszystko skończyło się dobrze.

– To, że Okna Życia ratują dzieci, to nie jest nasz wymysł czy narracja, tylko fakt. Pamiętam, jak podczas jednego z jubileuszy krakowskiego Okna ktoś z przedstawicieli policji stwierdził, że od czasu jego powstania jest mniej porzuceń dzieci w przypadkowych miejscach – zapewnia z kolei dyrektor Wydziału Duszpasterstwa Rodzin, ks. dr Paweł Gałuszka.

Kościół i dyskusja

W Okna Życia jako niezastąpiony ratunek i „alternatywę dla śmietnika" zdążyli uwierzyć niemal wszyscy, nie licząc części działaczy na rzecz praw dziecka. Nic więc dziwnego, że przynajmniej niektórzy zawiadujący Oknami przedstawiciele Kościoła nie przywykli do pytań o sens ich istnienia (ks. dr Gałuszka, dowiedziawszy się już podczas naszego spotkania, że w artykule będą również krytyczne wypowiedzi o Oknach, długo wahał się, czy kontynuować spotkanie z dziennikarzem „Tygodnika". Najpierw z dalszej rozmowy stanowczo się wycofał, po chwili zadeklarował chęć kontynuacji, ale z wyraźnym zastrzeżeniem, że nie odpowiada za wydźwięk całego artykułu, a z głosami krytycznymi nie będzie polemizował, gdyż Okna Życia nie posiadają według niego mankamentów).

Tymczasem o ile strona kościelna utrwala narrację o stu piętnastu ocalonych (co ciekawe, bardzo często przy użyciu formuły „Okna uratowały" bądź strony biernej – „dzieci zostały ocalone" – rzadziej zaś dając wyraz temu, że to matka uratowała własne dziecko), o tyle od krytyków nietrudno usłyszeć inny komunikat. Ten o stu piętnastu istnieniach pozbawionych ważnej części własnej tożsamości, i stu piętnastu matkach, których los jest dla państwa nieznany.

A także o Oknach, które mają kilka wad, za to niekoniecznie posiadają główną przypisywaną im zaletę.

Okno albo śmietnik

– Po prostu nie mamy dowodów na to, że ratują życie. Poważne poszlaki wskazują raczej na coś przeciwnego: że kobiety-dzieciobójczynie i te, które pozostawiają dzieci, to dwa odrębne zbiory – uważa Anna Krawczak.

Poszlaka pierwsza: badania kobiet w innych krajach, gdzie funkcjonują tzw. bezpieczne przystanie, tym różniące się od Okien, że zakładają kontakt dyżurującej osoby także z oddającą dziecko kobietą. – W opowieściach tych kobiet nie ma niczego, co by wskazywało, że byłyby zdolne skrzywdzić dzieci – mówi badaczka. – Zabicie dziecka to nie kwestia infrastruktury bądź jej braku. Zresztą bezpiecznych i dostępnych o niemal każdej porze miejsc, w których można pozostawić dziecko, jest więcej. To np. kościoły i posterunki policji.

Poszlaka druga: profile dzieciobójczyń, których cechą jest najczęściej wypieranie faktu ciąży – element, jak mówi Anna Krawczak, nieobecny u kobiet pozostawiających dzieci. Wreszcie trzecia: badania kontekstowe przypadków z polskich Okien Życia. – Wykazały one, że w przygniatającej większości mamy do czynienia z dziećmi zadbanymi, zdrowymi, w dobrej kondycji i bez śladów przemocy – referuje kulturoznawczyni UW. – To nie są sytuacje, które pozwalałyby przypuszczać, że w tle było zagrożenie życia.

Krytykę Okien da się też sprowadzić do ich anachroniczności – to narzędzie skrojone na czasy, kiedy nie zastanawiano się zbytnio ani nad prawami dziecka, ani kobiet. Idea Okien Życia, mówią krytycy, bierze oba te zbiory praw w nawias. Po pierwsze, godząc się na to, że dziecko – wbrew trendowi ostatnich lat, kiedy to adopcyjni rodzice znacznie rzadziej niż kiedyś wypierają historię początku życia przysposobionego potomka – nie pozna ważnej części swojej tożsamości. Po drugie, przechodząc obok historii kobiet, których dalsze losy – zgodnie z naczelną ideą Okien, że nie ściga się i nie karze pozostawiających – są zagadką.

– Tymczasem krytyka Okien w innych krajach, np. w Niemczech, dotyczyła właśnie tego aspektu. Zdarzały się przypadki dzieci pozostawionych przez sutenerów, niezadowolonych z faktu, że ich „pracownica" zaszła w ciążę i urodziła – mówi Anna Krawczak. – Promując tak bardzo ideę Okien, godzimy się z tą niewiedzą oraz z faktem, że nie jesteśmy w stanie pomóc kobiecie. Niezależnie od tego, czy jest niewolnicą, ofiarą przemocy, czy „tylko" pozbawioną wsparcia młodą matką.

Krytycy Okien nie mają też wątpliwości: inne mechanizmy wsparcia i prewencji „dzikich porzuceń" bardziej respektują prawa i dzieci, i kobiet.

Poród i przystań

Jeden z tych mechanizmów oferuje zresztą polskie prawo, a korzysta zeń rocznie nawet do 800 kobiet. To tzw. zgoda blankietowa, czyli dobrowolne zrzeczenie się praw rodzicielskich, w jakimś sensie idealne dla dziecka, bo otwie-

rające szybką ścieżkę adopcji (w odróżnieniu od częstych sytuacji, gdy niezdolna do sprawowania swojej roli matka biologiczna nie zrzeka się praw, sąd latami ociąga się z ostateczną decyzją, a dziecko pozostaje w zawieszeniu).

Tyle że zgodę blankietową trudno traktować jako alternatywę dla Okien Życia – tu przecież (nie zawsze, ale często) lądują dzieci rodzone w tajemnicy przed światem, a więc także poza systemem ochrony zdrowia. To zapewne z myślą o takich sytuacjach prawodawstwa innych krajów oferują dwa inne rozwiązania.

Pierwsze to wspomniana „bezpieczna przystań": wyznaczona przestrzeń, do której matka może przynieść anonimowo dziecko, w odróżnieniu od Okien zakładająca jednak kontakt kobiety z osobą dyżurującą. Choć ta formuła nie wymusza na matce pozostawienia informacji o swoim życiu, w tym o historii medycznej dziecka, to w odróżnieniu od Okien temu sprzyja – kobieta mówi o sobie tyle, ile chce.

– Zaletą drugą jest większa pewność, że osoba pozostawiająca dziecko to faktycznie matka – dodaje Anna Krawczak. – I większa szansa, że w razie potrzeby uda się taką kobietę nakłonić do skorzystania z pomocy, jeśli jest np. ofiarą przemocy albo po prostu jest kompletnie osamotniona. Dochodzi jeszcze do tego ważna kwestia medyczna. Był w Polsce przypadek młodej dziewczyny, która oddała dziecko do Okna, wcześniej ukrywając poród. Wywiązał się u niej poporodowy krwotok. Uratowano jej życie, ale nietrudno wyobrazić sobie inny finał.

Rozwiązanie drugie, też w Polsce nieistniejące: tzw. poród anonimowy. To obecna we Francji i mająca tam sięgającą XIX wieku tradycję procedura zakładająca udzielenie pełnej pomocy okołoporodowej kobiecie, która chce się zrzec dziecka, nie ujawniając swoich danych. – Pracownik bądź pracownica socjalna to jedyna osoba, która pozna tożsamość matki – opisuje Krawczak. – Zapyta o historię medyczną, przebieg ciąży. Poinformuje też o możliwości pozostawienia dziecku informacji na przyszłość: o powodach dramatycznej decyzji, o ewentualnym rodzeństwie, rodzinie. Te informacje, o ile kobieta będzie chciała ich udzielić, zostaną umieszczone w zalakowanej kopercie, do której dostęp będzie miało wyłącznie dziecko, gdy osiągnie już pełnoletniość.

W Oknach Życia pozostawiono co najmniej sto piętnaścioro dzieci: narodzonych w szpitalach i poza nimi; oddanych po niedługim czasie do adopcji – i takich, których matki zmieniły zdanie.

Kościelni opiekunowie Okien Życia odpowiadają na tego rodzaju kontrpropozycje jednym argumentem: tylko Okno oferuje kobiecie stuprocentową anonimowość.

Agnieszka Homan: – Pośrednim dowodem na sens Okien jest także to, że znajdują się w nich również dzieci urodzone w szpitalach. To może sugerować, że matka tak bardzo bała się reakcji otoczenia na swoją decyzję, że nie byłaby po prostu w stanie zrealizować jej w obecności kogokolwiek innego.

Ks. Bakalarz: – Owszem, Okno Życia pozbawia dziecko historii początków życia. Ale być może matka nie chciała, by było tą historią obciążone? Może tak rozumiała jego dobro? Może chciała podarować swojemu dziecku życie, które zacznie się od tego Okna? Próbuję wczuć się w położenie takiej kobiety. Może skorzystała z Okna, bo bała się pytań, ocen albo tego, że ktoś zobaczy w jej oczach ból?

Ks. Gałuszka: – Pamiętajmy, że istnienie Okien Życia nie wyklucza innych decyzji matek, które chcą się zrzec dziecka. Mogą np. przyjść do naszego Domu Samotnej Matki, urodzić i pozostawić potomkowi historię. Nie pytamy tu o wyznanie, nie żądamy świadectwa moralności, nie oceniamy.

Dzieci, ryby i kobiety

Może więc idealne byłoby stworzenie systemu z wachlarzem rozwiązań – porodem anonimowym lub „bezpieczną przystanią" obok funkcjonujących już Okien Życia? Taka opcja podoba się Agnieszce Homan z krakowskiej Caritas.

– Kiedyś spytano prof. Annę Świderkównę, dlaczego stworzyła własny przekład Ewangelii – mówi Homan. – Odpowiedziała, że uczyniła to po to, by istniało więcej niedoskonałych przekładów. Podobnie jest ze wsparciem dzieci i matek: większa liczba niedoskonałych, ale potrzebnych rozwiązań może tylko pomóc.

Także Anna Krawczak woli promocję lepszych jej zdaniem narzędzi niż postulat zamykania Okien (i taki w Polsce padł: wysunęła go Maria Herzog z Komitetu Praw Dziecka przy ONZ, ale nie został podchwycony, nawet przez ówczesnego rzecznika praw dziecka Marka Michalaka). Choć równocześnie uważa, że skupianie się przez lata na Oknach mogło wytworzyć wrażenie, że to normalna procedura, na której powinno zależeć państwu. – Tymczasem stawiając wyłącznie na to rozwiązanie, podkreślając jego stuprocentową anonimowość, traktując bezkrytycznie, godzimy się niejako z istnieniem sytuacji, w której kobieta nie dostaje żadnej pomocy skądkolwiek – mówi Krawczak.

Jak zauważa badaczka z UW, brak innych niż Okna rozwiązań mówi zresztą wiele o panującym nadal w Polsce klimacie wokół praw obywatelskich. – Praw kobiet, od których bardzo wiele wymagamy, za to bardzo niewiele im dajemy – mówi Krawczak. – I praw dzieci, które także się jeszcze w pełni nie przyjęły. Kogoś, kto waży trzy kilo i nie umie mówić, nie nauczyliśmy się jeszcze uznawać za podmiot.

©℗ PRZEMYSŁAW WILCZYŃSKI

POŻEGNANIE

Beacie Kowalskiej
wyrazy serdecznego współczucia
i duchowego wsparcia w związku ze śmiercią
Mamy
składają
PRZYJACIELE Z „TYGODNIKA POWSZECHNEGO"

JACEK

Podsiadło: *Pożar w porze obiadowej*

Kilka dni temu OSP w Kaliskach wydała oświadczenie: „Zarząd Ochotniczej Straży Pożarnej w Kaliskach oświadcza iż, w związku z doniesieniami medialnymi dotyczącymi przedstawionej w artykułach sytuacji, postanowił na swoim posiedzeniu zawiesić w prawach członkowskich członka OSP Kaliska".

Wiem już, za co został zawieszony ów członek, ale wcale nie nad tym zamierzam się pochylić. Oświadczenie powyższe przypomniało mi bowiem co innego: że w obrębie języka polskiego mowa strażacka od dawien dawna wyróżnia się pewną odrębnością. W pamięci mej na zawsze pozostaną teoretyczne podwaliny pod czynność rąbania toporem z przedwojennego jeszcze „Przeglądu Pożarniczego": „Im większy jest rozmach, t. j. im wyżej lub dalej wzniesie rąbiący strażak topór, tem impet spadającego ostrza jest większy. Ważną rolę przy czynności rąbania odgrywa kąt, który tworzy rąbiące ostrze w momencie dotknięcia rąbanego obiektu z płaszczyzną tegoż". Peerelowska zaś nowomowa pożarnicza to ten rodzaj wypowiedzi odczłowieczej, który osiągnął swą doskonałość w na poły improwizowanej, niezapomnianej przemowie Jacka Kleyffa jako naczelnego strażaka w czołówce filmu „Wielka majówka" Krzysztofa Rogulskiego: „Ażeby uchronić naszą Ochotniczą Straż Pożarną od utraty dobrego imienia, proponuję nie wywlekać tej sprawy i jak najprędzej wyrugować kolegę z naszych szeregów, tak jak się usuwa czarną owcę z gniazda, zachowując świadomość, że jest to kara niewspółmierna do winy...".

Już nazwa „straż pożarna" stworzona po wojnie w miejsce przedwojennej „straży ogniowej" to językowy nowotwór będący kaleką kalką z rosyjskiego (po polsku straż powinna być pożarowa lub przeciwpożarowa). Noworoczne „Nowiny Jeleniogórskie" z 1973 r. pod radosnym tytułem „Płoną góry, płoną lasy" informowały o plonie zebranym przez „czerwonego kura" zaledwie w ciągu pięciu dni. PGR Barcinek „stanął w płomieniach na skutek podgrzewania rur ogrzewniczych ogniem przez osobę psychicznie chorą", a na uczniowskim zimowisku w Janowicach Wielkich „halny spowodował zapalenie się sadzy w kominie i objęcie ogniem komórki z materiałami łatwopalnymi. Pożar wybuchł w porze obiadowej i pomimo wczesnego zlokalizowania go zaczęły się już palić stropy i drzwi". Jeśli winni pożarów nie byli psychicznie chorzy, wymieniani byli z nazwiska, jak małoletni M. Kopeć z Podgórzyna, który za pomocą „lampy lutowniczej" spalił łąkę i kawałek lasu, a ich adresy podawano wraz z numerami domów, co wygląda na zachętę do podpalenia w rewanżu tychże domów. Gdyby do takich podpaleń doszło, należałyby one – według podziału dokonanego w tym samym czasie przez red. Adama Tenetę w „Dzienniku Polskim" – do podgrupy „podpaleń z zemsty" w obrębie grupy „podpaleń przestępczych". Red. Teneta opisuje w artykule „Pożar z zazdrości" przypadek Edwarda Malczuka, „mieszkańca wsi Zielona, z zawodu murarza", który wbrew murarskiemu powołaniu podpalił własny dom, w którym zamieszkiwał z pasierbicą. „W dniu, kiedy zamierzał podpalić dom, Malczuk od rana pił wódkę, a gdy pasierbica poszła do pracy, wyjął z pieca kuchennego żarzący się węgiel drzewny, rozsypał go po podłodze, a następnie umieścił na nim odzież i szmaty". W śledztwie zeznał, że podpalił swój dom na złość pasierbicy, bo „nie mógł pogodzić się z tym, że zamierza ona wyjść za mąż", co prowadzi red. Tenetę do konkluzji enigmatycznej niczym oświadczenie OSP w Kaliskach: „Trochę dziwne dla mnie jest całe zachowanie się ojczyma; myślę, że wiele zagadek rodzinnego życia wyświetli w tym procesie przewód sądowy".

Gdybym był obrońcą Malczuka, podniósłbym przed sądem kwestię ogólną, że aby ktoś mógł gasić, ktoś musi podpalać. Nie ma dymu bez ognia, a strażak bez pożaru to jak żołnierz bez karabinu. Właśnie, strażakom, jako formacji mundurowej, również przysługiwał przywilej określany hasłowo „Za mundurem panny sznurem", przy czym podkreślić należy, że osobny sznur panien podążał za sikawką. Zapisane to zostało w rowkach czarnych płyt i pocztówek dźwiękowych. „Te mundury granatowe taki mają wdzięk i szyk, że dziewczyny tracą głowę: tylko strażak albo nikt" – śpiewała Roma Bucharowska. Marek Ostrowski wtórował: „To dzięki nam ojczysty rośnie dom, to zawsze my, strażackiej wierni sprawie, niesiemy wam pomocną silną dłoń".

Że „oddział motopompę ma, sikawkowy radę sobie da", to się raczej pamięta z przeboju Niebiesko-Czarnych. Ale że Zespół Estradowy Patrol jadł kwiaty doniczkowe i ziemię z tych doniczek, to wiedzą tylko posiadacze białego kruka, którego i ja mam w swoich zbiorach: „Znamy cenę nieszczęścia ognia, znamy ból zapłakanych matek, znamy gorzki smak pogorzelisk. Znamy smak własnej ziemi, żyznej roli i kłosów chlebnych, pelargonii na oknach ciepłych". Coś za coś. Znał strażak smak pogorzelisk, znał też przyjemność ratowania niewiast, które wynosił z pożogi w pierwszej kolejności. „Strażak musi być czasem niegrzeczny. Kiedyś, pamiętam, pożar był i kobieta nam się zapaliła. I leci taka paląca się pochodnia, włosy jej się palą, sukienka się pali, no cóż, ja musiałem być trochę, jak to się mówi, ordynus!" – opowiada strażak w „Pejzażu z bohaterem" Włodzimierza Haupego. W piosence Jaremy Stępowskiego ratowana przez strażaka-ordynusa ofiara próbuje się przed nim ratować, stąd dialog: „– Pan się sparzy! – To dla straży zwykła rzecz! Największy płomień w krąg, my nie cofamy rąk!". Sensu szlagwortu Jolanty Wyżykowskiej „Choć poznałam cię w remizie, podziwiałam cię na dachu" na razie wciąż szukam, ale już jestem zauroczony. ©

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK SPECJALNY
„TP" 36/2021

NAGRODA POLIN 2021

MACIEK JAŹWIECKI X3

Nowy Cmentarz Żydowski w Łodzi – obejmująca ponad 40 hektarów największa nekropolia żydowska w Polsce. To tutaj działa Paweł Kulig, laureat Nagrody Polin 2020.

MACIEK JAŹWIECKI

Otworzyć zamknięte drzwi

ZYGMUNT STĘPIŃSKI

jest dyrektorem Muzeum Polin, członek kapituły Konkursu Nagroda Polin 2021

Właśnie obchodzimy 82. rocznicę wybuchu II wojny światowej, która niemal zakończyła historię polskich Żydów, jak również większości społeczności żydowskiej w Europie w ogóle. Ale Hitlerowi i jego pomocnikom się nie udało. Polscy Żydzi są i będą, a ich historię i teraźniejszość opowiada Muzeum Polin: nowoczesne, uhonorowane tytułem najlepszego w Europie, położone w sercu dawnej dzielnicy żydowskiej na warszawskim Muranowie.

Instytucja, którą mam zaszczyt kierować, w ciągu zaledwie 7 lat swego istnienia gościła miliony odwiedzających, zrealizowała najbardziej udane pod względem frekwencyjnym wystawy czasowe po 1989 roku, zorganizowała dziesiątki tysięcy godzin warsztatów edukacyjnych i niezmierzoną liczbę wydarzeń kulturalnych i naukowych.

Nieskromnie powiem, że to dużo. Może nawet bardzo dużo. Ale wciąż za mało, by wypełnić naszą misję. Abyśmy mogli powiedzieć: „nie ma historii Polski bez historii polskich Żydów", potrzeba wspaniałych, odważnych, mądrych i wyjątkowych ludzi, którzy często bez żadnych środków, czasem na przekór przeciwnościom przywracają pamięć o Żydach zamieszkujących ich małe ojczyzny.

Nagroda Polin to jest ich święto, hołd oddany ich pracy, często pracy społecznej, wolontaryjnej. Właśnie za sprawą tych absolutnie niezwykłych osób polscy Żydzi przestają być jedynie wzmianką w podręczniku – dawno zapomnianą, wymarłą historią. Ożywają wspomnienia, ożywa pamięć o ludziach i zdarzeniach, które składają się na nasze wspólne polsko-żydowskie dziedzictwo.

Zachęcam do zgłaszania tych niezwykłych osób do nagrody, którą w tym roku będziemy wręczać po raz siódmy. Oni swoją pracę wykonują często bez większego rozgłosu, skromnie. Czas, by im wszystkim za to podziękować. Zadbajmy więc wspólnie, by ich zaangażowaniu nadać rozgłos. To potrafi otworzyć niejedne zamknięte drzwi. ©

32 Zygmunt Stępiński **OTWORZYĆ ZAMKNIĘTE DRZWI**

33 Piotr Wiślicki **MAŁE PROJEKTY, WIELKA ZMIANA**

34 Rozmowa z Radosławem Wójcikiem **PRZECIWKO OBOJĘTNOŚCI**

36 Nagroda Polin – dotychczasowi finaliści **FOTOREPORTAŻ**

TYGODNIK POWSZECHNY

DODATEK DO „TYGODNIKA POWSZECHNEGO" NR 36/2021 | www.TygodnikPowszechny.pl
REDAKCJA: Michał Sowiński | OPIEKA WYDAWNICZA: Maja Kuczmińska, Marta Filipiuk-Michniewicz | PROMOCJA: Patryk Stanik, Monika Ochędowska
PROJ. GRAF. Marek Zalejski | | FOTOEDYCJA: Grażyna Makara | SKŁAD: Anna Prusiewicz, Renata Surowiec / DoLasu
KOREKTA: Katarzyna Domin, Maciej Szklarczyk

Na okładce: Piotr Matosek, wizualizacja statuetki nagrody

MACIEK JAŹWIECKI X2

Cmentarz żydowski w Koźminie Wielkopolskim – jeden z kilku żydowskich cmentarzy zachowanych w Wielkopolsce. Jego inwentaryzacją zajmuje się Stowarzyszenie Krotochwile nagrodzone wyróżnieniem w konkursie Nagroda Polin w 2020 roku.

ANDRZEJ DANILUK

Małe projekty, wielka zmiana

PIOTR WIŚLICKI

jest przewodniczącym zarządu Stowarzyszenia Żydowski Instytut Historyczny w Polsce, członek kapituły Konkursu Nagroda Polin 2021

Przed wojną w Polsce mieszkało blisko 3,5 miliona Żydów. Pozostawili po sobie wielkie materialne i kulturalne dziedzictwo, rozsiane po miastach, miasteczkach i wsiach całego kraju. Jest to ogromna spuścizna, którą obecna, niewielka społeczność żydowska w Polsce nie jest w stanie zaopiekować się sama – nas, polskich Żydów, jest po prostu zbyt mało.

W życiu jestem optymistą. Wierzę, że dziedzictwo żydowskie w Polsce nie zniknie. W całym kraju spotkać można całe mnóstwo ludzi – lokalnych działaczy i aktywistów, którzy podejmują potężny wysiłek, aby ocalić i upamiętnić spuściznę oraz historię żydowskich mieszkańców swoich miejscowości. Zarośnięte cmentarze są porządkowane, synagogi odzyskują dawny blask, antysemickie bazgroły znikają ze ścian, w wielu miejscach odbywają się festiwale kultury żydowskiej, warsztaty edukacyjne czy wycieczki śladami historii żydowskich sąsiadów.

Pamięć o żydowskim dziedzictwie wraca do tych miejsc po blisko 80 latach – wraca, choć Żydów tam nie ma. Powiedzenie, że ci lokalni aktywiści opiekują się spuścizną Żydów, nie oddaje w pełni skali ich zaangażowania i trudności, z którymi nieraz muszą się mierzyć, a które, mimo wszystko, nie powstrzymują ich od działania.

Nagroda Polin jest formą docenienia ich pracy i wieloletniego wkładu w dbanie o pamięć o dawnych żydowskich mieszkańcach. Jest to misja bliska zarówno Muzeum Polin, jaki i Stowarzyszeniu Żydowski Instytut Historyczny w Polsce, które od lat, w ramach działalności Komisji Grantowej im. Jana Jagielskiego, wspiera bezinteresowną pracę lokalnych działaczy i instytucji. Wierzymy, że te małe projekty, skupiające się na pielęgnowaniu lokalnego dziedzictwa i historii, edukacji i pracy z miejscową społecznością, niosą wielką zmianę, którą tworzą wielcy ludzie. Wspieranie i wyróżnianie ich to nasz obowiązek. ©

Mecenasem konkursu Nagroda Polin 2021 jest Jankilevitsch Foundation. Współorganizatorem finału konkursu Nagroda Polin 2021 jest Stowarzyszenie Żydowski Instytut Historyczny w Polsce.

ORGANIZATORZY

POLIN Muzeum Historii Żydów Polskich

STOWARZYSZENIE ŻYDOWSKI INSTYTUT HISTORYCZNY W POLSCE

Projekt jest finansowany przez Islandię, Liechtenstein i Norwegię w ramach Funduszu EOG oraz przez budżet krajowy

Iceland Liechtenstein Norway grants

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

POLIN Żydowskie Dziedzictwo Kulturowe

Wspólnie działamy na rzecz Europy zielonej, konkurencyjnej i sprzyjającej integracji społecznej

Nagroda Polin

zostanie przyznana w tym roku już po raz siódmy. 30 listopada trafi do osoby lub organizacji aktywnie działającej na rzecz ochrony pamięci o historii polskich Żydów.

Zwycięzca i finaliści konkursu otrzymają nagrody finansowe. Łączna wysokość nagród pieniężnych dla laureata, wyróżnionych i nominowanych wynosi 60 tysięcy złotych.

Do 30 września każdy może zgłosić swojego kandydata poprzez formularz umieszczony na stronie internetowej www.polin.pl/nagroda.

Ogłoszenie laureatów konkursu odbędzie się 30 listopada 2021 roku o godzinie 20.00 na stronie internetowej www.polin.pl oraz w kanałach Muzeum Polin w mediach społecznościowych.

Przeciwko obojętności

RADOSŁAW WÓJCIK, MUZEUM POLIN:

Dbanie o pamięć to hołd dla tych, których już nie ma, ale jednocześnie, co może nawet ważniejsze, wyciąganie wniosków z historii, służące rozwijaniu wrażliwości na problemy współczesnego świata.

MACIEK JAŹWIECKI

MICHAŁ SOWIŃSKI: Kto może otrzymać Nagrodę Polin?

RADOSŁAW WÓJCIK: Każdy, kto zajmuje się tym, co Muzeum Polin robi od momentu otwarcia w 2014 roku, czyli przywracaniem i ochroną pamięci o polskich Żydach.

A konkretnie?

Celowo tego nie doprecyzowujemy, żeby nie ograniczać kreatywnych pomysłów – mogą to być działania z zakresu edukacji, opieki nad cmentarzami i zabytkami lub różne inne formy pielęgnowania pamięci, utrwalania polsko-żydowskiego dziedzictwa czy odkrywania lokalnej historii. Kandydatami do nagrody mogą zostać zarówno osoby fizyczne, jak i najróżniejsze organizacje pozarządowe. Kładziemy jednak nacisk na wymiar społeczny, zależy nam, aby szczególnie doceniać działalność oddolną, która nie wynika bezpośrednio z czyjejś aktywności zawodowej. Ma to ogromne znaczenie szczególnie w przypadku osób, które działają z potrzeby serca lub poczucia misji, a wkładają w to mnóstwo energii, czasu i, nierzadko, własnych pieniędzy.

Jaki stawiacie sobie cel?

Ten pierwszy, statutowy, zawiera się właśnie w szeroko rozumianym dbaniu o pamięć i spuściznę po Żydach, którzy kiedyś byli obywatelami naszego kraju. Chcemy podziękować ludziom, którzy nam w tym pomagają – chodzi o gest symboliczny, ale też wymierne wsparcie materialne, bez którego wielu rzeczy po prostu nie da się zrealizować.

Drugi aspekt naszej nagrody, być może nawet ważniejszy, to popularyzacja tych godnych podziwu postaw – rodzaj impulsu, który być może rozbudzi w innych chęć działania. I chodzi tu zarówno o propagowanie samej idei, jak i o wymiar praktyczny. Osoby nominowane często pracują w małych, lokalnych wspólnotach, bez wsparcia z zewnątrz. A nam zależy na budowaniu relacji – współpracy i przekazywaniu doświadczeń oraz umiejętności, bez których czasem ciężko, pomimo najszczerszych chęci, zacząć działać na własnym podwórku. Nasi laureaci niejednokrotnie musieli z mozołem sami przecierać szlaki w rozmowach z lokalnymi władzami, czasem także sąsiadami – to bezcenne *know-how* z pewnością przyda się innym.

A w szerszym sensie? Co na tym mogą zyskać osoby postronne?

Nasza nagroda pomaga – taką mamy nadzieję – rozwijać powszechną świadomość znaczenia przeszłości w naszym życiu, uczy też szacunku dla spuścizny po ludziach, których już nie ma. Niedawno w „Tygodniku" ukazał się felieton Zuzanny Radzik [zob. „TP" 29/2021], w którym zamarzyła sobie, żeby w każdej gminie w Polsce można było spotkać choćby jedną osobę pełniącą funkcję lokalnego przewodnika pamięci. Kogoś, kto umiałby każdego zainteresowanego wprowadzić w historię danego miejsca – nie tę z podręczników czy tablic informacyjnych, ale właśnie w żywą opowieść o ludziach i świecie, który tworzyli. To jest także nasze marzenie. Dzięki takim ludziom możemy – i mówię tu o wszystkich mieszkańcach naszego kraju – pełniej zrozumieć miejsca, w których żyjemy.

Już parę razy w naszej rozmowie padło słowo „pamięć". To pojęcie wieloznaczne. Jak w tym kontekście należy je rozumieć?

To prawda, tę różnorodność znaczeń dobrze widać na przestrzeni kolejnych edycji naszej nagrody. Poszczególni finaliści zajmują się wieloma rzeczami. Niektórzy np. dbają o cmentarze żydowskie – i jest to najbardziej materialny wymiar troski o pamięć. Inni z kolei zajmują się badaniem, odkrywaniem i upowszechnianiem materiałów archiwalnych, tworząc niesamowite zbiory cyfrowe, które potem bywają wykorzystywane w najróżniejszych celach. Jeszcze inaczej problem pamięci definiują ci, którzy cierpliwie, czasem wręcz mozolnie, próbują przywrócić współczesnym to, co przypadkiem lub celowo zostało wymazane bądź zniszczone. Dużo wiedzy i wytrwałości, a także odrobina szczęścia pozwalają ocalić od zapomnienia rzeczy zupełnie niezwykłe, które w innym przypadku najprawdopodobniej zniknęłyby już na zawsze.

Co byłoby wspólnym mianownikiem tych różnych strategii walki o pamięć?

Marian Turski w swojej niezwykle poruszającej przemowie podczas uroczystości z okazji 75. rocznicy wyzwolenia obozu Auschwitz-Birkenau apelował: „nie bądźcie obojętni". Bo to właśnie obojętność była pierwszym krokiem do największych tragedii XX wieku. Wydaje mi się, że kluczowa – zarówno dla nas, Muzeum Polin, jak i kandydatów do naszej nagrody – jest właśnie niezgoda na

obojętność. Potrzeba działania na rzecz pamięci w tym właśnie ma źródło. Pamięć to przeciwieństwo obojętności – to chyba najzwięźlejsza definicja, o którą pan pytał.

Dochodzimy do sedna problemu, czyli do znaczenia pamięci dla podejmowania decyzji tu i teraz.

Dbanie o pamięć to w oczywisty sposób hołd dla tych, których już nie ma, ale jednocześnie, co może nawet ważniejsze, wyciąganie wniosków z historii, służące rozwijaniu wrażliwości na problemy współczesnego świata.

To już siódma edycja nagrody – co w ciągu tych lat się zmieniło? Widać wymierne efekty pracy, którą wykonujecie?

W pierwszej edycji, która miała miejsce w 2015 r. przy okazji rocznicy otwarcia wystawy stałej Muzeum Polin, kandydatów do nagrody wskazywała sama kapituła. Rok później pojawił się pomysł, żeby ten projekt otworzyć i zaprosić do jego współtworzenia wszystkich chętnych. Dlatego od pięciu lat każdy może zgłaszać kandydatów. Wtedy baliśmy się, że po dwóch czy trzech edycjach nie będziemy mieli już spośród kogo wybierać.

I nie macie?

Rokrocznie dostajemy kilkadziesiąt, a czasem ponad sto zgłoszeń. Błyskawicznie okazało się – co jest powodem naszego nieustannego zdumienia i zachwytu – że w całej Polsce, szczególnie w mniejszych miejscowościach, dzieją się rzeczy, o których nie mieliśmy wcześniej pojęcia. Wiele osób, które poznaliśmy już lata temu, dalej działa i konsekwentnie realizuje następne pomysły, ale co roku pojawiają się też zupełnie nowe, wspaniałe inicjatywy.

Ciekawe, że przy okazji Nagrody Polin pojawia się tak dużo działaczy z małych miejscowości.

W regulaminie konkursu nie ma żadnych ograniczeń ani preferencji geograficznych, ale faktycznie, większość zgłoszeń pochodzi spoza dużych miast. To wynika przede wszystkim z tego, że w większych ośrodkach istnieje sporo instytucji zajmujących się pamięcią, a na prowincji, tam gdzie ich brakuje, tę funkcję mogą pełnić jedynie lokalni aktywiści. Często zaczyna się od jednej osoby, która działa bez żadnego wsparcia, zupełnie nieformalnie. Potem dołączają inni – rodzina, znajomi, sąsiedzi – którzy np. wspólnie zaczynają się opiekować zapuszczonym cmentarzem na uboczu miasteczka. Potem, gdy widać już pierwsze wymierne efekty ich pracy, pojawia się apetyt na większe projekty, wymagające już prawnej formalizacji – tak powstają stowarzyszenia i fundacje, o których robi się głośno w całym regionie, a czasem i poza nim.

Z pewnością jednak widać na mapie zgłoszeń geografię historyczną.

To prawda, dominuje południe i wschód Polski, co oczywiście wynika z historii Żydów na ziemiach polskich.

> Zarówno dla nas, Muzeum Polin, jak i kandydatów do naszej nagrody kluczowa jest właśnie niezgoda na obojętność. Potrzeba działania na rzecz pamięci w tym właśnie ma źródło.

Praca aktywistów przywracających pamięć o Żydach w mniejszych miejscowościach na prowincji z pewnością nie jest wyłącznie usłana różami. Coś się zmieniło w ciągu tych lat istnienia nagrody?

Nie mamy wystarczająco dużo danych, aby móc wyciągać jednoznaczne wnioski: jest lepiej lub gorzej, jest łatwiej lub trudniej. Od samego początku docierały do nas informacje o pewnych problemach czy bliżej nieskonkretyzowanej niechęci, z którą czasem zmuszone są mierzyć się osoby zgłaszane potem do naszej nagrody.

Nieskonkretyzowanej?

Tak, rzadko słyszymy o przypadkach otwartej wrogości – dużo częściej pojawia się bierny opór, „zła atmosfera", jak to czasem określają nominowani. Niedawno zdarzyło się, że jednemu z finalistów naszego konkursu poprzecinano opony pod bramą żydowskiego cmentarza. Częściej natomiast pojawiają się reakcje przeciwne – bywa, że nasi laureaci, zapewne po części za sprawą samej nagrody, zdobywają rozpoznawalność, co ułatwia im choćby współpracę z lokalnymi władzami. Czasem urzędnicy, a przede wszystkim osoby prywatne same zaczynają się zgłaszać z propozycją wsparcia. Innymi słowy, trudno udawać, że nie mamy do czynienia z dwoma ścierającymi się tendencjami.

Która dziś dominuje?

Nie czuję się kompetentny, by to oceniać. Coś innego jednak wydaje mi się ważniejsze, a mianowicie konsekwencja w działaniu naprawdę sporej grupy ludzi – a co roku ich przybywa! – którzy od lat, niezrażeni negatywnymi głosami i innymi przeszkodami, uparcie realizują swoją misję. To jest autentycznie poruszające i bezdyskusyjnie godne podziwu.

Najgorzej jest chyba na początku, na etapie planów. Potem, gdy już uda się odnowić cmentarz albo wyremontować synagogę, głosy krytyczne cichną.

Negatywne emocje zazwyczaj biorą się z plotek, wybujałych domysłów albo zwyczajnej niewiedzy. Np. spotkałem się kilkukrotnie z zupełnie oderwanymi od rzeczywistości insynuacjami, że ktoś jest opłacany przez rząd izraelski albo inną bliżej niedookreśloną instytucję. To częsty mechanizm społeczny, z którym niewiele można zrobić. Trzeba spokojnie i rzetelnie informować o swoich działaniach, zapraszać do współpracy, a jak to nie podziała – nie przejmować się i robić swoje.

Szeroko rozumiana edukacja to chyba najaktywniejsza forma dbania o pamięć.

Szczególnie ważna, ale też trudna, bo jej efekty, w przeciwieństwie do innych działań, można zobaczyć dopiero w przyszłości. Tym bardziej cieszy fakt, że do nagrody zgłaszanych jest tylu nauczycieli, którzy właśnie w edukacji widzą swoją misję dbania o pamięć. Choć każda forma oporu wobec obojętności i zapomnienia jest walką o lepszą przyszłość dla nas wszystkich.

©℗ Rozmawiał MICHAŁ SOWIŃSKI

RADOSŁAW WÓJCIK od 2016 r. jest kierownikiem konkursu Nagroda Polin. W Muzeum Polin zajmuje się organizacją i komunikacją wydarzeń kulturalnych – głównie muzycznych i literackich. Absolwent Szkoły Głównej Handlowej i studiów podyplomowych na kierunku dyplomacja kulturalna na Uniwersytecie Jagiellońskim.

Nagroda Polin

jest przyznawana od 2015 roku. Dotychczas finalistami konkursu zostało już prawie 40 osób. Oto niektórzy z nich.

Opracował MICHAŁ SOWIŃSKI

MACIEK JAŹWIECKI

PAWEŁ BAJERLEIN I PATRYK ANTONIAK, STOWARZYSZENIE KROTOCHWILE

Stowarzyszenie, założone przez Pawła Bajerleina i Patryka Antoniaka w 2012 r., dba o zachowanie lokalnego dziedzictwa żydowskiego w Wielkopolsce. W sierpniu 2020 r. jego członkowie wraz z wolontariuszami przeprowadzili pierwszy etap inwentaryzacji cmentarza w Koźminie Wielkopolskim. Zidentyfikowano wówczas 511 miejsc pochówku i dokładnie opisano ponad 300 nagrobków. Efekty prac publikowane są na prowadzonej przez Stowarzyszenie stronie jewishwlkp.pl. „Za największy sukces uważamy fakt, że społeczność lokalna Jarocina, Koźmina Wielkopolskiego, Krotoszyna i innych miasteczek, w których realizujemy nasze projekty, coraz chętniej się w nie włącza. Ważne jest, żeby pamięć, żeby chęć do działania, żeby dbanie o takie miejsca jak cmentarz żydowski w Koźminie wychodziły bezpośrednio od mieszkańców" (Paweł Bajerlein).

MAGDA STAROWIEYSKA

MAGDALENA LEWKOWICZ

Jest lokalną działaczką, która dba o pamięć o żydowskiej społeczności Warmii i Mazur oraz wielokulturową spuściznę regionu. Podejmuje liczne inicjatywy w zakresie edukacji i wychowania młodych ludzi. Angażuje się w akcje porządkowania starych cmentarzy, jest inicjatorką wycieczek edukacyjnych, projektów i warsztatów dla młodzieży. Autorka gry miejskiej zatytułowanej „Dom Rabina", która zajęła I miejsce w ogólnopolskim konkursie „Pamięć dla przeszłości – Poszukiwanie i upamiętnianie śladów obecności Żydów w przestrzeni lokalnej". Dwukrotnie wyróżniona Nagrodą im. Ireny Sendlerowej „Za naprawianie świata". „Stoję tutaj nie dla siebie, stoję dla nich – dla tych, którzy zostali zapomniani w moim małym miasteczku Mrągowo. Mam ze sobą 54 nazwiska mrągowskich Żydów, których znalazłam. I będę szukać dalej. I w ich imieniu serdecznie dziękuję za to ogromne wyróżnienie" – mówiła wzruszona, odbierając wyróżnienie w 2018 r.

NATALIA BARTCZAK

Otrzymała nagrodę w 2019 r. Od wielu lat opiekuje się cmentarzem żydowskim w Wińsku. Podczas studiów archeologicznych w Instytucie Prahistorii UAM w Poznaniu obroniła pracę magisterską „Cmentarz żydowski w Wińsku, pow. Wołów", która stała się dla gminy Wińsko podstawą do aplikowania o środki unijne na rewitalizację cmentarza. Ponadto Natalia Bartczak była konsultantką tłumacza książki Rity Steinhardt-Botwinick „Wińsko 1933-1946", przyczyniła się do powstania filmu „Maleństwo na górce" i wystawy plenerowej starych fotografii o niemiecko-żydowsko-polskiej historii Wińska. „Nigdy nie spodziewałabym się, że moja praca tak zostanie doceniona. Mój początek opieki nad cmentarzem nie był wynikiem jakiegoś przemyślanego planu, po prostu był impulsem" – mówiła odbierając nagrodę.

MAGDA STAROWIEYSKA

JUSTYNA BIERNAT

Jest założycielką Fundacji Pasaże Pamięci. Od wielu lat chroni pamięć o tomaszowskich Żydach i utrzymuje stały kontakt z ich potomkami. Realizuje projekty edukacyjno-artystyczne, prowadzi spacery śladami tomaszowskiego getta, pisze artykuły naukowe. Na stronie Fundacji publikuje dwujęzyczne teksty poświęcone żydowskiej historii Tomaszowa Mazowieckiego. „Chciałabym, aby Żydzi zostali włączeni w zbiorową pamięć Tomaszowa Mazowieckiego. Chciałabym, aby Tomaszów pamiętał o Żydach i aby Żydzi pamiętali o Tomaszowie. Bardzo mi zależy na relacji opartej na wzajemności" – mówiła podczas finału konkursu w 2020 r.

MACIEK JAŹWIECKI

MACIEK JAŹWIECKI

KAROL GŁĘBOCKI

Jest nauczycielem historii w Centrum Kształcenia Zawodowego w Wysokiem Mazowieckiem oraz edukatorem w Izbie Ziemi Wysokomazowieckiej. Od blisko 16 lat uczy młodzież z powiatu wysokomazowieckiego o losach dawnych żydowskich sąsiadów oraz działa na rzecz ocalenia śladów kultury i obecności Żydów w tym mieście. W 2006 r. zainicjował rewitalizację miejscowego cmentarza żydowskiego i od tej pory regularnie organizuje jego sprzątanie. Zajmuje się badaniami nad historią miasta, jest autorem licznych artykułów na ten temat, a także twórcą opracowań internetowych haseł, materiałów edukacyjnych, wystaw i gier miejskich. „Jak powiedział rabin Schudrich, Żydom odebrano życie dwa razy. Pierwszy raz, kiedy uśmiercono ich ciała, i drugi, kiedy odebrano im pamięć. Nie możemy zbudować lepszej przyszłości, jeśli nie poznamy przeszłości. Nie możemy żyć tylko teraźniejszością. To chcę właśnie pokazać swoim uczniom" – mówił podczas finału konkursu w roku 2020.

ROZMOWA

LUDZIE, NIE TRAĆCIE CZASU

KATARZYNA WOLIŃSKA, BOHATERKA KSIĄŻKI SYLWII STANO „OTO JEST KAŚKA”:

Skoro są osoby, które marnują część swojego życia, żeby atakować moje, to widocznie jestem w ich oczach kimś ważnym. Nawet mi to pochlebia.

WOJCIECH BONOWICZ: Naprawdę wypijasz dwa, a nawet trzy litry koli dziennie?

KATARZYNA WOLIŃSKA: Tak, i to tej prawdziwej. Cztery lata temu dowiedziałam się, że tylko w ten sposób mogę uzupełnić fosfor, którego mi brakuje.

Czyli kola jest lekarstwem?

KW: Kola, burgery, w ogóle wszystkie fast foody. I jeszcze szynka konserwowa.

SYLWIA STANO: I zupki chińskie.

Ale makaronik czy zawartość tej małej torebki też?

KW: Najlepiej tylko proszek, ale on sam nie smakuje zbyt dobrze. Pewnego dnia przyszedł pan doktor i mówi: „Pani Kasiu, niech pani pije kolę na śniadanie”. Myślę sobie: „Ale wyróżnienie mnie spotkało”. Przez pierwsze dwa, trzy tygodnie to był raj, czułam się jak na wakacjach: kola, fryteczki, ile tylko zechcę. A teraz jak idę do takiej restauracji, to myślę: „Boże, znowu?!”. Już się tym przesyciłam. Ale idę i jem – bo muszę.

Żeby się ratować.

SS: Kasia ma zdiagnozowany zespół Jadassohna. To jest kompleks kilku wad wrodzonych i związanych z nimi chorób, występujących zresztą w najrozmaitszych kombinacjach. Za kruchość kości odpowiadają znamiona na skórze, produkujące hormon, który powoduje, że stężenie fosforu w organizmie jest zbyt niskie. Kości łatwo się łamią, bo nie ma budulca. Jak spojrzeć na ich przekrój, to wygląda jak sito. A to i tak nieźle, bo w niektórych miejscach nie widać prawie nic.

Od razu dodam, że Kasia ma własną filozofię jedzenia: w ogóle nie je smutnych potraw. Jak coś jest bure, szare, to ona tego nie bierze do ust. Truskawki ze śmietaną i cukrem – proszę bardzo. Ale na przykład pasta z bakłażana już niekoniecznie. Ten jej opór wobec szarego jest częścią szerszej filozofii: chodzi o to, żeby nie otaczać się smutnymi rzeczami.

W książce „Oto jest Kaśka” mówi o swoich chorobach, że to potworna kumulacja.

KW: Urodziłam się chora, nikt jednak nie przypuszczał, że ta choroba będzie tak skomplikowana i, niestety, z biegiem lat będzie się rozwijać tak bardzo na niekorzyść. Zespół Jadassohna jest słabo opracowany, bo choruje na niego niewiele osób, a poszczególne przypadki różnią się między sobą przebiegiem. Nikt nie ma wszystkich objawów naraz. Każdy kolejny rok odsłaniał więc coś nowego, jakąś nową zagadkę.

Z początku oprócz problemów z kośćmi najtrudniejsze było to, że lewa połowa mojego ciała się nie rozwijała. Lewe płuco i lewa nerka były niesprawne. Płakałam tylko prawym okiem. Nasza rodzina mieszkała w Szczebrzeszynie, niedużym mieście, więc do szpitali i lekarzy specjalistów trzeba było dojeżdżać. Mama pracowała w przedszkolu, tata, który się mną zajmował w dzieciństwie, po nieszczęśliwym wypadku zaczął pić i awanturować się. Mama postanowiła, że muszę być jak najbardziej samodzielna. Traktowała mnie jak zdrową córkę, której trzeba tylko trochę bardziej pomagać. No niestety, przed dwudziestymi urodzinami doszedł jeszcze nowotwór złośliwy, którego nikt z nas się nie spodziewał.

Większość życia spędziłaś w szpitalach?

KW: Powiedziałabym, że pół na pół. Jechałam na kilka miesięcy, potem na kilka wracałam. Z tego powodu inne rzeczy też były na pół podzielone, na przykład ubrania. Te lepsze były do szpitala, te gorsze – do domu i na podwórko. Zawsze byłam spakowana, bo nie wiadomo było, kiedy coś się wydarzy. Chodziłam na plac zabaw, zjeżdżałam ze zjeżdżalni, mogłam sobie coś złamać. Ale nie chciałam z niczego rezygnować.

Nigdy nie jechałam do szpitala ze złością. Przeciwnie, traktowałam pobyty tam trochę jak kolonie. Wiedziałam, że za chwilę znów wrócę do domu. Dopiero kiedy dowiedziałam się o raku, przyszedł moment załamania: „Co, jeszcze i to?!”. ↦

Katarzyna Wolińska

MARCIN KALIŃSKI

↦ Ale się pozbierałam. Mam to, co mam. Innego ciała mieć nie będę.

W książce o tym wszystkim, co przeżyłam, czytelnik dowiaduje się po kolei. Jedna historia się kończy, druga zaczyna. Ale w życiu tak nie mogłam, ja te wszystkie rzeczy dostawałam naraz. Czułam, że mam dosyć, że jestem zmęczona, ale wiedziałam, że i tak nie mam wyjścia: nie mogę sobie przecież niczego odłączyć, jakiegoś etapu wycofać, anulować. To, co dostałam, musiałam brać. I naprawdę kocham swoje życie, chociaż jest bardzo trudne i bardzo bolesne. Kocham je i szanuję. Jeśli takie dostałam, to znaczy, że ktoś gdzieś miał na mnie taki plan. Postanowiłam, że ten plan wypełnię najlepiej, jak umiem.

SS: Kasia opowiada o tym tak spokojnie, a ja co chwilę mam ochotę jej przerwać i coś dopowiedzieć. Bo przecież te pobyty w szpitalu wcale nie były miłe. Z jednej strony, trzeba było bardzo szybko wejść w „stado", zaprzyjaźnić się z innymi pacjentkami i pacjentami, żeby nie zostać samą. Stąd te lepsze ciuchy. Z drugiej, nie wolno było za bardzo się przywiązywać, bo pacjenci ciągle się zmieniali. Największym wstrząsem była dla mnie opowieść o tym, jak Kasia leżała na OIOM-ie. Ludzie obok niej umierali, czuć było zapach śmierci, a ona musiała się przełamać i zjeść posiłek. Za niewielkim parawanem stała przygnębiona rodzina, dzieci płakały, a ona kroiła kotlet.

Podobnie z lekcjami samodzielności. Mama mówiła: „Musisz sobie poradzić. Jesteś głodna, chcesz zjeść kanapkę, to sobie ją zrób". Mama Kasi jest najukochańszą mamą na świecie, ale wiedziała, że córkę czeka trudne życie i musi ją do niego przygotować. Więc Kasia, żeby ukroić chleb, przywiązywała go sznurkiem, a kiełbasę kroiła nożyczkami. A kiedy znajomi zabierali ją w weekend na wycieczkę, zostawała z tyłu, ale mówiła: „Nie czekajcie na mnie, dogonię was". I oni bawili się już nad wodą, a ona powoli czołgała się w ich kierunku.

No ale Kasia właśnie taka jest. Zawsze powie: kocham moje życie, jest pięknie, idziemy dalej. Tyle że za tym optymizmem kryje się ogrom tego, co musiała znieść. Pracując nad ostateczną wersją książki, wycięłyśmy mnóstwo takich smutnych scen.

Żeby nie epatować cierpieniem.

KATARZYNA WOLIŃSKA / INSTAGRAM PUDELIJA

Katarzyna Wolińska z mężem Sławkiem

SS: Żeby powiedzieć to, co potrzebne, ale nie za dużo. I żeby zostawić też miejsce na humor. W życiu Kasi było wiele komplikacji. Nawet jeśli chodzi o zespół Jadassohna – nie wiadomo do końca, czy to jest to, czy coś jeszcze innego. Materiał pobrany od Kasi bada Warsaw Genomics, może na podstawie genotypu uda się odpowiedzieć na przykład, jakie są związki między jej wadami wrodzonymi a rakiem.

KW: Jak byłam młodsza, często myślałam, co zrobić ze swoim życiem. Miałam różne marzenia, wierzyłam na przykład, że operacje plastyczne przywrócą mi normalny wygląd. Nie udało się. Pozostało pytanie: czy to moje życie dać na stracenie, czy spróbować jak najlepiej je wykorzystać?

I jak sobie na nie odpowiedziałaś?

KW: Że spróbuję każdy brak, każdą wadę zamienić w zaletę. Na przykład skoro jestem tak wyjątkowa, tak ciekawa z medycznego punktu widzenia, to powinnam pozwolić innym uczyć się na moim przykładzie. Kiedy w szpitalu pojawiają się studenci medycyny, większość pacjentów po dwóch, trzech turach ma już dosyć ich wizyt. Nikt nie lubi być oglądany i badany przez grupę obcych, w dodatku młodych ludzi. A ja mówię lekarzowi: „Niech pan przyprowadzi więcej studentów". Zależy mi na tym, żeby przyszłe lekarki i lekarze uczyli się, jak sobie radzić z takimi trudnymi przypadkami. Jeśli już trafił mi się taki miks, to niech mi się przyjrzą, może na coś wpadną. A może w przyszłości, kiedy trafią na kogoś podobnego, przypomną sobie: „Aha, już to widziałem, wiem, co z tym robić".

Nie nudzi Cię odpowiadanie na wciąż te same pytania?

KW: Przeciwnie. Jestem gadułą, lubię rozmowy z ludźmi, wszystko jedno – dorosłymi czy dziećmi. Ci studenci są często zagubieni, słucham ich i myślę sobie: „Tu mogłabym ci podpowiedzieć...". Bo ja już mam naprawdę sporą wiedzę. Ale jak inaczej oni mają się tego wszystkiego nauczyć, jeśli nie będą mogli zapytać, dotknąć, posłuchać?

Wspomniałaś o dzieciach. Z nimi też masz dobry kontakt?

KW: Dzieci, jak mnie widzą, bardzo się interesują, co mi jest. Dlaczego jeżdżę na wózku, dlaczego mam krzywą buzię,

czemu mój pudel zawsze trzyma się blisko mnie. Te spotkania też wykorzystuję, żeby im pokazać: spokojnie, ja nie gryzę. Dzieci mogą na mnie patrzeć, mogą mnie dotknąć, jeśli chcą, a nawet zapytać o coś wstydliwego. Jestem dla nich kimś w rodzaju Marsjanki, która ich w jakiś sposób pociąga. Rodzice pewnie by powiedzieli: „Nie gap się, bo ta pani zauważy". Ale w ten sposób dzieci nigdy nie poznają kogoś takiego jak ja, nie będą rozumiały, że są różne sposoby przeżywania swojego życia.

Otwartość w stosunku do dzieci mam po mamie. Nawet myślałam, że gdybym była zdrowa, to poszłabym w jej ślady i też została przedszkolanką. Dzieci są cudowne, spontaniczne, szczere. Nie naśmiewają się z cierpienia. Kiedy sześcioletni chłopiec pyta mnie wprost: „Pani ma takie dziwne ręce. Boli to panią czy nie?", to chce zaspokoić swoją ciekawość. I ja zawsze odpowiadam. Na moim osiedlu mieszka chłopczyk, który kiedyś w telewizji usłyszał, że mam nowotwór. Nie wiedział, jaka to choroba, ale podszedł do mnie, kiedy siedziałam na ławce, i mówi: „Proszę pani, moja babcia wczoraj umarła i też miała ten nowotwór. Może pani będzie dłużej żyła". „No, może tak", odpowiedziałam. Bo to było szczere, nie było w tym żadnej złej intencji.

Nie spotkałam się z okrucieństwem ze strony dzieci, a ze strony dorosłych owszem. Zawsze znajdzie się ktoś, kto ci powie, że taka kaleka to powinna siedzieć w domu, a nie pokazywać się ludziom. Niedawno w Szczebrzeszynie podeszło do mnie kilka młodych dziewczyn. Powiedziały: „Proszę pani, pani jest dla nas piękna". Zrobiło mi się bardzo przyjemnie. Widzę przecież na zdjęciach, jak wyglądam, one też widziały. A jednak popatrzyły na mnie inaczej.

Opowiedz o swoich czterech mamach.

KW: Najważniejsza jest oczywiście moja rodzona mama – mama Ela. Cudowna, kochana, przeszła ze mną całą drogę i nadal jest blisko. Bez niej niczego bym nie osiągnęła. Kiedy operowano mojego raka, spała w szpitalu na kocu rozłożonym na podłodze. Druga mama to moja chrzestna matka – ciocia Halinka. Kiedy mój brat miał wypadek, spadł ze słupa wysokiego napięcia i się połamał, to moja mama musiała przy nim czuwać. I wtedy najczęściej zajmowała się mną ciocia. Wiem, że zawsze mogę na nią liczyć.

Wiele osób powiedziałoby: **schowaj to, zakryj, niech nikt nie widzi.** A ja uważam, że trzeba to pokazać, żeby ludzie wiedzieli, że życie ma również takie barwy. Żeby się nie bali.

Ale mam jeszcze dwie mamy gratis. Jedna to jest moja pani doktor – Elżbieta Jelonek z Centrum Zdrowia Dziecka. Kiedy musiałam iść do szpitala, ona przejmowała rolę mamy. Owszem, przytulała, całowała, gdy miałam zły dzień, ale umiała też huknąć, kiedy nie chciałam ćwiczyć albo kombinowałam z jedzeniem czy z lekami. Pozwoliła mi jeździć po szpitalu na specjalnym rowerku, bo wiedziała, że inaczej ciągle będę sobie coś łamać.

SS: To właśnie doktor Jelonek zwróciła mi uwagę, że Kasia jest fenomenem nie tylko fizycznym, ale psychicznym: ma w sobie bezapelacyjną i bezprecedensową wolę życia. „Widziałam wielu pacjentów, którzy mieli wolę i determinację, ale nikogo takiego jak Kaśka", powiedziała.

KW: A później doszła jeszcze czwarta mama – Ania Dymna. Jej najczęściej się zwierzam, wypłakuję. Staram się mamie Eli oszczędzić kolejnych problemów i stresów, więc dzwonię do Ani i opowiadam, co u mnie. Ona mówi: „Kaśka, damy radę. Tyle już przeszłaś, to i z tym sobie poradzisz. Poczekaj dzień, dwa, sytuacja się uspokoi". No i na ogół tak właśnie się dzieje. Fundacja Ani Dymnej „Mimo Wszystko" bardzo nam pomogła, kiedy postanowiłyśmy z mamą Elą przeprowadzić się do Warszawy.

Każda mama jest więc od czegoś innego, ale dzięki temu mam wybór.

SS: Kasia zawsze słucha, co mamy jej radzą. Ale idzie za radą tej, której opinia w danej sytuacji najbardziej zgadza się z jej przekonaniami.

I jest jeszcze Sławek, który pojawił się w Twoim życiu pięć lat temu.

KW: Pojawił się znienacka. Dałam w internecie ogłoszenie, że chętnie poszłabym z kimś na spacer. I zgłosił się on. Miał długie włosy spięte w kucyk i kolczyki. Nie wiązałam z nim żadnych planów, chciałam po prostu wyjść domu. Ale poszliśmy na spacer i wróciliśmy po pięciu godzinach, bo dobrze nam się rozmawiało. Może pomogło i to, że pchając wózek, widział tylko moje ramiona, a nie mnie całą. A ramiona mam ładne. Umówiliśmy się, że znów się spotkamy. I tak pojawiła się miłość.

Sławek okazał się cudownym mężczyzną i opiekunem. Kiedy go poznałam, bałam się powiedzieć mu całej prawdy o moich chorobach. Myślałam: „Po co? Za chwilę się mną znudzi, stwierdzi, że to jednak nie to". On tymczasem przyjmował wszystko naturalnie. Nawet kiedy podjęliśmy decyzję, że zamieszkamy razem, wstydziłam się prosić o pomoc w toalecie. A dla niego to było tak, jakbym po raz dziesiąty poprosiła o szklankę wody.

W Waszej relacji fascynujące jest to, że potraficie połączyć dwie rzeczy na ogół bardzo trudne do połączenia: wysoki stopień zorganizowania – bo żeby cokolwiek doszło do skutku, trzeba to naprawdę dobrze zaplanować – ze spontanicznością i troską, żeby życie miało smak i kolor.

KW: Wspólne życie to jest bardzo trudne logistycznie przedsięwzięcie. Olimpiada w Tokio nie była tak dobrze zorganizowana jak my. Ale dzięki temu zaczęliśmy tę miłość traktować bardzo poważnie. Skoro już się tak angażujemy, tyle pracy w to wkładamy, to nie możemy tego zmarnować. I to nas coraz bardziej do siebie zbliżało. Im bardziej się staraliśmy, tym bardziej miłość rosła. Sławek dosłownie i w przenośni nosi mnie na rękach, a ja staram się mu zawsze zrobić jakąś drobną przyjemność. Dzięki jego obecności nauczyłam się na przykład piec ciasta. Kilka razy przypaliłam, kilka razy były kuchenne rewolucje, ale nauczyłam się i to robię. Nawet jak wyjdzie zakalec, to on nigdy go nie wyrzuca.

SS: Mogę powiedzieć o locie w kosmos?

KW: Możesz.

SS: Bo marzeniem Sławka był lot w kosmos. Powiedział Kasi o tym już na początku znajomości i ona zaczęła myśleć, jak to jego marzenie spełnić. I kupiła bilety na samolot z Warszawy do Gdańska. ↦

↦ W trakcie lotu okazało się, że Sławek nienawidzi latać, więc wrócili pociągiem. Najpiękniejsze w tej historii jest to, że zamiast czekać, postanowili sprawdzić, czy da się to marzenie spełnić jakoś inaczej.

KW: Zauważyłam, że ludzie marnują mnóstwo czasu na myślenie o tym, że czegoś chcą. Chcą, ale nic nie robią w tym kierunku. Jak marzenie jest zbyt nierealne, trzeba poszukać zamienników.

To porozmawiajmy teraz o Twojej obecności w mediach społecznościowych. Czy to też jest Twój zamiennik?

KW: Życie internetowe stało się dla mnie takim dodatkowym pokojem, którego nie mam wskutek choroby. Wiadomo, że jestem dużo mniej mobilna, jak chcę pojechać gdzieś dalej, to muszę prosić o pomoc. Świat internetowy pozwala mi być samodzielną, podróżować bez krawężników, schodów. Po prostu wchodzę tam i jestem. Poznaję nowych ludzi, pokazuje im swoje zdjęcia, swoje życie, mam tam koleżanki, z którymi mogę plotkować, wymieniać się ubraniami. Staram się, żeby inni oglądali mnie niekoniecznie tylko przez pryzmat choroby, ale nie ukrywam niczego. Nie mam problemu z tym, żeby pokazać się „w wersji szpitalnej": nieumalowana, bez peruki, z podłączonymi kroplówkami czy gorsetem na wierzchu. Wiele osób powiedziałoby: schowaj to, zakryj, niech nikt nie widzi. A ja uważam, że trzeba to pokazać, żeby ludzie wiedzieli, że życie ma również takie barwy. Żeby się nie bali.

Chociaż Twoja strategia jest dość ryzykowna. Wiem, że zarówno mama, jak Sławek uważają, że pokazujesz za dużo.

KW: Wiele osób uważa, że za dużo. Ale ja sądzę, że to jest potrzebne. Jest potrzebne mnie, ale też innym, którzy są jak ci młodzi lekarze – nie mają pojęcia, z czym niekiedy trzeba się zmagać. Żeby wejść w moje życie, muszą wejść w różne jego sfery. Zawsze przy tym staram się być pozytywna. Jeśli ktoś zbierze ze mnie troszkę tej dobrej energii, tej siły, którą tam przekazuję, to super. Wbrew pozorom nie odsłaniam wszystkiego. Na przykład nie pokazuję płaczu, mimo że jestem szczera i jak jest zły czas, to tego nie ukrywam. Ostatnio zrobiłam post o tym, że posprzątałam w szafie. Potem dostałam z 500 zdjęć, każde od innej dziewczyny, że one też poszły sprzątać swoje szafy. Kogoś to może śmieszyć, ale dla mnie to jest miłe.

> Kiedy w szpitalu pojawiają się studenci medycyny, **większość pacjentów po dwóch, trzech turach ma już dosyć ich wizyt.** A ja mówię lekarzowi: „Niech pan przyprowadzi więcej studentów".

Przygotowując książkę, zdecydowałyście się na mały eksperyment: poprosiłyście osoby obserwujące Kasię na Instagramie, żeby przysłały swoje pytania. O co najczęściej pytano?

SS: O seks i różne intymne rzeczy. To nas nawet niespecjalnie zaskoczyło, bo życie seksualne osób z niepełnosprawnością to ciągle temat tabu. Ale były też inne pytania. Na przykład o to, czy jak się jest tak chorą, to od dziecka myśli się o śmierci. Czy ma się kompleksy? Albo myśli samobójcze? Pytano też o stosunek Kasi do operacji plastycznych albo czy jest zadowolona z polskiej służby zdrowia.

Mnie się spodobało pytanie: „Jak znaleźć takiego pomocnego męża jak Sławek?".

KW: Takiego drugiego nie ma, niestety.

Wszystko pięknie, ale Twoja obecność w mediach wywołuje też kontrowersje. Choćby to, że zbierasz pieniądze na różne cele, w tym na, jak to nazywasz, „bajkowe życie", czyli rozmaite drobne przyjemności. Niektórzy bardzo gwałtownie Cię atakują.

KW: To jest najtrudniejszy aspekt działania w internecie. Na początku bardzo się tym przejmowałam, przepłakałam wiele nocy, rozmawiałam z lekarzami, z psychologiem. Najbliżsi mówili: „Nie przejmuj się". Ale tak się nie da. Jeśli czyta się po raz pięćdziesiąty: „umrzyj", „zdychaj", to po jakimś czasie człowiek zaczyna się zastanawiać: „Kurczę, może ja tu rzeczywiście przeszkadzam? Może powinnam się sprzątnąć czy coś?". Teraz mniej to na mnie działa, umiem się odłączyć, nie myśleć o tym. A jeśli już, to pozytywnie. Skoro są osoby, które tyle czasu mi poświęcają, które marnują część swojego życia, żeby atakować moje, pisać o nim źle, oczerniać mnie przed innymi, to widocznie jestem w ich oczach kimś ważnym. Powiedziałabym, że nawet mi to pochlebia.

SS: Filozofka Katarzyna Szumlewicz powiedziała mi, że w Kasi najbardziej podoba jej się to, że ona wybiera dyskurs siły, nie słabości. W mediach społecznościowych nie przedstawia się jako ofiara, tylko jako ktoś, kto chce żyć pełnią życia. Ciekawe, że wielu ludzi to denerwuje.

KW: Traktuję moje życie trochę jak grę komputerową. Mam w niej do przejścia dużo etapów i każdy chcę wygrać, żeby dojść do finału. Kiedy widzę, ile takich „leveli" mam już za sobą, to myślę sobie, że i kolejne mnie nie złamią. A jaki będzie finał? Bez względu na to, czy będzie fajny, czy nie, sama myśl, że dałam radę, że się nie wycofałam, tylko cały czas walczyłam, będzie nagrodą.

Oczywiście, jest trudno. Nie zawsze wstaję z uśmiechem na twarzy. Mam 31 lat, widzę, jak szybko to przeleciało, więc tego czasu, który mi pozostał, nie zamierzam zmarnować na szlochy, narzekania czy przejmowanie się czyjąś złością. Kiedy zjawia się problem, staram się jak najszybciej go pozbyć. Albo się do niego przyzwyczaić – i dalej gnać przez życie.

© Rozmawiał WOJCIECH BONOWICZ

KATARZYNA WOLIŃSKA *prowadzi na Instagramie profil „Pudel i ja", na którym pokazuje codzienne życie osoby z niepełnosprawnością. Z wykształcenia technik informatyk. Prowadzi sklep internetowy. Jej pudel Bers jest pierwszym w Polsce psem tej rasy, który zdał egzamin na psa asystującego.*

SYLWIA STANO *jest dziennikarką, pisarką, kulturoznawczynią. Współpracuje z kwartalnikiem „Przekrój", jest autorką kampanii społecznej „Czytaj! Zobacz więcej" oraz vloga literackiego „Książniczki mają zdanie". Współautorka książek „Ada, to wypada", „Pod podszewką" oraz „Całe szczęście jestem kobietą". Książkę „Oto jest Kaśka" wydało Wydawnictwo Hokus-Pokus. Premiera miała miejsce podczas tegorocznego Festiwalu Stolica Języka Polskiego w Szczebrzeszynie.*

40 LAT CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

Ursula von Rydingsvard

Tylko sztuka / Nothing but Art

4 września – 17 października 2021
Centrum Rzeźby Polskiej
w Orońsku

ul. Topolowa 1,
Orońsko
www.rzezba-oronsko.pl

Dofinansowano ze środków Ministra Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Organizatorzy

CENTRUM RZEŹBY POLSKIEJ

ŁAZIENKI KRÓLEWSKIE

MUZEUM NARODOWE W KRAKOWIE

Galerie Lelong & Co.
Ursula von Rydingsvard Studio

Partner roku jubileuszowego Centrum Rzeźby Polskiej

TOTALIZATOR SPORTOWY

65 LAT TOTALIZATORA SPORTOWEGO

Patronat medialny

TOK FM Pierwsze Radio Informacyjne

TVP KULTURA

TVP 3 WARSZAWA

POLSKIE RADIO RDC Radio dla Ciebie

REKLAMA

REKLAMA

fot. Bartek Cieniawa

MATERIAŁ PARTNERA

Teatr KTO

rozpoczyna nowy rozdział w swojej podróży

– Po 44 latach wędrowania, od polskich ulic i placów po renomowane sale teatralne na całym świecie, otrzymaliśmy budynek w sercu krakowskiego Podgórza, spadek po dawnym Kinie Wrzos. Kraków wzbogacił się o nową scenę, a Teatr KTO ma nareszcie swój dom – mówi dyrektor Jerzy Zoń.

Nowa siedziba Teatru KTO

to kombinacja nowoczesnej przestrzeni dedykowanej teatrowi, pionierskich rozwiązań technologicznych (np. otwierany dach nad sceną) z jednoczesnym zachowaniem odrestaurowanych elementów historycznych, takich jak przedwojenna fasada. Dodatkowym atutem dla krakowian jest piękny ogród na tyłach budynku, dostępny przez siedem dni w tygodniu. **6 i 7 września Teatr KTO zaprasza na spektakl inauguracyjny pt. „Teatr Otwarty" w reż. Jerzego Zonia.**

– Spektakl otwierający nowy rozdział w naszej działalności złożony będzie z etiud przygotowanych przez najwybitniejszych twórców teatralnych z całej Europy. Wykorzystamy charakterystyczne dla Teatru KTO środki wyrazu – elementy teatru w przestrzeni miejskiej, zaskoczenia, instalacji, tańca i performansu. W październiku natomiast ruszamy z regularnym repertuarem scenicznym – dodaje Zoń.

34. ULICA Festival

4 i 5 września, tuż przed otwarciem nowej siedziby, Teatr KTO zaprasza na ULICA Festival. Na Rynku Głównym w Krakowie przez dwa dni wystąpią zagraniczne teatry uliczne, performerzy i akrobaci. Na wszystkie spektakle wstęp jest wolny. Pełny program ULICY: **www.teatrkto.pl**

tekst: Faustyna Ostróżka

ORGANISTKI

Choć z tego zawodu w Polsce nie jest łatwo utrzymać rodzinę, za organowymi kontuarami można spotkać coraz więcej kobiet.

MARCIN CHODUŃ

JACEK TARAN

Gdy cichną słowa pieśni, pośród rozświetlonych, sędziwych murów kościoła św. Mikołaja w Sławkowie płynie jeszcze ostatni, rozsnuty niby mgła akord organowy. Potem nastaje cisza. Ale już po chwili burzy ją odgłos kroków w surowej, gotyckiej wieży. Skrytymi w niej kamiennymi schodami schodzi Małgorzata Kostka – od prawie czterdziestu lat organistka w tutejszej parafii Podwyższenia Krzyża Świętego.

To była jej ostatnia msza tego dnia – czas wrócić do domu.

Czy zechce jeszcze pokazać swoje miejsce pracy? Chętnie – tylko trzeba się pośpieszyć, bo za chwilę zgasną światła.

Córka organisty

Organy z 1956 r., z krakowskiej firmy Biernackiego. Z dwiema klawiaturami, czyli dwumanuałowe. No i klawiaturą nożną, czyli tak zwanym pedałem. Te przyciski tutaj to registry, za pomocą których można zmieniać barwę dźwięku. A więc np.: violonbas, subbas, cello. Oj, wysłużyły się już staruszki – mimo wielu napraw mocno rozstrojone. Dlatego proboszcz rozważa generalny remont obecnego instrumentu lub może nawet budowę nowych organów. Chodzi o to, żeby sławkowski, średniowieczny kościół o wystroju barokowo-rokokowym miał wspaniały instrument.

Z obecnymi organami Małgorzacie nie będzie jednak łatwo się rozstać. Grał na nich jeszcze jej ojciec – właściwie dla tego instrumentu przyjechał w latach 50. do Sławkowa. Ówczesny proboszcz szukał organisty – ojciec Małgorzaty, Stanisław Sabuda z Frydrychowic, zagrał przez kilka niedziel i został dobrze przyjęty zarówno przez ówczesnego proboszcza ks. kanonika Józefa Mruczkowskiego, jak i parafian, w wyniku czego otrzymał posadę. Małgorzata miała wtedy dwa, może trzy lata. W Sławkowie skończyła szkołę podstawową, potem w Krakowie uczęszczała do liceum muzycznego, następnie ukończyła Akademię Muzyczną.

Od wczesnego dzieciństwa ojciec uczył, zaczynając od gry na fortepianie i zasad muzyki, skończywszy na organach. W pierwszych latach szkoły podstawowej potrafiła już zagrać nabożeństwo majowe, czerwcowe i różaniec, a wkrótce także mszę. Czasami zastępowała ojca. Gdy u schyłku życia zaczął chorować, zastępstwa były coraz częstsze. Po śmierci ojca w 2006 r. zajęła jego miejsce.

Wróciła na dobre do Sławkowa, w tutejszym kościele wzięła ślub, urodziła córkę.

Czy zna inne organistki? Owszem, wie, że jest ich całkiem sporo, ale osobiście poznała tylko jedną – młodą dziewczynę ze Śląska.

Trudne szacunki

Wedle ks. Grzegorza Lenarta, duszpasterza organistów archidiecezji krakowskiej, liczbę kobiet grających na organach w polskich kościołach trudno oszacować, z pewnością jednak stale ona rośnie. – Dość liczną grupę stanowią wśród nich na pewno siostry zakonne – mówi. – Jeśli natomiast chodzi o osoby świeckie, to w naszej diecezji stanowisko to może piastować 10-15 kobiet. W innych diecezjach będzie zapewne podobnie.

Dlaczego brakuje dokładnych danych na ten temat? – Choć takie informacje powinny być przekazywane diecezjalnej komisji muzyki kościelnej, to często księża proboszczowie o tym zapominają lub czynią to z opieszałością – tłumaczy ks. Lenart.

Małgorzata Kostka, organistka w parafii Podwyższenia Krzyża Świętego w Sławkowie. 2 sierpnia 2021 r.

Wystarczy jednak zajrzeć do internetu, żeby stwierdzić, że organistek w Polsce – a przecież wiele z nich zapewne nie funkcjonuje w sieci – jest całkiem sporo. I to rozsianych po całym kraju. Rosnącą liczbę organistek widać, wedle ks. Lenarta, choćby na forach organistów oraz w czasie dni skupienia (w archidiecezji krakowskiej odbywają się one raz w roku) i na rekolekcjach dla organistów (dwa razy w roku).

Do niedawna nie było ich wcale – zgodnie z założeniami zapoczątkowanego w drugiej połowie XIX w. reformatorskiego ruchu muzyki sakralnej i liturgii, tzw. cecylianizmu, Pius X w motu proprio „Tra le sollecitudini" w 1903 r. właściwie uniemożliwił kobietom wykonywanie muzyki w kościele w jakiejkolwiek formie. W podobnym tonie utrzymana była konstytucja apostolska „Divini cultus" Piusa XI z roku 1928 czy encyklika „Musicae sacrae disciplina" Piusa XII z roku 1955. Teksty te dotyczyły wprawdzie składu chórów kościelnych, zakładając uczestnictwo w nich jedynie chłopców i mężczyzn, jednak duch tych dokumentów skutkował marginalizowaniem kobiet także w sferze muzyki organowej – do lat 60. XX wieku w kościołach katolickich próżno szukać kobiet w szeregach organistów (inaczej było w kościołach protestanckich, w których organistki zaczęły pojawiać się już pod koniec XIX wieku). Dopiero postanowienia Soboru Watykańskiego II otworzyły kobietom dostęp nie tylko do chórów, ale także do kościelnych organów.

Dziś, zdaniem ks. Lenarta, zainteresowanie kobiet tą profesją widać także w szkołach muzycznych i na wyższych uczelniach – coraz więcej studentek wybiera jako główny przedmiot właśnie organy. Gdy ks. Lenart studiował w Międzyuczelnianym Instytucie Muzyki Kościelnej w Krakowie (były to połączone wydziały Akademii Muzycznej i Uniwersytetu Papieskiego), wówczas na sześciu studentów na jego roku było czterech mężczyzn i dwie kobiety. Jedna z nich jest dziś organistką w jednej z krakowskich parafii.

Pracowita niedziela

Kościół św. Jadwigi Królowej w krakowskiej dzielnicy Krowodrza. Do wieczornej mszy zostało jeszcze kilka minut. Do bocznych drzwi wiodących do kościelnego chóru podchodzi uśmiechnięta Patrycja Knapik. ↦

JACEK TARAN

Patrycja Knapik, organistka w kościele Świętej Jadwigi w Krakowie. 25 sierpnia 2021 r.

Pochodzi z Krakowa, ma 28 lat. Jako dziewczynka śpiewała w parafialnej scholi. I podziwiała pracę organisty. – Już wtedy się zajawiłam – mówi. Poszła do Archidiecezjalnej Szkoły Muzycznej przy kościele pijarów na ulicy Dzielskiego w Krakowie. Na drugim stopniu jako główny instrument wybrała organy. Grała już wówczas na zastępstwach w krakowskich parafiach – choćby u św.św. Piotra i Pawła na ulicy Grodzkiej. Brała też z sukcesem udział w ogólnopolskich konkursach organistowskich – zajmując w nich często jedne z pierwszych miejsc. Sześć lat temu podjęła pracę w parafii św. Jadwigi.

– Od początku pracuję w oparciu o umowę o pracę z zagwarantowanymi zgodnie z prawem wszelkimi świadczeniami. Mnie się udało, bo w niektórych parafiach proboszczowie nie chcą takich umów zawierać.

Małgorzata Kostka oprócz gry na organach uczy jeszcze w trzech szkołach muzyki i edukacji dla bezpieczeństwa. Sławków liczy 7 tysięcy mieszkańców, do kościoła chodzi może kilkanaście procent. – Wyżyć z tego by się nie dało – mówi Małgorzata. Choć gra siedem dni w tygodniu: w dni powszednie rano i wieczorem, a w niedzielę aż na pięciu mszach.

Ks. Grzegorz Lenart: – Proboszczom trzeba uświadamiać, jaką umowę mogą zawrzeć z organistą. Umowa o wolontariat może obowiązywać, jeśli w danej parafii nie ma dużej potrzeby grania na organach – np. tylko przy trzech mszach w niedzielę. W innych przypadkach powinna zostać zawarta umowa zlecenie lub umowa o pracę, w przypadku której obowiązują regulacje zawarte w kodeksie pracy.

Dodaje: – Proboszczowie nie powinni działać na własną rękę. Są zobowiązani przedstawić propozycję zatrudnienia organisty diecezjalnej komisji muzyki, aby mogła ona zdecydować, czy dana osoba ma odpowiednie kwalifikacje. Komisja też często pomaga im spisać odpowiednią umowę. Nie wszyscy proboszczowie korzystają jednak z tej możliwości – wtedy dochodzi do nadużyć prawnych, niezgodnych także z diecezjalnym regulaminem pracy organistów.

– Nigdy bym się nie zgodziła na umowę o wolontariat czy zlecenie – mówi Emilia Głowacka, organistka z Jaktorowa w diecezji łowickiej. – Uważam, że niezależnie od wielkości miejscowości wszyscy organiści powinni mieć umowę o pracę. Nawet jeżeli jest to jedna szósta etatu. Zawód organisty umiera m.in. właśnie dlatego, że organiści nie mają umów o pracę.

Ks. Lenart: – Organistów jest coraz mniej, to znak naszych czasów. I powodów można zapewne szukać w sferze zarobków, choć wynagrodzenie wykształconego organisty w dużej parafii jest bliskie średniej krajowej. Bardzo często od kontuaru organów odrywają organistów zarobki choćby w sektorze informatycznym. Bywa i tak, że na co dzień pracują w korporacji, a popołudniami akompaniują podczas mszy. Robią to z pasji i miłości do muzyki, nie dla pieniędzy.

Emilia Głowacka: – Ja od razu powiedziałam proboszczowi, że jeśli chce mieć organistę, to musimy zawrzeć taką właśnie umowę. Odpowiedział na to: „W życiu nie spotkałem takiej konkretnej osoby”.

Jak królowa Elżbieta

Emilia jako dziecko lubiła grać na pianinie, trochę chodziła do szkoły muzycznej. Kiedyś odwiedził ją wujek, który był organistą. Mama Emilii zaproponowała: „Może nauczyłbyś Emilkę grać na organach?”. I tak się zaczęło. Gdy miała 14 lat, proboszcz w jej rodzinnej parafii, w Jesionce koło Żyrardowa, usłyszał, jak ćwiczy w domu pieśni liturgiczne, i spytał: „Może spróbujesz zagrać dziś wieczorem?”. Zgodziła się. Do dziś pamięta, jak wielki był to stres: – Nogi miałam jak z waty!

To było w piątek, mówiła do siebie w duchu: „Panie Boże, ty umarłeś w piątek na krzyżu, więc to chyba też będzie taki krzyż dla mnie...”. Gdy wyszła z kościoła, powiedziała sobie: „Nigdy więcej!”. Jednak po mniej więcej pół roku zagrała znów – tym razem na ślubie kuzynki. Zaraz po uroczystości proboszcz znowu jej zaproponował: „Emilko, przyjdź proszę jeszcze raz w niedzielę”.

Poszła – i tym razem dużo lepiej poradziła sobie ze zdenerwowaniem. – Tak w wieku 14 lat rozpoczęłam właściwie swoją pierwszą pracę.

Po maturze poszła na studia organistowskie do Instytutu Szkolenia Organistów na Papieskim Wydziale Teologicznym w Warszawie. – Podczas studiów grałam już na zastępstwach w kilku warszawskich parafiach. Po ukończeniu studiów zaczęłam pracować w pełnym wymiarze godzin u Franciszkanów na ulicy Senatorskiej.

Gdy wraz z mężem (też organistą) i dziećmi zamieszkała w Jaktorowie koło Grodziska Mazowieckiego, proboszcz zapytał męża podczas kolędy: „Żona jeszcze w pracy?”. „Tak, pracuje w Warszawie”. „O tej porze?”. „Tak, jest organistką u Franciszkanów”.

Emilia Głowacka: – W tutejszej parafii pracowała wówczas organistka. Wkrótce

potem zdarzył się tragiczny wypadek, w jej domu wybuchł pożar, ona chciała ratować swoje koty i zginęła w płomieniach. Proboszcz zwrócił się do nas. Mąż nie chciał rezygnować z dotychczasowej pracy, mnie też to w sumie niezbyt pasowało, bo w Warszawie pomimo dojazdów wszystko miałam już ułożone. Myślałam sobie wtedy: „A czy tu będzie fajna atmosfera? Bo przecież parafie są różne. Tak zamknąć się na wsi, gdzie od razu stanę się osobą publiczną? Jednak praca w Warszawie to większy prestiż".

Ale proboszcz naciskał: „Pani Emilio, niech pani będzie dobrej myśli, nie będzie tak źle".

Zdecydowała się. Pamięta swoją pierwszą niedzielę w Jaktorowie: proboszcz na wszystkich mszach z dumą ogłaszał, że w kościele jest nowa organistka. – Kazał mi wychodzić na balkon i wszystkim się kłaniać. Zażartowałam, że mógł mnie chociaż uprzedzić, to bym opanowała gest machania do wiernych, jak królowa angielska.

Dwa końce kija

Jaką muzykę grają najchętniej?

Małgorzata mogłaby długo wymieniać. Bardzo lubi Jana Pachelbela, Charlesa Widora czy Oliviera Messiaena, a także kompozytorów współczesnych, jak choćby Henryka Jana Botora czy Wojciecha Kilara. – Najchętniej gram jednak oczywiście Bacha i innych twórców z jego kręgu. Wszystko, co tutaj mam, to właśnie utwory Bacha – pokazuje ułożone na organach nuty.

> Organistów jest coraz mniej między innymi dlatego, że proboszczowie **nie chcą podpisywać z nimi umów o pracę.**

Także dla Patrycji Knapik Bach jest ważnym kompozytorem. – Bardziej przemawiają do mnie utwory smutne. W smutku jest, moim zdaniem, więcej wrażliwości. Smutek wzbudza we mnie emocje, lubię czasami pomedytować nad własnym życiem.

Ks. Grzegorz Lenart: – Wydaje się, że kobiety rzeczywiście częściej niż mężczyźni sięgają do muzyki nostalgicznej. Np. podczas Wielkiego Postu, gdy medytacja nad wydarzeniami zbawczymi jest głębsza, moim zdaniem kobiety zdecydowanie wolą tonacje molowe. Potrzebę głębszej duchowości u kobiet widać także na rekolekcjach czy dniach skupienia – one są tutaj wzorem, nie chcą poprzestawać na tym, co zdobyły w procesie edukacji, bardzo pragną rozwijać swoją duchowość.

Emilia Głowacka: – Śpiew i pieśni o wiele bardziej zbliżają mnie do Boga niż słuchanie kazań. Jednak to kij z dwoma końcami. Nie przepadam za niedzielą – mszy jest wtedy bardzo dużo. Na relacji z Panem Bogiem mogę w tym dniu skupić się jedynie podczas pierwszego nabożeństwa. Na siódmej mszy z rzędu myślę: „Panie Boże, może już wystarczy?".

Muzyka w kościele zbliża do Boga także Patrycję Knapik. – Trzeba jednak bardzo uważać, żeby nie wpaść w rutynę. Czasami się zastanawiam, czy wybrałam w życiu właściwy zawód. Ale jak sobie pomyślę, że mogłabym odejść – to już po chwili stwierdzam, że nie byłoby to możliwe.

Słowo to za mało

Parafia w Sławkowie. Trawnik na kościelnym podwórku lśni od deszczu, wieczorne słońce kryje się za dachami domostw.

– O, w tym domu na parterze mieszkaliśmy z rodzicami – Małgorzata wskazuje budynek wikariatu stojący tuż przy kościele. Po czym zaprasza na herbatę. – Mieszkam niedaleko, możemy pójść skrótem.

Wędrówka bocznymi uliczkami Sławkowa to trochę jak podróż w czasie. Przy uliczce o osobliwej nazwie Wikle pomiędzy sześcianami stosunkowo nowych domostw sporo przycupniętych, lichawych chatek – jakby człowiek znalazł się nagle w przedwojennym, żydowskim sztetlu.

Przy stole pytam Małgorzatę, czy lubi swoją pracę.

Cóż, gdyby nie lubiła, toby tego nie robiła. – Ktoś kiedyś powiedział, że tam, gdzie człowiek spotyka Boga, samo słowo nie wystarczy – dodaje. – I że muzyka jest znakiem Bożej obecności. Próbuję tak grać, żeby tak właśnie było.

© MARCIN CHODUŃ

Zakładnik państwa

O. WIESŁAW DAWIDOWSKI, KONSULTOR RADY EPISKOPATU DS. MIGRACJI, TURYSTYKI I PIELGRZYMEK:

W obecnym kryzysie granicznym dochodzi do spięcia pomiędzy powinnością moralną a polityczną pragmatyką, która prowadzi do poniżania godności konkretnych ludzi. I to jest haniebne.

ARTUR SPORNIAK: Czy Kościół jako instytucja wystarczająco reaguje na kryzys na granicy polsko-białoruskiej?

O. WIESŁAW DAWIDOWSKI OSA: Kościół przede wszystkim stał się zakładnikiem państwa. Wiem od bp. Krzysztofa Zadarki, przewodniczącego Rady Episkopatu ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek, że miejscowa parafia chciała nieść pomoc uchodźcom, koczującym w pasie granicznym między Białorusią a Polską, ale straż graniczna i wojsko nie dopuszczają ani duchownych, ani wolontariuszy. Tu Kościół ma ręce związane przez państwo. Może jedynie apelować do sumień rządzących o to, by otworzyli oczy i dostrzegli konkretnych ludzi wymagających pomocy, a nie jedynie prowokację Łukaszenki. Sytuacja jest patowa i politycznie zaminowana.

Jednak i bp Zadarko, i Rada Biskupów Diecezjalnych w komunikacie po obradach na Jasnej Górze dziękują lokalnej społeczności, gminom, parafiom i Caritasowi za niesienie pomocy. Więc jakaś pomoc docierała.

Był taki moment, że władze pozwoliły przekazać żywność i potrzebne rzeczy.

Natomiast do czasu naszej rozmowy nie zezwoliły na udzielenie pomocy lekarskiej.

I to jest kolejna odsłona skandalicznego postępowania władz, które nie tylko nie chcą przepuścić tych ludzi, grając w grę „to nie polska ziemia, tylko białoruska", ale izolują ich od tych, którzy pomoc chcą nieść.

Łamane jest prawo międzynarodowe. Konwencja o statusie uchodźcy z 1951 r. zobowiązuje państwo, które jest jej sygnatariuszem, do rozpatrzenia wniosku cudzoziemca chcącego oddać się pod jego opiekę.

Można powiedzieć więcej: łamane są prawa człowieka. Powszechna Deklaracja Praw Człowieka stwierdza, że każdy człowiek ma prawo swobodnego poruszania się i wyboru miejsca zamieszkania w granicach każdego państwa. Do tego prawa odwoływali się kolejni papieże: Paweł VI i Jan Paweł II, Benedykt XVI, a teraz Franciszek. O tym prawie mówi też dokument „Erga migrantes caritas Christi" Papieskiej Rady ds. Migrantów i Podróżujących z 2004 r. To jest nauczanie Kościoła. Natomiast w tej konkretnej sytuacji dochodzi do spięcia pomiędzy powinnością moralną a polityczną pragmatyką – pragmatyką która, niestety, doprowadza do poniżania godności konkretnych ludzi. I to jest haniebne.

Czy przewodniczący Episkopatu nie powinien zabrać głosu?

Abp Stanisław Gądecki zapoznaje się z każdym dokumentem, publikowanym przez komisje Episkopatu. Zapoznał się także z apelem Rady ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek na temat sytuacji na granicy polsko-białoruskiej. Nie wyraził zastrzeżeń, zatem identyfikuje się z jego treścią. Rada Biskupów Diecezjalnych także zajęła stanowisko w tej sprawie.

Czy episkopat nie powinien powiedzieć wprost, że polska władza łamie prawa człowieka i prawo międzynarodowe? Zamiast tego mamy ostrożne: „Żywimy przekonanie, że odpowiedzialni za przestrzeganie prawa będą w pełni respektować międzynarodowe zobowiązania wobec osób poszukujących ochrony, w tym również prawa do złożenia wniosku o udzielenie ochrony międzynarodowej".

Diabeł tkwi w szczegółach, a w tym przypadku – w języku. Za łagodnością języka stoi obawa przed zarzutem mieszania się Kościoła do doraźnej polityki, a jednocześnie Kościół ma świadomość, że powinien upominać się o osoby poszukujące ochrony. Nie wiem, czy ostrzejszy język byłby skuteczniejszy w poprawie losu uchodźców. Państwo ma narzędzia do tego, żeby zweryfikować, kim są osoby ubiegające się o azyl polityczny, i sprawdzić ich rzeczywiste intencje. Osoby koczujące na polskiej granicy wcale nie chcą zostać w naszym kraju. Chcą się dostać do Europy Zachodniej, gdzie już mieszkają ich rodziny – mają ze sobą ich zdjęcia. Prawo Unii Europejskiej inaczej podchodzi do takich osób, a nasze władze chętnie się na to powołują, choć inne wymogi Unii lekceważą.

Czy to nie jest polityka straceńcza? Jeżeli osoba, która jest najbardziej chora, umrze, Łukaszenka wykorzysta to przeciwko nam.

Szczycimy się naszym polskim katolicyzmem, wiarą i wartościami chrześcijańskimi. To nasze mniemanie o sobie wystawione jest teraz na ciężką próbę. Polityka prowadzona przez obecnie rządzących jest przy tym niesłychanie krótkowzroczna, obliczona na chwilowy skutek. Będziemy za nią płacić długie lata.

Wróćmy do języka kościelnego. W komunikacie z obrad Rady Biskupów Diecezjalnych pojawiają się ogólne stwierdzenia („sytuacja migrantów i uchodźców zawsze powinna budzić zrozumienie, współczucie i pomoc"), myślenie życzeniowe (prześladowanym „winniśmy okazać postawę chrześcijańskiej gościnności") i delikatna sugestia („oczekujemy od państwa i samorządów wypracowania właściwych dla naszej sytuacji mechanizmów pomocy uchodźcom, które będą mogły być wsparte zaangażowaniem Kościoła w Polsce"). To będzie skuteczne?

Kościół dysponuje wolnymi lokalami, które mógłby udostępnić na taką pomoc – np. pustoszejące seminaria duchowne. Niestety nie mamy w Polsce wypracowanego programu pomocy uchodźcom i do-

MICHAŁ KOŚĆ / FORUM

Ks. Alfred Wierzbicki przed akcją protestacyjną obok miejsca, w którym koczują migranci z Afganistanu. Usnarz Górny, 27 sierpnia 2021 r.

tyczy to nie tylko rządu, ale też Kościoła. Od dwudziestu lat jestem duszpasterzem anglojęzycznych obcokrajowców w Warszawie i widzę, jak zmienia się struktura społeczna tej grupy. To nie jest już duszpasterstwo bogatych ekonomistów z Zachodu czy dyplomatów, tylko praca z biednymi studentami z Afryki czy z Indii, czyli z rejonów, które nazywamy krajami Trzeciego Świata. Nie znamy ich języków, ich kultury, oni mają inny kolor skóry – to wywołuje w Polakach lęk. A Kościół nie ma przemyślanej polityki wobec nich.

Gdy bp Zadarko został szefem Rady ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek, jego poprzednik powiedział mu: „Nie napracuje się ksiądz biskup – to rada nie zabierająca wiele czasu". Tymczasem od nominacji w 2015 r. bp Zadarko jest urobiony po łokcie.

Czy polityczna „miękkość" głosu Kościoła nie jest skutkiem finansowego uzależnienia od pieniędzy państwowych? Z budżetu państwa co roku idzie wiele milionów złotych na Fundusz Kościelny (czyli ubezpieczenia księży, zakonników i zakonnic). Wystarczy zagrozić zmniejszeniem tej kwoty...

Gdy komuniści w latach 50. zeszłego wieku odebrali Kościołowi dobra materialne, arcybiskup Wiednia zapytał Wyszyńskiego: „Jak teraz będziecie żyli?". Wyszyński odpowiedział: „Wreszcie Kościół w Polsce jest Kościołem Chrystusowym, Kościołem ubogich". Można powiedzieć, że to idealizm. Ale jeżeli tego ewangelicznego ideału nie zaczniemy odkrywać w naszych czasach, zawsze będziemy zakładnikiem państwa.

W jednej sprawie Kościół zaczął mówić ostrzej. W komunikacie Rady ds. Migracji czytamy: „Podsycanie niechęci i wrogości względem znajdujących się w dramatycznym położeniu przybyszów jest działaniem niegodziwym". Mowa jest też o „budzeniu ksenofobicznych nastrojów" i „fałszywie rozumianym patriotyzmie". A „wywoływanie strachu przed drugim człowiekiem jest nieludzkie i niechrześcijańskie".

Chcę podkreślić, że ten tekst nie jest głosem tylko bp. Zadarki – wypracowany on został przez wszystkich członków i konsultorów Rady. Chodziło nam o przebudzenie Polaków. Wciąż mnie zdumiewa, że zapominamy o polskich emigrantach, kiedyś życzliwie przyjmowanych przez inne kraje – choćby o wojennej emigracji, która przeszła szlak od Syberii, poprzez Iran i Irak, Palestynę aż do Włoch i do Anglii, a niektórzy znaleźli pomoc w Indiach. Szczycimy się ich bohaterstwem i ich cierpieniem. A nie chcemy dostrzec, że podobny los spotyka dzisiaj ludzi z tych kręgów cywilizacyjnych, w których owa emigracja uzyskała pomoc. To jest odwracanie się od własnej historii i zaprzeczanie chrześcijańskiemu dziedzictwu. Jeżeli ktoś wierzy, że istnieje Bóg na niebie, to przecież patrzy On na nasze czyny.

Tego się lękajmy, a nie uchodźców?

Tak. Pomyślmy, z jakim rękami staniemy po drugiej stronie życia: z czystymi, ale pustymi?! To dla nas czas próby.

Co może zrobić zwykły obywatel, który jest człowiekiem wierzącym, prócz wspierania słusznych apeli?

Powinniśmy zwalczyć odruch myślenia, że sprawa nas nie dotyczy. Dzisiaj budujemy zasieki na granicy Białorusi, ale przecież jest cała linia Karpat i granica z Ukrainą. Prędzej czy później docierać do Polski zaczną większe grupy uciekinierów czy migrantów. To nie do uniknięcia. Przede wszystkim trzeba wzbudzać u ludzi świadomość, że inny niekoniecznie jest groźny. Jeśli się na niego otworzymy, możliwa będzie integracja. Już teraz pracujmy nad programami inkulturacyjnymi. Bo otwarcie granic bez takich konkretnych projektów rzeczywiście szybko przyniesie problemy.

Jak członkowie warszawskiej parafii anglojęzycznej są odbierani przez Polaków, przez inne parafie?

Na terenie Warszawy istnieje trzynaście różnojęzycznych ośrodków duszpasterskich. Nasza wspólnota anglojęzyczna nie ma własnego kościoła, więc funkcjonujemy dzięki gościnności parafii Narodzenia Najświętszej Marii Panny na Lesznie. Wikarym jest Nigeryjczyk. Pomaga nam też student UKSW, który jest także nigeryjskim księdzem. Uczymy katechezy dzieci w ramach szkółki niedzielnej. Przygotowujemy dorosłych do chrztu. To są ludzie z Wielkiej Brytanii, z Iraku, Iranu, z różnych krajów Afryki. Pomagamy znaleźć pracę czy mieszkanie w Warszawie. Sporadycznie i zwykle na krótko trafiają do duszpasterstwa osoby, które przebywają w Polsce nielegalnie.

Kiedyś po mszy podszedł do mnie młody chłopak z Syrii i powiedział: „Ojcze, mieszkałem w Damaszku trzy przecznice od miejsca, w którym nawrócił się św. Paweł, i nie mogę tam wrócić, bo jest wojna. Ojciec sobie nie wyobraża, jak straszna jest to wojna". Poprosił o modlitwę. Nigdy już się nie spotkaliśmy.

©℗ Rozmawiał ARTUR SPORNIAK

O. WIESŁAW DAWIDOWSKI OSA *(ur. 1964) jest duszpasterzem obcokrajowców anglojęzycznych w Warszawie. Konsultor Komisji Episkopatu ds. Migracji, Turystyki i Pielgrzymek. W latach 2012-21 prowincjał Zakonu Świętego Augustyna w Polsce.*

JACQUELYN MARTIN / AP / EAST NEWS

Dominikanka podczas jednego z antyrasistowskich protestów po śmierci George'a Floyda. Waszyngton, 2 czerwca 2020 r.

Etap wstydu

AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ

Amerykańskie zakonnice podjęły proces rozliczania się z udziału w systemowym rasizmie. Rozpoczęły go aktem przeprosin.

W tym roku nasza Konferencja osiągnęła wiek dojrzałości – wiek, od którego przysługuje renta: 65 lat. Innymi słowy, jest w wieku jednej z naszych młodszych członkiń" – rozpoczyna swoje przemówienie siostra Elise D. García, dominikanka, przewodnicząca Leadership Conference of Women Religious (LCWR, o kłopotach z polskim przekładem – niżej), konferencji gromadzącej ok. 80 proc. spośród 40 tysięcy zakonnic w USA. Jak to w Ameryce, żart z samych siebie bywa wstępem do przekazania tego, co naprawdę poruszające i poważne.

Jest 11 sierpnia 2021 r., koniec pierwszego dnia dorocznego zgromadzenia LCWR, który rozpoczął się modlitwą i medytacją. W tym roku, tak jak w 2020, odbywa się ono wirtualnie, dzięki czemu gromadzi ponad 1000 uczestników (ok. 700 sióstr należących do Konferencji oraz 300 gości). Elise D. García wygląda na około 60 lat, ubrana w niebieską marynarkę, spod której widać białą bluzkę, oraz w czarne spodnie, biała, może Latina, z pofalowanymi popielatymi włosami i w zsuniętych nieco okularach – pewnie potrzebuje ich do czytania – stoi w audytorium dominikanek w Adrian w stanie Michigan, przemawiając do grupy sióstr zgromadzonych na miejscu i do tych wszystkich, którzy łączą się zdalnie. W przemówieniu wspomina początki organizacji, a także nie tak odległe czasy sprzed pandemii, kiedy zgromadzenia Konferencji odbywały się twarzą w twarz. Jednak jej przemówienie nie ma być o przeszłości, nosi tytuł: „Tworzenie przestrzeni dla przyszłości".

Ani s. García, ani główna mówczyni kolejnego dnia s. Mercedes L. Casas Sánchez nie skupiają się na trudnej sytuacji sióstr i zgromadzeń (no, może tylko żartobliwie nawiązując do ich starzenia się), ale na sytuacji świata i udziale w jego problemach. S. Sánchez stwierdza: „Tak właśnie widzę zakonnice w USA. Życie zakonne, które z pasją, przejęciem i uważnością podchodzi do codziennej rzeczywistości, do najbardziej naglących wołań ludzkości i stworzenia. (...) Kobiety dotykające spraw, których nie każdy chce dotknąć... Ośmielające się mówić rzeczy, których nie każdy chce słuchać...".

Prorokinie komunii

Taki obraz zakonnic maluje także Zuzanna Radzik w poświęconym siostrom rozdziale „Kościoła kobiet". Wspomina w nim także o zmianie nazwy organizacji, która obecnie nazywa się Leadership Conference of Women Religious, a do 1971 r. – Conference of Major Superiors of Women (Konferencja Wyższych Przełożonych Zakonów Żeńskich). Jak oddać nową nazwę w języku polskim? Dosłownie byłaby to Konferencja Przywództwa Kobiet w Zgromadzeniach. Wydaje się istotne podkreślenie, że chodzi o bycie liderkami i o osoby, które złożyły śluby w zakonach, zgromadzeniach, instytutach, a nie o same te instytucje. W polskim kontekście brzmi to nieswojo, ale może tak właśnie powinno być? Przecież życie zakonne nie jest czymś swojskim i ugłaskanym, nawet jeśli wielu czerpie korzyść z traktowania zakonnic jako bezimiennej i niemal bezpłatnej służby dla księży. Powróćmy jednak za Atlantyk.

Przewodnicząca LCWR wzywa współsiostry, by były prorokiniami komunii, i mówi o tym, co dla wielu Amerykanów, w tym także katolików, niewygodne: „W zeszłym roku (...) byliśmy świadkami umyślnego zabicia George'a Floyda przez policjanta – będącego symbolem koszmaru, arogancji i bezkarności suprema-

cji białych, która od tak dawna rozdziera moralną tkankę naszego narodu i niszczy życie czarnych".

Według Garcíi rok 2020 ujawnił niewypowiadaną wcześniej rzeczywistość – to, że supremacja białych w Stanach Zjednoczonych nie jest tylko fenomenem związanym ze skrajną prawicą, ale potężną, choć przedstawianą jako niewinna, rzeczywistością „obecną w powietrzu, którym oddychamy, i w wodzie, którą pijemy – i dzieje się tak, w różnych odsłonach, już od wieków".

Prof. Joe Feagin, były przewodniczący Amerykańskiego Stowarzyszenia Socjologicznego (ASA) i klasyk badań nad rasizmem w Ameryce, ukazywał rasizm jako rzeczywistość o charakterze systemowym, przejawiającą się w każdej istotnej dziedzinie życia: ekonomii, polityce, edukacji, religii i rodzinie. S. García odnosi się nie tylko do udziału zgromadzeń żeńskich czy Kościoła w grzechu rasizmu, ale wskazuje na całe społeczeństwo USA jako zbudowane na niesprawiedliwym modelu kastowym.

Przewodnicząca LCWR przywołuje książki Isabel Wilkerson, zwłaszcza niedawno wydaną: „Caste: The Origin of Our Discontent" (Kasta: źródło naszego niezadowolenia), w której dziennikarka rozwija analogię między tradycyjną strukturą społeczeństwa w Indiach a segregacją rasową w Stanach Zjednoczonych (na co wskazywał sam Martin Luther King). Wzywając siostry do stawienia czoła rasizmowi, García nie ma na myśli tylko tego, by zakonnice nie głosiły rasistowskich poglądów, ale znacznie więcej.

Niewygodna droga do antyrasizmu

W kontekście ruchu Black Lives Matter w 2020 r. do świadomości szerszej opinii publicznej dotarło pojęcie antyrasizmu. Używający go podkreślali, że nie wystarczy, by ktoś nie był rasistą, potrzeba aktywnie działać przeciw rasizmowi. Tia Noelle Pratt, socjolożka specjalizująca się w badaniu systemowego rasizmu w Kościele katolickim i jego wpływu na tożsamość afroamerykańskich katolików, wyjaśnia, czym jest antyrasizm. W przeprowadzonej w październiku 2020 r. na Dominican University debacie pod tytułem „Antyrasizm, Kościół katolicki i grzech białej supremacji" pracująca na University of Villanova w stanie Pensylwania Pratt pokazuje trzy pojęcia: relacje rasowe, sprawiedliwość rasową i antyrasizm.

Relacje rasowe odnoszą się do poziomu osobistych relacji, tego, co wydarza się między pojedynczymi osobami. Rasizm polega tu na używaniu obraźliwych słów, malowaniu haseł na domach osób o innym kolorze skóry i innych działaniach wymierzonych w te osoby. Pozostając na tym poziomie łatwo się usprawiedliwić: „nie czynię żadnej z tych rzeczy, nie jestem rasistą". Pratt podkreśla, że to zdecydowanie za mało. Do niedawna wydawało się natomiast, że może wystarczyć wprowadzać w życie sprawiedliwość rasową – uświadamiać sobie systemowy charakter rasizmu i dostrzegać, jak jest on wpleciony w całą tkankę życia społecznego i różnych instytucji. To jednak nadal za mało – trzeba rozmontować ten system i zbudować go na nowo jako system antyrasistowski, oparty na sprawiedliwości.

W drodze do antyrasizmu badaczka wskazuje na trzy etapy. Po pierwsze, potrzebna jest krytyka rasizmu. Wskazywanie na rasizm i jego krytyka często powoduje dyskomfort, bez którego nie może wydarzyć się drugi etap: to, że biali dostrzegają, iż nie są aż tak otwarci, jak im się wydawało, albo że są rasistami, a także że systemy, w których funkcjonujemy, są rasistowskie, ponieważ działają na korzyść białych i niekorzyść innych członków społeczeństwa. Potrzebne jest do tego uznanie faktu, że supremacja białych to nie tylko działania Ku Klux Klanu i tym podobnych organizacji. Według Pratt przemocowe skrzydło supremacji umożliwia zachowanie *status quo*, które samo w sobie także jest rasistowskie, nawet gdy nie ucieka się do terroru.

Dopiero uświadomienie sobie systemowego rasizmu, którego jest się częścią, pozwala przejść do trzeciego etapu. Jest nim Praca (Pratt zapisuje to słowo wielką literą, by podkreślić jego wagę). Praca polegająca na rozmontowywaniu rasistowskich struktur po to, by budować systemy antyrasistowskie. Badaczka podkreśla, że ona sama, jako Afroamerykanka, zajmuje się pierwszym i trzecim etapem, a drugi muszą wykonać sami biali – to na nich leży odpowiedzialność za poznanie własnej historii i tego, w jaki sposób ich instytucje nadal opierają się na niesprawiedliwości czy też czerpią z niej korzyści.

Zakonnice z LCWR zdają sobie z tego sprawę. S. García mówi: „Świadoma praca nad rozpoznawaniem rasizmu, białej supremacji i kastowości jako sztucznych, arbitralnych i niemoralnych cech naszego społeczeństwa oraz świadome działanie w celu rozmontowywania ich w życiu osobistym, w instytutach, Konferencji i w naszej służbie – to potężne sposoby, na jakie my, siostry zakonne, możemy wprowadzać w życie nasz moralny autorytet. W ten znaczący sposób możemy stopniowo uczestniczyć w budowie trwałego fundamentu komunii w całym ludzie Bożym".

Żaden proces naprawczy nie może się zacząć bez przyjęcia własnego udziału w złu. Siostry z LCWR uznają swój „współudział jako członkiń Kościoła głęboko zamieszanego w genezę i podtrzymywanie trwałego grzechu rasizmu w naszym narodzie. Zaczęło się od XV-wiecznych bulli papieskich, które usankcjonowały handel niewolnikami w Afryce, co doprowadziło do niewolnictwa ponad 12 milionów dzieci, kobiet i mężczyzn, oraz przywłaszczenia ziemi, co z kolei doprowadziło do ludobójstwa około 20 milionów rdzennych mieszkańców Ameryki. Współudział polegał następnie na korzystaniu z niewolników przez katolickich biskupów, księży, zakonników i zakonnice oraz instytucje katolickie. Dalej – na naszym milczącym lub jawnym zaangażowaniu w legislację »Jim Crow« – usankcjonowaną przez państwo segregację i inne krzywdzące praktyki wspierane przez rząd".

I dalej: „Dostrzegamy te wzorce postępowania także dzisiaj, kiedy jako naród rozliczamy się z rasizmu. Kiedy patrzymy w przyszłość naszego życia zakonnego, cóż może być dla niej bardziej istotne niż dawanie żywego publicznego świadectwa mocy przemieniającej miłości Boga poprzez szczere mówienie prawdy, pokutę i, tak, pojednawcze dzieło zadośćuczynienia potrzebne, by Duch Ruah oddychał przez nas. Istnieje coraz większy ruch na rzecz zadośćuczynienia, do którego my, zakonnice, możemy dodać swój znaczący wkład".

Grzech rasizmu w zakonach

Po zakończeniu 40-minutowego przemówienia do przewodniczącej dołączają trzy inne siostry z zarządu LCWR (jedna na żywo, dwie online) i wspólnie dokonują aktu przeprosin i modlitwy przebłagalnej za grzech rasizmu w żeńskich zgromadzeniach i instytutach zakonnych. Wszystkie cztery przepraszające siostry ↦

↦ są białe, na co zwraca uwagę komentująca to zdarzenie dla „Tygodnika Powszechnego” Tia Noelle Pratt:

– Nie umknęło mi i nie powinno umknąć niczyjej uwadze, że oświadczenie złożyły jako liderki LCWR cztery białe kobiety. Ten fakt nie bierze się znikąd. Kiedy te cztery kobiety (i inne w ich grupie wiekowej) wstępowały do zakonu, to czy były tam wtedy Afroamerykanki? Jeśli tak – to gdzie są teraz? Jeśli nie – to dlaczego? Absurdalne byłoby przypuszczenie, że w tym samym czasie, kiedy te kobiety rozeznawały swoje powołanie do życia zakonnego, nie było żadnej Afroamerykanki odkrywającej w sobie takie powołanie. Musimy pytać o to, dlaczego w tak wielu zgromadzeniach są niemal wyłącznie albo wyłącznie białe siostry. Dopóki zgromadzenia będące członkami LCWR nie zmierzą się z własną przeszłością i teraźniejszością odnośnie do powołań i formacji zakonnej, będzie to pusty gest.

Pierwszego dnia zgromadzenia odbywa się jeszcze dyskusja, w której biorą udział cztery inne siostry, tym razem dwie białe i dwie czarne. To nie pierwsza sytuacja, kiedy siostry z LCWR odnoszą się do niesprawiedliwości rasowej – także we własnych szeregach i w historii swoich zgromadzeń. Już 5 lat temu doroczne zgromadzenie zajęło się rasizmem w zakonach – tym, jak długo wiele z nich nie przyjmowało czarnych sióstr albo nie uwzględniało wystarczająco tego, co wnosiły jako przedstawicielki czarnego katolicyzmu w USA. Wówczas organizatorki zjazdu zaprosiły jako prelegentkę badaczkę historii czarnoskórych sióstr: Shannen Dee Williams, historyczkę, obecnie profesor University of Dayton w stanie Ohio.

Williams jest autorką książki „Subversive Habits. Black Catholic Nuns in the Long African American Freedom Struggle” (Wywrotowe habity. Czarne katolickie zakonnice w długiej afroamerykańskiej walce o wolność), która ma się ukazać wiosną 2022 r. Także i ona komentuje tegoroczne spotkanie LCWR dla „Tygodnika”: – Należy pochwalić stałą pracę LCWR i wybranych zgromadzeń sióstr w odniesieniu do ich długotrwałych praktyk białej supremacji i wykluczenia. Podobnie jak księża i świeccy, siostry nigdy nie były niewinnymi obserwatorami brutalnej historii kolonializmu, niewolnictwa i segregacji we współczesnym świecie.

> Amerykańskie zakonnice pytają, dlaczego w tak wielu zgromadzeniach są niemal wyłącznie białe siostry. Przecież niemożliwe jest, by **Bóg wybiórczo rozdawał powołanie.**

Od słów do czynów

Zarówno Pratt, jak i Williams podkreślają ogrom pracy, która stoi przed zgromadzeniami i Kościołem w ramach rozliczenia się z rasizmem. Williams mówi: – Praca potrzebna do autentycznego zadośćuczynienia za zbrodnie Kościoła przeciwko ludzkości oraz osiągnięcia prawdziwej sprawiedliwości rasowej i pojednania w Kościele katolickim, zwłaszcza w zakonach żeńskich, pozostaje znaczna. Ale pokrzepiające jest to, że wiele białych sióstr, indywidualnie i zbiorowo, podejmuje pierwsze kroki uznania i przeprosin za grzeszną historię rasizmu, zwłaszcza względem czarnych.

Pratt: – Zgodnie z deklaracjami z ostatnich dni, LCWR i należące do niej zgromadzenia są gotowe wykonać trudną pracę rozeznawania swojej roli we wszelkich formach marginalizacji w Kościele, włącznie z rasizmem, jaki spotykał rdzennych mieszkańców Ameryki, społeczności latynoamerykańską i azjatyckoamerykańską oraz LGBTQ. Zbyt często za mocnymi oświadczeniami nie idzie chęć do wykonania tej ciężkiej pracy. Kolejne tygodnie, miesiące i lata pokażą, na co są gotowe LCWR i zgromadzenia członkowskie.

Przejście od słów do czynów okazało się niełatwe dla jezuitów z Georgetown, o których planach zadośćuczynienia pisał w „Tygodniku” Karol Kleczka („Duchy sprzedanych”, nr 17/2021). Zarówno Pratt, jak i teolożka Jeannine Hill Fletcher, autorka pracy teologicznej „The Sin of White Supremacy” (Grzech białej supremacji), krytykują sposób, w jaki jezuici prowadzą działania na rzecz zadośćuczynienia potomkom niewolników, których sprzedali w 1838 r., oraz to, że nie przewidziano reparacji dla rodzin innych niewolników pracujących niegdyś w Georgetown, wreszcie to, że program nie przewidział funduszy na zadośćuczynienie i zbiera je w formie zbiórki publicznej, a nie z majątku zakonu i uniwersytetu, które wzbogaciły się na pracy niewolników oraz ich sprzedaży.

Czy amerykańskie zakonnice staną się prorokiniami komunii nie tylko w mocnych słowach, ale i w proroczych czynach? © AGNIESZKA PISKOZUB-PIWOSZ

Autorka jest teolożką, religioznawczynią i anglistką. Współpracuje z „Magazynem Kontakt”.

TYGODNIK POWSZECHNY
MAŁOPOLSKIE DNI DZIEDZICTWA KULTUROWEGO
małopolski instytut kultury MIK INSTYTUCJA KULTURY WOJEWÓDZTWA MAŁOPOLSKIEGO
MAŁOPOLSKA

W następnym wydaniu „Tygodnika” dodatek poświęcony XXIII Małopolskim Dniom Dziedzictwa Kulturowego – a w nim:

- rozmowa z Joanną Nowostawską z Małopolskiego Instytutu Kultury o tegorocznej edycji
- fragment książki Barbary Sadurskiej „W ruchu”

Zapraszamy do lektury i Małopolski (11-12 oraz 18-19 września)!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

WOJCIECH

Bonowicz: *Ludzie na ziemi niczyjej*

Nie wiem, o czym napisać, wszystko jest takie zawstydzające. Sam akt pisania jest zawstydzający. W świecie, który nas otacza – bliższym i dalszym – jest tylu ludzi czekających na pomoc. Dostrzegamy tylko niektórych z nich i tylko przez chwilę. Oburzamy się, gdy pomoc do nich nie dociera. Ale potem wracamy do swoich problemów i swoich rozrywek.

Widok ludzi koczujących na granicy przez jakiś czas będzie nas niepokoił. A potem przesłonią go inne. Za dwa, trzy lata nie będziemy o nim pamiętać. Może dlatego, że na granicach pojawi się więcej chętnych, którzy będą chcieli je przekroczyć. A może przeciwnie – bo znów znajdzie się sposób, by tych, którzy ruszą z południa czy ze wschodu, trzymać z dala od naszego świata. Wciąż mamy dość pieniędzy, żeby kupować święty spokój. Nie będzie codziennych relacji z obozów w Turcji czy Syrii. Nie będą nam psuć wakacji doniesienia o uchodźcach, którzy umierają w namiotach z folii na pięćdziesięciostopniowym upale. A jeśli nawet w jakiś sposób przedostaną się do nas te straszne fakty, nie będziemy w stanie się nimi przejąć. To ofiary wielkiej polityki, na którą nie mamy wpływu – tak sobie pomyślimy. A zaraz potem telewizja nada materiał o tym, co jeden bałwan w garniturze powiedział do drugiego bałwana w garniturze, i zapomnimy o całej sprawie.

Niemal codziennie słucham opowieści o ludziach na „ziemi niczyjej". Starszych paniach, do których rzadko ktoś zagląda, bezdomnych, którzy wypadli z systemu, rodzicach dorosłych niepełnosprawnych, którzy boją się o przyszłość swoich dzieci, ludziach do niedawna żyjących w poczuciu bezpieczeństwa, którzy z dnia na dzień stracili pracę i muszą wyciągać rękę po pomoc. Coraz trudniej słuchać tych historii, każda z nich jest zaproszeniem: wejdź, bądź ze mną, proszę – pomóż. A ja już wszedłem w kilka i zwyczajnie brakuje mi sił, by wejść w kolejne. A jeszcze trzeba by działać w szerszym planie: włączyć się w edukowanie do solidarności i odpowiedzialności za klimat, wspierać tych, którzy zdecydowali się coś robić w tych i innych dziedzinach, szukać nowych, lepszych sposobów mówienia o tym, co najbardziej ludzkie, ale medialnie mało atrakcyjne. I jeszcze przy tym wszystkim – dawać ludziom nadzieję.

Coraz trudniej wstaje mi się z łóżka – ale wstaję. Kot Leon ostatnio ma w sobie jakby więcej czułości. Nigdy wcześniej nie zasypiał przy mnie z tyłkiem wsuniętym pod moją pachę. Teraz częściej oczekuje pieszczot i częściej pieszczoty oddaje. Potrafi nie jeść przez pół dnia, tylko zwinięty w kłębek towarzyszyć mi w pracy. Kiedy na niego spoglądam, podnosi wzrok i też uważnie się we mnie wpatruje. Wszystko wie? Tak, wygląda, jakby wszystko wiedział.

Miałbym ochotę napisać: rozejrzyjcie się, zobaczcie, czy obok Was nie ma jakiejś ziemi niczyjej, gdzie koczują ludzie porzuceni przez innych. Człowiek na ziemi niczyjej nie jest niczyj – jest czyjś, jest nasz, jest Wasz. Proszę, idźcie tam. A jeśli już poszliście, jeśli już w takim miejscu jesteście, nie wycofujcie się. Jedyne, co możemy przeciwstawić cierpieniu, samotności, zagubieniu i desperacji, to nasz upór i nasza solidarność. Nie ma w tym niczego heroicznego, jest coś bardzo zwykłego. Bo jeśli nie solidarność, to co? Jest jakiś inny pomysł?

Nie mogę Wam dziś napisać, że mam w sobie wiele nadziei. Myślę, że mam jej mniej niż kiedykolwiek. Ale to właśnie jest moją najsilniejszą motywacją, kiedy rano próbuję wstać. Wstaję, bo wiem, że jeśli któregoś dnia nie wstanę, odmówię zainteresowania, odmówię pomocy – nadziei będzie na świecie jeszcze mniej. ©

OGŁOSZENIA

Przed Sądem Rejonowym w Tychach I Wydziałem Cywilnym pod sygn. I Ns 123/20 toczy się sprawa z wniosku ING Banku Śląskiego S.A. w Katowicach o stwierdzenie nabycia spadku po Antonim Panol, synu Ludwika i Łucji, zmarłym w dniu 8 marca 2019 roku w Tychach, którego ostatnim miejscem zwykłego pobytu były Tychy.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy w ciągu trzech miesięcy od dnia publikacji ogłoszenia zgłosili i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą być pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim I Wydział Cywilny informuje, że w sprawie prowadzonej pod sygnaturą I Ns 932/20 zezwolił Gminie Miastu Mińsk Mazowiecki na złożenie do depozytu sądowego kwoty 7.290 zł tytułem odszkodowania za nieruchomość położoną w Mińsku Mazowieckim, oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 5209/2, o powierzchni 0,0045 ha. Kwota 7.290 (siedem tysięcy dwieście dziewięćdziesiąt) zł zostanie wydana osobie, która wylegitymuje się tytułem własności nieruchomości, bez żadnych warunków.

Z DALA OD KABULU

Afgańczycy boją się, że gdy kraj przestanie przyciągać uwagę świata, talibowie nie będą tak wyrozumiali, jak zapowiadają. Zwłaszcza poza stolicą.

PAWEŁ PIENIĄŻEK, ALISHER SHAHIR

Od dwóch miesięcy 19-letnia Soghra Mohammadi nie wychodzi z domu. Mieszka w prowincji Ghazni, w środkowym Afganistanie. Mówi nam, że ostatni raz była na zewnątrz, gdy w jej wsi doszło do ciężkich starć. Kule uderzały w ściany jej domu, a odgłosy strzałów niemal nie ustawały. Potem przez długi czas każdy głośniejszy dźwięk wprawiał członków jej rodziny w przerażenie, a dzieci wyglądały na otępiałe. Właśnie z powodu walk musieli opuścić na jakiś czas swój dom i zatrzymali się u przyjaciół. Wrócili, gdy strzelanina ucichła.

Wraz z końcem walk przyszli nowi władcy – talibowie. Wówczas nikt jeszcze nie spodziewał się, że w ciągu kilku tygodni zajmą resztę kraju.

Przedstawiciele talibów zapewniają dziś, że odkąd utracili władzę dwie dekady temu, zmienili swoje poglądy na bardziej umiarkowane. Zmienić miało się także ich podejście do kobiet, które mają mieć więcej swobód niż w trakcie pierwszych ich rządów, choć – jak podkreślają talibowie – wciąż w zgodzie z islamskim prawem szariatu.

Wielość interpretacji zasad szariatu i pamięć o brutalnym sprawowaniu władzy przed laty powodują jednak, że wiele kobiet i ich rodzin postanawia podjąć środki zaradcze. Nawet bez wyraźnych wytycznych nowych władz samoograniczają się – na wszelki wypadek. Nie dowierzają temu, co mówią talibowie. Szczególnie że ich obietnice nie zawsze pokrywają się z rzeczywistością.

Po wycofaniu się ostatnich zagranicznych wojsk świat szybko odwróci oczy od Afganistanu. To właśnie tej najbliższej przyszłości obawia się wielu mieszkańców kraju.

– Wówczas z każdym będą mogli zrobić, co tylko zechcą, i nikt nie zwróci na to uwagi – mówi nam Omar z Heratu, głównego ośrodka na zachodzie kraju.

MIR AHMAD FIROOZ MASHOOF / AFP / EAST NEWS

Omar to nie jest jego prawdziwe imię, mężczyzna obawia się o swoje bezpieczeństwo.

Nowe szaty zwycięzców

Niedługo po tym, jak talibowie zajęli Kabul, z kraju uciekł prezydent Aszraf Ghani, a zwycięzcy stali się faktyczną władzą w Afganistanie, odbyła się konferencja prasowa Zabihullaha Mudżahida.

Mudżahid to ich wieloletni rzecznik, którego dziennikarze z całego świata znali dotychczas jedynie z głosu, słyszanego w telefonie, a także z jego tweetów, które śledzi ponad 360 tys. obserwujących. Dopiero na konferencji Mudżahid pokazał swoją twarz i odpowiadał na pytania mediów. „Wypędziliśmy obcokrajowców i chciałbym podziękować za to całemu narodowi" – mówił.

Właśnie podczas tej konferencji po raz kolejny powtórzył obecne stanowisko talibów w sprawie roli kobiet w społeczeństwie. „Nasze siostry, nasi mężczyźni, mają takie same prawa; będą mogli korzystać z przysługujących im praw. Mogą prowadzić działalność w różnych sektorach i różnych obszarach na podstawie naszych zasad i przepisów, w sferze edukacji, zdrowia i innych" – mówił Mudżahid.

Powtórzył to wszystko w wywiadzie dla dziennika „New York Times". Obawy, że kobiety będą musiały zostać w domach i zakryć swoje twarze, Mudżahid uważa za bezpodstawne. Podobnie jak to, że kobietom ma asystować mahram, czyli mężczyzna z najbliższej rodziny. Taki obowiązek pojawia się tylko wtedy, gdy udają się na wyprawę trwającą dłużej niż trzy dni. Dlatego do pracy, szkoły, uniwersytetu czy szpitala mogą chodzić samodzielnie.

Życie inne niż na konferencji

Doświadczenie Soghry Mohammadi, której życie toczy się z dala od Kabulu, jest jednak inne. – Obecna władza bardzo się różni od poprzedniej. Wcześniej to kobiety tworzyły swoją przyszłość i wybierały dla siebie męża. Obecnie wydaje się, że nie mają na to wpływu – mówi.

Mohammadi twierdzi, że talibowie, którzy rządzą dziś w jej okolicy, robią wszystko dokładnie na odwrót, niż zapowiadał Mudżahid. Dziewczyny mogą uczyć się tylko do szóstej klasy. Kobiety nie mogą opuszczać domu bez towarzystwa mahrama, a ich twarz musi zasłaniać burka.

Odkąd pojawili się talibowie, Mohammadi, jej matka i pięć sióstr nie wychodzą z domu. Boją się, że coś zrobią nie tak, przez co zostaną wychłostane przez talibów.

To ogromne wyzwanie dla jej rodziny, bo teraz wszyscy są zdani na ojca. Jest jedynym mężczyzną w domu zdolnym do pracy, bo brat Mohammadi ma raptem rok. Duża rodzina do wykarmienia dla robotnika, który dostaje jednodniowe zlecenia, w kraju nękanym straszną biedą i ogromnym bezrobociem, jest nie lada problemem.

Tym bardziej że organizacje międzynarodowe, jak Bank Światowy, wstrzymały wsparcie dla Afganistanu. Wcześniej środki zagraniczne stanowiły nawet połowę budżetu.

Myślę, że jadą po mnie

Mahtab Hekmat jest o sześć lat starsza od Mohammadi. Mieszka w prowincji Daikundi, która sąsiaduje od zachodu z prowincją Ghazni. Daikundi i znajdujący się na północy Bamjan uchodziły za najspokojniejsze regiony w Afganistanie. ↦

Do Omara, mieszkańca Heratu – głównego miasta na zachodzie kraju – docierają plotki, że talibowie chodzą po domach w poszukiwaniu broni i młodych niezamężnych kobiet. Na zdjęciu: talibowie na ulicy Heratu, 22 sierpnia 2021 r.

↦ W trakcie trwającej od maja ofensywy talibów, która na początku sierpnia gwałtownie przyspieszyła, walki toczyły się na wsiach, ale gdy talibowie doszli już do stolicy Daikundi, miasta Nili, to obyło się bez starć. Władza została przekazana pokojowo. Wielu mieszkańców prowincji, w szczególności kobiet, uciekło wcześniej do Kabulu. Mieli nadzieję, że tam nie uda się dotrzeć talibom. Jednak po szybkim jego zajęciu wielu z nich wróciło, licząc, że w Daikundi wciąż będzie spokojniej niż w stolicy kraju.

Hekmat mówi nam, że jeszcze do niedawna swobodnie poruszała się po terenie prowincji. Nawet w nocy mogła podróżować sama. Po przyjściu talibów pojawił się strach i poczucie ubezwłasnowolnienia. Podobnie jak Mohammadi, znalazła się w zamknięciu.

Burka i mahram stały się obowiązkowe dla kobiet z Daikundi. Talibowie zabronili im chodzić do pracy, a dziewczynom do szkół.

Cztery dni po tym, jak talibowie zajęli miasto, ich przedstawiciele odwiedzili meczet. Imamowi mieli nakazać, by przekazał listę kobiet niezamężnych i wdów powyżej osiemnastego roku życia, ale poniżej czterdziestego. Szukają kandydatek, które mogą wydać za swoich bojowników.

Hekmat pracowała w organizacji pozarządowej, ale odkąd pojawili się talibowie, postanowiła nie chodzić do pracy. Jej znajome, jeszcze do niedawna zatrudnione w administracji publicznej, zostały odesłane do domów. Niektóre z nich samodzielnie się utrzymywały i teraz straciły środki do życia. – Do niedawna żyliśmy nadzieją, mieliśmy plany na przyszłość i pracowaliśmy, by je zrealizować. W ciągu zaledwie kilku dni my, szczególnie kobiety i dziewczynki, straciliśmy całą naszą wiarę, że może się to udać. Boję się, że mężczyźni przekonają się do rygorystycznego prawa szariatu i będą traktowali kobiety tak samo jak talibowie – mówi.

Choć walki ustały i pod tym względem jest spokojniej, niż było jeszcze kilka tygodni temu, Hekmat jest bardziej zdenerwowana. Wierzyła, że armia i policja będą jej bronić. Zamiast tego w przekazanych przez USA humvee i fordach rangerach jeżdżą teraz talibowie. – Od tego czasu, gdy usłyszę dźwięk policyjnej syreny, myślę, że jadą po mnie – mówi.

Powrót do pracy

W stolicy prowincji Bamjan, o tej samej nazwie, która sąsiaduje z Daikundi, stosunek do kobiet jest inny. Jak mówi nam 29-letni Ruknuddin Rahnaward, miejscowi talibowie powiedzieli, że dziewczyny mogą dalej się uczyć, a kobiety wrócić do pracy. Mają jedynie zakrywać się burką. Jednak od zmiany władzy pracownice organizacji pozarządowej, dla której pracuje Rahnaward, nie pojawiły się w biurze.

Bamjan został zajęty bez walk. Znaczna część jego mieszkańców uciekła do Kabulu i okolicznych wiosek. Podobnie jak w innych miastach, na wszelki wypadek woleli usunąć się z pola widzenia nowych władz. Dotąd wielu nie wróciło, bojąc się, że represje wciąż mogą nadejść.

Prowincje Bamjan i Daikundi są zamieszkiwane głównie przez Hazarów. To trzecia największa mniejszość etniczna, stanowiącą 10-20 proc. populacji kraju. Hazarowie w większości są szyitami, przez co byli regularnie atakowani przez talibów (sunnitów) i lokalną filię Państwa Islamskiego (także sunnicką).

Tuż po powrocie do Bamjanu, gdzie dwie dekady temu zniszczyli posągi Buddy z VI w., talibowie wysadzili pomnik hazarskiego komendanta polowego Abdula Alego Mazariego. Walczył on z talibami i został przez nich zabity w 1995 r.

Rahnaward pracuje w jednej z organizacji pozarządowych, dostarczającej zaopatrzenie do szpitali. Początkowo jej pracownicy uciekli z miasta, ale część wróciła po tym, jak talibowie wezwali pracowników służby zdrowia do natychmiastowego powrotu do pracy.

Państwo Islamskie atakuje kabulskie lotnisko

WAKIL KOHSAR / AFP / EAST NEWS

KABULEM, MIASTEM już wcześniej dotkniętym zamachami jak mało które miasto na świecie, znowu wstrząsnęły eksplozje. Doszło do nich przed bramami lotniska wojskowego, gdzie od wielu dni zdesperowani Afgańczycy próbowali wydostać się z kraju. Zginęło może nawet 200 afgańskich cywilów i 13 amerykańskich żołnierzy (na zdjęciu: afgańskie ofiary zamachu).

Odpowiedzialność za zamachy wziął na siebie odłam Państwa Islamskiego Prowincja Chorasan. Powstał on na początku 2015 r. – pół roku po tym, jak organizacja-matka ogłosiła powstanie kalifatu (państwa bożego) w Iraku i Syrii. Jej trzon stanowili Pakistańczycy z organizacji Tehrik-i-Taliban, którzy zadomowili się w przygranicznej afgańskiej prowincji Nangarhar. Bojownicy Państwa Islamskiego Prowincji Chorasan walczyli zarówno z wojskami rządowymi, jak i talibami, jednych i drugich uważając za odstępców od wiary i sługusów obcych państw. Przy aktywnym udziale amerykańskiego lotnictwa i dronów, tutejsze Państwo Islamskie miało zostać pokonane pod koniec 2019 r. Jednak wbrew deklaracjom ich przeciwników, organizacja wciąż funkcjonowała. Choć dżihadyści spod czarnej flagi rzeczywiście zostali osłabieni i unikali otwartych starć, to przeprowadzali liczne zamachy, których głównym celem był stołeczny Kabul, a przede wszystkim zamieszkujący go także szyici.

W natłoku ostatnich wydarzeń w Afganistanie, o Państwie Islamskim Prowincji Chorasan zapomniano. Talibowie uspokajali, że nie pozwolą działać na terenie kraju żadnej organizacji, która mogłaby zagrażać innym państwom. Tymczasem w przededniu wycofania zagranicznych wojsk, armia USA poniosła jedną z najwyższych strat zadanych w ciągu jednego dnia podczas 20-letniej operacji, której celem była wojna z terrorem. © PP

To prawdopodobnie jedno z największych wyzwań, przed którymi stoją nowe talibskie władze. Część urzędników ukrywa się lub opuściła kraj – dzięki ewakuacji prowadzonej przez zagraniczne wojska, do czwartku 26 sierpnia drogą lotniczą wyjechało już ponad 100 tys. ludzi. Wśród nich wielu urzędników, bez których sprawne zarządzanie nie będzie możliwe.

Rahnaward także wrócił do pracy. Jak do tej pory nic się u niego nie zmieniło, poza tym, że przed budynkiem mają talibskiego strażnika. Mimo to nie może wyzbyć się trosk. – Ludzie jeszcze bardziej obawiają się o swoją przyszłość niż dotychczas. Nie wiedzą, jak będzie ostatecznie wyglądał rząd i jakie prawa będzie stosować – mówi.

Jakby zniknęła chęć do życia

Szamsuddin (to imię zmienione) jest dziennikarzem z Pol-e Chomri, stolicy prowincji Baghlan w północnej części kraju. W Afganistanie to zawód ogromnego ryzyka. Dziennikarze byli brani na cel przez wszystkie możliwe grupy mające dostęp do broni: talibów, Państwo Islamskie, przestępców, skorumpowanych urzędników. Wykonywanie tego zawodu w prowincjach położonych z dala od największych miast było wyjątkowo niebezpieczne.

Szamsuddin wraz z rodziną musiał regularnie zmieniać miejsce zamieszkania, zdarzało się im ukrywać nawet na pustyni lub w górach. Kilka miesięcy temu Afgański Komitet ds. Bezpieczeństwa Dziennikarzy wywiózł go do Kabulu po tym, jak służby bezpieczeństwa poinformowały, że ktoś czyha na jego życie. Z tego powodu Szamsuddin prosi, by nie podawać jego prawdziwego imienia.

Gdy z Pol-e Chomri wycofały się rządowe wojsko, policja i władze, a talibowie wkroczyli do miasta bez walki, dziennikarz myślał, że już po nim. Mając w pamięci ich dotychczasową przemoc, brutalne ataki i zamachy, trudno było się nie bać. Szczególnie że talibowie od dawna publikowali listę osób – mówiąc eufemistycznie – niepożądanych. Strach zajrzał w oczy wielu mieszkańcom Pol-e Chomri. Jak w innych prowincjach, kto mógł, wyjechał do okolicznych wiosek albo do Kabulu (a stamtąd znowu do Baghlanu) – z nadzieją, że nowy ład prędko tam nie dotrze.

W Pol-e Chomri talibowie jak do tej pory nie wprowadzili wielu zmian – głównie dotyczyły one ubioru kobiet. Ukryły się pod burkami i unikają wychodzenia na zewnątrz. Także mężczyźni zmienili swój wygląd. Ci, którzy chodzili w dżinsach i marynarkach, teraz założyli tradycyjne afgańskie stroje. Przestali codziennie golić zarost, żeby jak najszybciej wyrosły im brody. Nie chcieli, by ktoś pomyślał, że mieli coś wspólnego z byłymi władzami.

Na ulicach Pol-e Chomri zmniejszył się ruch, bo wciąż wiele osób woli przebywać w zaciszu domowym, gdzie nie są narażeni na nieprzewidywalne incydenty.

– Jakby zniknęła chęć do życia – mówi nam Szamsuddin. – Każdy myśli tylko o tym, aby przetrwać.

Powojenny kryzys

Mówiąc o przetrwaniu, dziennikarz ma na myśli nie tylko obawę przed represjami, ale także pogarszającą się sytuację ekonomiczną.

Banki pozostają zamknięte, a o pracę jest jeszcze trudniej niż dotychczas. Afgani, krajowa waluta, słabnie w stosunku do dolara, a ceny produktów spożywczych gwałtownie rosną, m.in. za sprawą utrudnień na granicach (żywność to istotna część importu). Szamsuddin podaje przykład: przed przyjściem talibów litr gazu opałowego kosztował 50 afgani (równowartość 2,25 zł), a obecnie 110 afghani (niemal 5 zł).

O drożyźnie w wiadomości na jednym z komunikatorów internetowych pisze nam też Omar z Heratu. To trzecie największe miasto w Afganistanie, znajduje się w pobliżu granicy z Iranem. Omar za chleb musi zapłacić dwa razy więcej niż jeszcze dwa tygodnie temu. O kilkadziesiąt procent wzrosły też ceny paliwa, a o ponad 100 proc. oleju słonecznikowego.

– To wszystko dzieje się w czasie pandemii, od początku której znacznie trudniej o pracę, a budżety domowe się skurczyły – mówi Omar.

Jeszcze na początku 2021 r. ONZ alarmowała, że co czwarty Afgańczyk cierpi z powodu głodu, że w ciągu roku niemal podwoiła się liczba osób w potrzebie i wynosi teraz łącznie 18,4 mln (na ok. 38 mln mieszkańców kraju); prawie połowa afgańskich dzieci była zagrożona niedożywieniem.

To właśnie kolejna odsłona kryzysu gospodarczego i paraliż instytucji państwowych są najbardziej widocznymi zmianami w Heracie po przejęciu władzy przez talibów. Do tego część przedsiębiorców wolała wyjechać za granicę.

Cisza przed burzą

W trakcie konferencji prasowej Zabihullah Mudżahid zapowiedział po raz kolejny, że ludzi powiązanych z byłą władzą, wspieraną przez Stany Zjednoczone, nie spotkają żadne represje. Zagwarantował im amnestię. „Chcielibyśmy zapewnić, że nikt nie zapuka do ich drzwi, aby ich skontrolować, zapytać lub przesłuchać, by dowiedzieć się, dla kogo pracowali lub dla kogo tłumaczyli. Chciałbym więc zapewnić, że nie stanie im się żadna krzywda. Będą bezpieczni" – mówił.

Dowodem tego ma być pozostanie w Afganistanie wpływowych polityków – takich jak Abdullah Abdullah, polityczny oponent Aszrafa Ghaniego, który odpowiadał za proces pokojowy na poziomie krajowym, albo były prezydent Hamid Karzaj.

Soghra Mohammadi mówi, że trudno jej uwierzyć, iż represje nie obejmą szerszych grup społecznych, po tym, jak w mediach społecznościowych natknęła się na wideo, które miało pokazywać egzekucję piętnastu członków antytalibskiego ruchu oporu w jej prowincji.

Do Omara docierają plotki, że talibowie chodzą po domach w poszukiwaniu broni i młodych niezamężnych kobiet. Możliwe, że to nieprawda, ale Omar na wszelki wypadek woli zamknąć się w domu i nie kusić losu. Najlepiej, jakby po prostu o nim zapomnieli.

– Możliwe, że dzisiejsi talibowie mają niewiele wspólnego z tymi sprzed lat, ale bardziej jestem skłonny uwierzyć, że to cisza przed burzą. Teraz obsadzają stanowiska i organizują władzę. Jak to zrobią, przyjrzą się sporządzonym już dawno temu listom osób, z którymi chcą się rozprawić – uważa Szamsuddin.

Afgańczycy czekają na to, co się wydarzy i kim okażą się nowi-starzy władcy. Dopóki ich rządy nie zostaną na dobre ustanowione, pozostaje im czekać i trzymać się nadziei, że słowa wypowiadane w Kabulu przez rzecznika Mudżahida znajdą odbicie na ulicach całego kraju.

©℗ PAWEŁ PIENIĄŻEK, ALISHER SHAHIR

Tekst ukończono 27 sierpnia

Rosyjska ulica Izraela

MAREK MATUSIAK

Po roku 1990 do państwa żydowskiego przybyło około miliona Żydów, byłych obywateli Związku Sowieckiego. Czy tak ogromna imigracja okazała się historią sukcesu? I jak zmieniła Izrael?

Dla wielu z nich był to szok, przynajmniej na początku. Ale czyż mogło być inaczej? Wszak dwadzieścia kilka lat temu w Izraelu nie było aż tyle popsutych zębów, żeby dać zajęcie tysiącom dentystów, którzy przybywali z krajów byłego Związku Sowieckiego. Nie było tutaj również ani złóż węgla, ropy czy uranu, ani kombinatów górniczo-hutniczych, wielkich budów czy transkontynentalnych magistrali kolejowych, żeby zatrudnić przy nich tysiące żydowskich inżynierów z Rosji czy Ukrainy. Podobnie rzecz miała się z przybywającymi z dawnego Kraju Rad puzonistami, historykami sztuki, tłumaczami bratnich literatur, a także zwyczajnymi nauczycielami rosyjskiego czy wychowania fizycznego.

Inne systemy, inna skala, inne światy.

Ludzie sowieccy

W schyłkowym Związku Sowieckim, liczącym ok. 290 mln obywateli, mieszkało około półtora miliona Żydów. Gdy Sowiety się rozpadły i pojawiła się możliwość emigracji, w latach 90. XX stulecia ok. 900 tys. spośród nich (w uproszczeniu, bo były w tej grupie także liczne osoby o mieszanym pochodzeniu, nieujęte w sowieckich statystykach) przyjechało do Izraela. Przyjeżdżali z Archangielska i Birobidżanu, Taszkentu i Charkowa, Baku i Kiszyniowa.

Byli to w ogromnej większości „ludzie sowieccy". „Sowieccy" w sensie opisowym, a nie – jak to się często zdarza – negatywnie wartościującym. W tym systemie urodzili się i wychowali, czytali te same książki, oglądali te same filmy, śmiali z tych samych anegdot i te same dania im smakowały. Ostatecznie każde imperium kształtuje swoich poddanych – brytyjskie Brytyjczyków, osmańskie Osmanów, a sowieckie stworzyło człowieka sowieckiego.

Żydzi z byłego Związku Sowieckiego byli ludźmi sowieckimi niejako w dwójnasób. Zdziesiątkowani przez Zagładę, rozproszeni po całym kraju wśród innych grup etnicznych, wkręceni w tryby totalitarnego państwa – zostali radykalnie oderwani od swojego języka, religii i kultury przodków. W odróżnieniu od Gruzinów, Ormian czy Litwinów znacznie trudniej było im odwoływać się do skarbnicy kultury narodowej, bo ta w swoim historycznym kształcie przestała istnieć.

Ponadto, deklarowane w Związku Sowieckim braterstwo narodów niektóre grupy etniczne obejmowało jakby mniej niż inne. Nawet już po śmierci Stalina (słynna sprawa żydowskich lekarzy!) oraz kampanii „antysyjonistycznej" po wojnie 1967 r., w spokojniejszych czasach breżniewowskiego zastoju, charakterystyczne imię, nazwisko czy fizjonomia wciąż mogły zaszkodzić. Łagier nie groził (raczej!), ale szykany w szkole, zaczepki w tramwaju, zablokowana droga na (wybrane) studia czy brak możliwości awansu – owszem.

W kręgu rosyjskiej kultury

Strategią radzenia sobie w tych warunkach było przystosowanie.

Żydzi sowieccy starali się jak najpiękniej mówić po rosyjsku, zdobywać jak najlepsze wykształcenie i – pomimo przeszkód – piąć po szczeblach kariery zawodowej. Z tradycją żydowską łączyło ich mało, jeśli w ogóle cokolwiek. Wraz z językiem, religią, a przede wszystkim wraz z ludźmi zginęły święta, obyczaje i kuchnia. Częste mieszane małżeństwa z przedstawicielami innych grup etnicznych tylko ten proces przyspieszyły.

W efekcie istotna część sowieckich Żydów stała się modelowymi obywatelami imperium. To był – na złe i dobre – ich kraj, rosyjski był ich językiem, a rosyjskojęzyczna kultura ogólnozwiązkowa ich kulturą. Z tego względu amerykański historyk Jurij Slezkin określił ich mianem „najbardziej sowieckiej i odnoszącej

NATACHA PISARENKO / AP / EAST NEWS

Gimnastyk Artiom Dołgopiat – urodzony na Ukrainie, syn żydowskiego ojca i nieżydowskiej matki – zdobył w Tokio złoty medal olimpijski dla Izraela. 1 sierpnia 2021 r.

największe sukcesy" spośród wszystkich grup etnicznych Związku Sowieckiego. A zdaniem izraelskiej badaczki Larissy Remennick, „jeśli w ogóle mieli jakieś bóstwa, byli nimi z jednej strony Puszkin, Czechow, Pasternak i Bułhakow (jako ikony rosyjskiej kultury wysokiej), z drugiej zaś mobilność społeczna wyrażona w kulcie wykształcenia i fachowości".

Ci, którzy faktycznie czuli się silnie związani z żydowskim dziedzictwem, wyjechali do Izraela jeszcze w latach 70. XX w. (w sumie ok. 150 tys. osób), często po długich i dotkliwych szykanach ze strony władz. Reszta została – i jeśli marzyła o emigracji, to raczej w poszukiwaniu lepszego standardu życia niż ze względu na polityczną niezgodę z systemem czy poczucie narodowej opresji.

Gdy znika stary świat

Sytuacja zmieniła się radykalnie wraz z rozpadem sowieckiego imperium. Świat znany i (zasadniczo) bezpieczny zniknął. Na gruzach internacjonalistycznego (choćby i czysto deklaratywnie) Sojuza powstały niepodległe państwa narodowe. Jednocześnie niemal wszędzie nastąpił głęboki kryzys – gospodarczy, społeczny, moralny.

W tych warunkach Żydzi, po raz kolejny w historii, znaleźli się „na widoku" – częściowo jako Żydzi, częściowo zaś (głównie poza Rosją) jako nosiciele języka i kultury niedawnego hegemona. Zjawisko to wystąpiło nie tylko w gwałtownie poszukujących swoich tożsamości nowych państwach, ale nawet w Rosji, sercu dawnego imperium. Pochodząca z Moskwy Ksenia Swietłowa – izraelska ekspertka ds. Bliskiego Wschodu i była polityczka – wspomina, jak jej utytułowana profesorska rodzina zaczęła nagle w 1990 r. znajdować w skrzynce pocztowej antysemickie anonimy.

Najpilniejszym problemem stało się jednak gwałtowne załamanie materialnych podstaw egzystencji. Wywodzący się z ukraińskiego Pierwomajska izraelski polityk Jewgienij Sowa opisywał niedawno w Knesecie, jak w 1993 r., mając 13 lat, wraz z matką – wysłaną na zieloną trawę panią inżynier z jednej z miejscowych fabryk – zarabiali na życie zbiorem buraków cukrowych. Dniówkę otrzymywali w cukrze, który następnie sami sprzedawali na miejscowym bazarze. W tej sytuacji rozwiązanie było tylko jedno – emigracja.

Tylko – dokąd? Wbrew pozorom, dla oderwanych od tradycji sowieckich Żydów Izrael wcale nie był naturalnym kierunkiem wyjazdu. Były nim raczej Stany Zjednoczone, oferujące lepsze perspektywy ekonomiczne. Jednak władze izraelskie – dążące do zwiększenia potencjału demograficznego kraju – były zdeterminowane, aby zaczynająca się wielka postsowiecka emigracja trafiła właśnie do Izraela i po intensywnych zabiegach w Waszyngtonie cel ten osiągnęły. Stany zacieśniły swoją politykę imigracyjną, a rwąca rzeka byłych obywateli sowieckich popłynęła do Izraela. W 1988 r. przyjechało ich 2 tys., rok później 12 tys., a w roku 1990 – już 185 tysięcy.

Pierwszy (obustronny) szok

Dla większości był to prawdziwy skok na główkę. Zostawiali całe dotychczasowe życie i jechali do kraju, o którym nic nie wiedzieli, i też, w czasach przed internetem, nawet nie bardzo mieli skąd się dowiedzieć. Zasób informacji zaczerpnięty z sowieckich encyklopedii, poczty pantoflowej i kolorowych prospektów Agencji Żydowskiej raczej nie mógł przygotować ich na to, co czekało po przyjeździe.

Stateczni obywatele sowieccy trafili do społeczeństwa programowo pogardzającego wszelkim formalizmem i hierarchiami, rozgrzanego do czerwoności sporami światopoglądowymi, gwałtownie się bogacącego, zachłyśniętego wszystkim, co amerykańskie, a jednocześnie kulturowo coraz bardziej bliskowschodniego. W dodatku wstrząsanego wtedy Pierwszą Intifadą – palestyńskim powstaniem na terenach okupowanych po 1967 r. Mówiąc krótko – do kraju egzotycznego, obcego i przytłaczającego. Nietrudno zgadnąć, że przeżyli szok.

Ale także sam Izrael nie bardzo wiedział, co ze swoimi nowymi „rosyjskimi" obywatelami zrobić – i nie bardzo był zainteresowany tym, co oni sobą reprezentują. Jeden z ówczesnych imigrantów – wówczas początkujący, a obecnie utytułowany lekarz – wspominał: „Kiedy przekraczasz granicę, twoje życie ulega wyzerowaniu. Nikogo nie interesuje, kim jesteś, co przeżyłeś i co wiesz. Jeśli nie znasz hebrajskiego i angielskiego, to ciebie nie ma. (...) A jeszcze każdy bałwan chce cię uczyć życia i tego, jak zostać Izraelczykiem".

Upadek z wysokiego konia

Na przybyszów, owszem, czekały posady – ale w rolnictwie, budowlance, handlu detalicznym lub sektorze „usług czystościowych". Niektórzy nawet nie mieli prawa się skarżyć. Wykładowca naukowego ateizmu z uniwersytetu w Duszanbe (przypadek prawdziwy) nie mógł oczekiwać, że nowy kraj da mu szansę pozostania w zawodzie, i cieszył się, gdy udało mu się zostać piekarzem, sprzedającym w Tel Awiwie środkowoazjatyckie samsy i lepioszki (z czasem nieźle prosperującym).

Co innego jednak absolwenci leningradzkich, moskiewskich czy kijowskich politechnik, akademii medycznych i uniwersytetów, posiadacze prestiżowych „czerwonych" dyplomów, triumfatorzy wszechzwiązkowych konkursów, laureaci państwowych nagród. Ci spadali z wysokiego konia i był to upadek dotkliwie bolesny. Dla wielu do dziś zresztą takim pozostaje. Funkcjonujący w Izraelu ↦

↦ stereotyp przybysza z byłego Związku Sowieckiego, pracującego dramatycznie poniżej kwalifikacji – jako ochroniarz, kasjerka, sprzątaczka czy muzyk uliczny – nie wziął się znikąd. Stoją za nim tysiące historii rodzących do dziś poczucie krzywdy i niesprawiedliwości.

Na dodatek, społeczeństwo izraelskie, a zwłaszcza jego bardziej religijna część, odniosła się sceptycznie do żydowskiego pochodzenia imigrantów. Ludziom, których w Związku Sowieckim niejednokrotnie stygmatyzowano i dyskryminowano, w Izraelu odmówiono prawa do żydowskiej tożsamości.

Żydowscy imigranci z byłego Związku Sowieckiego dorabiają na ulicy w Jerozolimie, 1990 r.

Społecznie upośledzeni

Platynowe blondynki o imieniu Swietłana i pucołowaci mężczyźni o imieniu Siergiej, niemający pojęcia o żydowskiej tradycji, świętujący za to nowy rok i zajadający się wieprzowiną – bo tak ich postrzegano – dla wielu Izraelczyków byli i do dziś są „Rosjanami", kategorią osobną i obcą. W styczniu 2020 r. skandal wywołała wypowiedź naczelnego sefardyjskiego rabina Izraela Icchaka Josefa, który stwierdził, że z byłego Związku Sowieckiego przyjechały „setki tysięcy gojów".

O sile uprzedzeń przekonał się niedawno deputowany izraelskiej koalicji rządzącej Władimir Beliak, którego wystąpienie w Knesecie przerywane było absurdalnymi okrzykami „Wódka! Wódka!" (standardowy zestaw skojarzeń obejmuje jeszcze mafię i prostytutki).

Społeczne upośledzenie „Rosjan" miało (i wciąż ma) także bardzo wymierny aspekt praktyczny. O ile do przesiedlenia zasadniczo wystarczał – na mocy tzw. Prawa Powrotu, obowiązującego w Izraelu – jeden żydowski dziadek lub babcia z którejkolwiek strony, to aby zostać uznanym za Żyda w sensie religijnym, potrzebna była żydowska matka lub przejście przez skomplikowany proces konwersji.

W efekcie dziś w Izraelu mieszka nawet do 400 tys. obywateli, którzy z punktu widzenia Naczelnego Rabinatu nie są Żydami, a zatem... nie mogą np. zawrzeć na terytorium swojego państwa małżeństwa (te są w Izraelu tylko religijne). Frustrację tym faktem dobitnie wyraził znów deputowany Beliak, który z mównicy parlamentarnej grzmiał: „Jesteśmy dobrzy do pracy, służby wojskowej, płacenia podatków, zdobywania medali (...), ale wciąż nie dość koszerni dla panów tego kraju – partii ultraortodoksyjnych".

Słowa te padły w dwa dni po tym, jak Artiom Dołgopiat – urodzony w Dniepropietrowsku na Ukrainie 24-letni gimnastyk, syn żydowskiego ojca i nieżydowskiej matki – zdobył w Tokio dla Izraela złoty medal olimpijski, dopiero drugi w historii kraju.

Integracja na własnych warunkach

Pozostaje zatem pytanie: jak przybysze z byłego Związku Sowieckiego poradzili sobie w tej nowej, obcej i obiektywnie trudnej rzeczywistości?

Przede wszystkim, poradzili sobie po swojemu i – *per saldo* – chyba wcale nieźle. Uzbrojeni w Puszkina, Czajkowskiego, mit sowieckiego zwycięstwa nad faszyzmem oraz sporo wyniesionego z dawnego kraju sceptycyzmu („Bujać to my, ale nie nas"), absolutnie nie zamierzali dać się przerobić na modelowego „nowego imigranta" z państwotwórczych hebrajskich czytanek dla nowoprzybyłych – czyli człowieka odrzucającego przeszłość i bezkrytycznie zachwyconego nową ojczyzną.

Jak pisał w rosyjskojęzycznym dzienniku „Wiesti" (założonym w 1992 r.) jeden z jego publicystów: „Świeckiej kulturze izraelskiej, nawet jeśli osiąga wysoki poziom, trudno jest zrobić wrażenie na wykształconych przybyszach z Rosji, ponieważ jest to kultura młoda i zazwyczaj imitacyjna oraz prowincjonalna".

Postsowieccy imigranci zachowali więc swój język, kulturę, zwyczaje i związki z krajami pochodzenia. Założyli swoje media, stowarzyszenia, instytucje kultury, a nawet partie polityczne. Stworzyli tym samym pierwszą w historii Izraela tak dużą i spójną niehebrajskojęzyczną enklawę kulturową poza ludnością arabską.

Zarazem jednak ci dawni obywatele upadłego imperium, mówiąc potocznie, „kupili" Izrael. Przyjęli izraelską tożsamość narodową, włącznie z dumą z nowego państwa i żywiołowym patriotyzmem. Tym samym w odróżnieniu od swoich rodaków, którzy po 1991 r. znaleźli się w Niemczech czy USA, przestali być ludźmi sowieckimi na obczyźnie, a stali się Izraelczykami. Specyficznymi, ale Izraelczykami.

Być może zadziałała tu – wyniesiona ze Związku Sowieckiego – potrzeba patosu i silnych tożsamości. Małe państwo na Bliskim Wschodzie, heroicznie walczące o przetrwanie w nieprzyjaznym otoczeniu – ta współczesna Sparta, bę-

dąca schronieniem narodu wiecznie w historii prześladowanego – zaspokajało tę potrzebę. Najwyraźniej nie zaspokajał jej np. konstytucyjny patriotyzm Republiki Federalnej Niemiec, na straży której stoją „obywatele w mundurach".

Korekta obrazu

Ekspresowej „izraelizacji" przybyszów towarzyszyło narastające u wielu z nich poczucie, że przecież tak naprawdę to ich grupa społeczna – świecka, narodowa i przywiązana do europejskiej kultury – jest bliżej ideałów ruchu syjonistycznego niż znaczna część współczesnego izraelskiego społeczeństwa. Jej zadaniem powinno być zatem stanie na straży tych wartości. Jak stwierdził w 1996 r. deputowany do Knesetu Juri Stern: „My, rosyjscy Żydzi, stworzyliśmy państwo Izrael. A teraz wróciliśmy, żeby je naprawić".

Przybysze z państwa sputników i najlepszego na świecie baletu, które na dodatek nigdy się nie cofa i – wedle starej anegdoty – „graniczy, z kim chce", nie mogli przecież pozostawić swojego nowego państwa orientalnym sefardom, którzy nie wiedzą, kto to Dostojewski, albo sfanatyzowanym – jak ich postrzegali – ultraortodoksom. Ani nawet starym aszkenazyjczykom, którzy, owszem, zbudowali państwo, ale z czasem przekształcili się w liberalnych mięczaków.

Pilnej korekty wymagała także, z perspektywy nowych rosyjskojęzycznych obywateli, izraelska kultura pamięci. Centralne miejsce Zagłady nie ulegało kwestii, jednak brak wiedzy w izraelskim społeczeństwie o roli Armii Czerwonej w pokonaniu III Rzeszy oraz o setkach tysięcy jej żydowskich żołnierzy budził oburzenie. Zwłaszcza że wśród imigrantów było także kilkanaście tysięcy sowieckich weteranów, których nowe państwo w żaden sposób nie uhonorowało i nie udzieliło im wsparcia.

Czy ten projekt – przerobienia państwa na swoją modłę – się powiódł? Oczywiście zasadniczo nie. Współczesny Izrael jest kulturowo coraz bardziej bliskowschodni, religia odgrywa w nim coraz większą rolę. Polityczna reprezentacja rosyjskojęzycznego elektoratu jest niewspółmiernie mała do jego potencjału, a podstawowe interesy tej grupy (*vide* sprawa małżeństw) pozostają wciąż niezałatwione.

Z drugiej strony jednak, z czasem język rosyjski stał się (obok angielskiego i arabskiego) jednym z roboczych języków Izraela, choinka i „*nowyj god*" weszły do repertuaru miejscowych tradycji, 9 maja (w Rosji Dzień Zwycięstwa) stał się oficjalnym izraelskim świętem państwowym, w każdym izraelskim rządzie jest przynajmniej jeden rosyjskojęzyczny minister (obecnie trzech), a głosy „rosyjskich" wyborców niejednokrotnie już przesądzały o politycznych losach kraju.

■■■

Czy przysłowiowa szklanka jest więc do połowy pusta, czy też pełna? Trudno stwierdzić. Z pewnością przybysze z byłego Związku Sowieckiego stali się trwałym elementem rzeczywistości nowego państwa – są obecni m.in. w polityce, biznesie, sferze kultury, sporcie, opiece zdrowotnej, a także walnie przyczynili się do izraelskiej rewolucji w dziedzinie nowych technologii. I nawet jeśli tym sukcesom towarzyszą narzekania, że wciąż za mało jest „naszych" w administracji państwowej, w armii, na uczelniach, w mediach i wśród elit prawniczych, jedno nie ulega wątpliwości – dawni obywatele sowieccy są dziś w Izraelu u siebie.

© MAREK MATUSIAK

Autor jest analitykiem Ośrodka Studiów Wschodnich im. Marka Karpia, w którym pracuje w programie izraelskim. Na stronie internetowej ośrodka (osw.waw.pl) dostępna jest obszerna analiza jego autorstwa poświęcona rosyjskiej alii.

RICHARD NOWITZ / CORBIS / GETTY IMAGES

OGŁOSZENIA

W Sądzie Rejonowym w Ząbkowicach Śl. I Wydział Cywilny pod sygnaturą I Ns 14/21 toczy się postępowanie z wniosku Alior Bank S.A. w Warszawie o stwierdzenie nabycia spadku po Alicji Żyłowicz, zmarłej dnia 2 stycznia 2017 r. w Sieroszowie.

Sąd wzywa wszystkich spadkobierców, aby w ciągu trzech miesięcy od dnia ukazania się niniejszego ogłoszenia zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, gdyż w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim I Wydział Cywilny informuje, że w sprawie prowadzonej pod sygnaturą I Ns 933/20 zezwolił Gminie Miastu Mińsk Mazowiecki na złożenie do depozytu sądowego kwoty 16.000 zł tytułem odszkodowania za nieruchomość położoną w Mińsku Mazowieckim, oznaczoną w ewidencji gruntów numerem 2627/1, o powierzchni 0,0100 ha. Kwota 16.000 (szesnaście tysięcy) zł zostanie wydana osobie, która wylegitymuje się tytułem własności nieruchomości, bez żadnych warunków.

Przed Sądem Rejonowym w Mińsku Mazowieckim Wydział I Cywilny, pod sygnaturą I Ns 62/21, na wniosek Krzysztofa Buczka-Pągowskiego – kuratora spadku – toczy się postępowanie o stwierdzenie nabycia spadku po Piotrze Stanisławie Siwku, zmarłym dnia 3 stycznia 2012 roku w Sulejówku, ostatnio stale zamieszkałym w Sulejówku.

Sąd wzywa, aby spadkobiercy, w terminie trzech miesięcy od dnia opublikowania ogłoszenia, zgłosili się do tutejszego Sądu i udowodnili nabycie spadku, ponieważ w przeciwnym razie mogą zostać pominięci w postanowieniu o stwierdzeniu nabycia spadku.

Sąd Rejonowy w Mińsku Mazowieckim I Wydział Cywilny informuje, że w sprawie prowadzonej pod sygnaturą I Ns 931/20 zezwolił Gminie Miastu Mińsk Mazowiecki na złożenie do depozytu sądowego kwoty 1.603 zł tytułem odszkodowania za nieruchomość położoną w Mińsku Mazowieckim, składającą się z działek oznaczonych w ewidencji gruntów numerami: 2648/5 o powierzchni 0,0003 ha i 2623/1 o powierzchni 0,0007 ha. Kwota 1.603 (jeden tysiąc sześćset trzy) zł zostanie wydana osobie, która wylegitymuje się tytułem własności nieruchomości, bez żadnych warunków.

TAFADZWA UFUMELI / GETTY IMAGES

Płukanie mułu w poszukiwaniu drobnych cząsteczek złota. Banket, Zimbabwe, 8 marca 2021 r.

Złoty interes

ALEXIO RASHIRAI Z HARARE, WOJCIECH JAGIELSKI

Mieszkańcy Zimbabwe i połowy Afryki zapadli na gorączkę złota. Ryją ziemię w jego poszukiwaniu, wierząc, że odmieni ich los, że z biedaków i tułaczy przemieni w królów życia.

Dwie bosonogie dziewczyny, tak na oko w wieku mojej córki, uczennicy, taszczą wiadra wypełnione do połowy brudną wodą. Przed chwilą wyciągnęły je z głębokiego wąwozu, w którym mężczyzna, pewnie ojciec jednej z nich, grzebie w mulistym dnie strumienia motyką. Taką zwykłą, jakich używa się przy uprawie przydomowych grządek.

Niedaleko, może dziesięć metrów dalej, na dnie wąwozu, w mule przebiera inny mężczyzna. Wygląda na olbrzyma. Nie tylko grzebie w dnie strumienia, ale rozbija też skały na jej brzegach. Parę metrów dalej pracuje inny mężczyzna, a za zakolem strumienia pewnie następni.

To poszukiwacze złota. Nędzarze. Ich narzędzia to wycięte z zarośli kije i przymocowana do nich przeżarta przez rdzę blacha, służąca za sito, a także podniszczony koc, plastikowe wiadro i foliowa torba, do jakich w sklepach pakuje się zakupy. Ot i wszystko. No i oczywiście motyka, zabrana z pola, które przestało rodzić.

Jeden na dziesięciu (co najmniej)

Robi się to tak. Poderwany motyką z dna rzeczny muł, niesiony prądem, osiada na kocu, który służy tu za sieć. Po jakimś czasie koc zwija się ostrożnie i wyciska na brzegu z wody. Większe i cięższe kawały ziemi z dna wrzuca się od razu do wiadra, żeby na brzegu przesiać je na pordzewiałej blasze.

Najwięksi szczęściarze znajdują czasem na niej czy na kocu drobinki kruszcu, które zbierają z nabożną czcią i wkładają do drewnianej skrzyneczki. W Zimbabwe poszukiwacze złota pil-

nują, by skrzyneczka była zbita z drewna rosnących tu drzew. Skrzynki przywiezione z zagranicy się do tego nie nadają. Nie podobają się duchom przodków i duchom przyrody, które sprawiają, że wrzucone do szkatułki złoto bez śladu znika.

Kiedy w szkatułce uzbiera się wystarczająco wiele złotych drobinek, przesypuje się je do zwyczajnej plastikowej torby i niesie do punktu skupu. Statystyki mówią, że poszukiwacz złota z Zimbabwe jest w stanie zebrać dziennie jeden-dwa gramy kruszcu. Jeden gram złota można sprzedać za 40-45 amerykańskich dolarów. W dzisiejszym Zimbabwe to prawdziwa fortuna.

Złota szuka więc, kto tylko może. Władze przyznają, że domorosłych poszukiwaczy jest dziś ponad półtora miliona (co dziesiąty mieszkaniec kraju). Ale ponieważ tak mówią władze, zimbabweński lud zbieracki jest pewnie jeszcze liczniejszy.

Ci w strumieniu jeszcze niedawno byli wieśniakami i żyli z uprawy ziemi, ale utrzymująca się od kilku lat susza i trwająca już dwudziesty rok gospodarcza zapaść, brak szans na jakiekolwiek oficjalne zatrudnienie i zarobek, a na koniec – jakby tego było mało – pandemia sprawiły, że porzucili swoje jałowiejące pola i zaczęli szukać skarbów. Kiedyś nadejście pory deszczowej wyznaczało im rytm prac polowych. Dziś wyruszają na poszukiwania złota, bo rwący nurt wezbranych strumieni sam podmywa brzegi i wypłukuje z dna drobiny kruszcu, wyręczając ich w pracy. Nie trzeba ryć w mule, wystarczy nadstawić sita i sieci, i czekać, aż woda napełni je złotem.

Skarb w głębi ziemi

Inni – szacuje się, że mniej więcej co trzeci poszukiwacz – zamiast stać nad wodą, schodzą w głąb ziemi, do opuszczonych kopalni. Niegdyś wydobywano w nich złoto, ale gdy bogatsze i łatwiej dostępne złoża zostały wyczerpane, a po te skromniejsze i ukryte głęboko nie opłacało się sięgać, kopalnie zamknięto, a górników pozbawiono zarobku.

Bankructwo gospodarki, skutek rządów prezydenta Roberta Mugabego (rządził w latach 1980-2017) i jego następcy Emmersona Mnangagwy (wcześniej jego prawej ręki), a także światowy kryzys pogłębiony dodatkowo epidemią – wszystko to sprawiło, że ceny złota poszybowały i niektóre kopalnie otwarto na nowo. Do innych zaś wpuszczono domorosłych górników, by szukali złota na własną rękę i tylko dla siebie. Postawiono tylko jeden warunek, podobnie zresztą jak wieśniakom szukającym go w strumieniach: wolno im sprzedawać znalezione skarby wyłącznie w oficjalnych punktach skupu, prowadzonych przez rządową agencję, specjalnie do tego celu powołaną.

W przeciwieństwie do wieśniaków, którym pora deszczowa ułatwia pracę w wezbranych rzekach, górnicy na ten czas raczej przerywają poszukiwania. Stare szyby, pozbawione wentylacji, i tak grożą zawaleniem, a zalane wodą stałyby się zabójczą pułapką.

Górnicy schodzą do nich po drabinach i powiązanych ze sobą długich sznurach – bardzo długich, bo po złoto trzeba zejść głęboko, nawet na kilkadziesiąt metrów. Uzbrojeni w motyki, kilofy, łopaty, dłuta i młoty, mając umocowaną na głowie latarkę za jedyne światło, ryją w skale, a urobek wrzucają do wiader, które ich towarzysze wciągają na górę, by wydłubać i odsiać kruszec od rudy. Mówi się, że przy odrobinie szczęścia w starych kopalniach górnik może znaleźć nawet trzy-cztery gramy dziennie, a więc dwa razy więcej niż poławiacze ze strumieni.

Zbieracze kontra łowcy

Nad poszukiwaczami złota, zarówno ze strumieni, jak z głębi ziemi, nad tym współczesnym ludem zbierackim, wisi jeszcze jedna groźba: uzbrojeni w karabiny i maczety rabusie, współczesny lud łowiecki, który dybie na zbieraczy i żyje z grabieży ich skarbów. Rabusie każą sobie płacić haracz, a zdarza się też, że odbierają cały urobek. W zamian obiecują ochronę przed innymi rabusiami, urzędnikami czy policją. Obiecują też, że za opłatą nie dopuszczą innych poszukiwaczy skarbów do złotodajnego szybu czy strumienia.

Rabusie działają w rozmaitych szajkach (z kolei żeby wspólnymi siłami lepiej bronić swoich interesów, poszukiwacze złota organizują się w spółdzielnie), rywalizujących ze sobą, a nawet toczących wojny. Ich wszystkich nazywa się w Zimbabwe „Mashurugwi" – „ludźmi z Shurugwi".

Shurugwi to niewielkie miasto w prowincji Midlands, w sercu kraju. „Ludzie z Shurugwi" to byli górnicy z tamtejszej kopalni złota, którzy po jej zamknięciu pod koniec XX w., zwolnieni z pracy i pozbawieni zarobku, skrzyknęli się w przestępczą szajkę. Maczetami wymuszali haracze na okolicznych przedsiębiorcach. Im kraj staczał się głębiej w gospodarczą przepaść, tym „ludzie z Shurugwi" zdobywali więcej naśladowców. Ale wszystkich, gdzie by nie działali, i tak nazywano „Mashurugwi".

Od kiedy zbieranie złota stało się w Zimbabwe najbardziej dochodowym dla biedniejącego społeczeństwa zajęciem, gangi również przerzuciły się niemal całkowicie na złoty interes. Ściągają haracz od poszukiwaczy i toczą między sobą wojny o dostęp do najbogatszych spośród przebranych już przed laty złóż. Dwa lata temu wojny gangów o złoto przybrały taką skalę, że gazety w stolicy zaczęły pisać, iż w kraju wybuchła wojna domowa. Najgorzej działo się w okolicach Shurugwi, gdzie gangi napadały nawet na policyjne komendy, żeby uwalniać osadzonych w aresztach kompanów.

Złoto i władza

Prowincja Midlands to rodzinne strony prezydenta Mnangagwy. Miasto Zvishavane, w którym przed prawie 80 laty przyszedł na świat, dzieli od Shurugwi półtorej godziny jazdy.

Zanim sam stanął na czele państwa, Mnangagwa służył u Mugabego za człowieka od brudnej roboty. Szefował tajnej i jawnej policji, wojsku i wymiarowi sprawiedliwości, znał wszystkie sekrety prezydenta. Uważano go za szarą eminencję na dworze starzejącego się władcy – i za niekoronowanego króla Midlands, jego rodzinnej krainy. W Zimbabwe mówi się, a raczej szepcze, że nie przypadkiem, lecz dzięki politycznym koneksjom „ludzie z Shurugwi" wyrośli na najpotężniejszy gang, którego znaczenie wciąż rośnie.

Do władzy wyniosło Mnangagwę wojsko, które jesienią 2017 r. dokonało przewrotu i odsunęło Mugabego od rządów. Zamachem stanu dowodził dowódca armii, generał Constantino Chiwenga, ale w wyborach w 2018 r. ustąpił Mnangagwie, samemu zadowalając się – jak na razie – wiceprezydenturą. Ostatnio jednak zaczęło między nimi iskrzyć i mówi się, że w następnych wyborach, w 2023 r., Chiwenga mógłby odebrać Mnangagwie pierwszy fotel.

Generał, młodszy od Mnangagwy o ponad 20 lat, musi znać stare zimbabweńskie ↦

↦ porzekadło, że ten, kto ma złoto, mieć będzie także władzę, a ten, kto zdobędzie władzę, będzie mieć tyle złota, ile tylko zapragnie. Dlatego Mnangagwa tak opieszale zabiera się do walki z gangami – tłumaczono sobie – a z kolei Chiwenga posyła wojsko przeciw „ludziom z Shurugwi", bo boi się, że przed wyborami przerodzą się w wierne prezydentowi bojówki. Tak jak niegdyś weterani wyzwoleńczej wojny partyzanckiej czy młodzieżówka rządzącej partii, z których Mnangagwa tworzył milicje, by terroryzowały opozycję i broniły władzy Mugabego.

Na szczycie piramidy

Własnych „ludzi z Shurugwi", a także własne zastępy poszukiwaczy złota mają zresztą niemal wszyscy liczący się w kraju dygnitarze.

Miał ich zmarły przed rokiem na covid emerytowany generał Sibusiso Moyo, jeden z przywódców puczu z 2017 r., który też przymierzał się ponoć do prezydentury. „Arcybiskupami" maczetowych gangów nazywani są ministrowie – Owen Ncube od bezpieczeństwa, July Moyo od samorządów – a także wielu posłów, zwłaszcza ziomków Mnangagwy z prowincji Midlands.

Dygnitarze na najwyższych stanowiskach w państwie najmują zbrojne bojówki, by strzegły ich terytoriów łowieckich, a w zamian zapewniają ich hersztom bezkarność i udział w zyskach. Dygnitarze ściągają też z pomocą gangów daninę od poszukiwaczy złota. Cały złoty interes zbudowany jest tak, by każdy na nim korzystał, ale prawdziwe bogactwo przynosi przede wszystkim tym, którzy stoją na wierzchołku złotej piramidy.

> Wobec upadku gospodarki szukanie złota stało się w Zimbabwe źródłem zarobku **i dla państwa, i dla licznych domorosłych górników.**

Wobec upadku rolnictwa, hodowli, a nawet górnictwa innych skarbów, takich jak diamenty, platyna czy nikiel, złoto jest w Zimbabwe najpewniejszym źródłem zarobku, zarówno dla państwa, jak dla domorosłych górników. To zresztą oni, a nie wielkie kopalnie, są głównymi dostarczycielami kruszcu. Szacuje się, że dwie trzecie zimbabweńskiego złota pochodzi z urobku poszukiwaczy, z których tylko część działa legalnie. Władze wystawiają odpowiednie licencje, ale tylko tym, którzy codziennie dostarczają co najmniej 5 gramów. Poszukiwacze złota twierdzą, że nie da się tego zebrać w jeden dzień w strumieniu czy porzuconej kopalni, i że z takich licencji korzystają głównie szefowie okradających ich gangów, żeby legalizować rabunki.

Walizka pani Henrietty

Jak wspomniano, zgodnie z prawem i poszukiwacze, i wielkie kopalnie mogą sprzedawać swoje zdobycze jedynie w punktach skupu, prowadzonych przez agencję podległą bankowi centralnemu. Płaci ona z opóźnieniem i po cenach niższych niż na światowych giełdach. Ponadto, wielkim dostawcom – tym, którzy sprzedają tony kruszcu – część (nawet trzy czwarte) należności wypłaca w amerykańskich dolarach.

Tymczasem drobni poszukiwacze do zeszłego roku mogli liczyć jedynie na wypłatę w bezwartościowych z powodu inflacji dolarach zimbabweńskich. Większość woli więc szmuglować złoto za granicę, do RPA, albo sprzedawać przemytnikom, którzy przyjeżdżają do Harare i Bulawayo, by wywozić łup do Dubaju, Delhi, Szanghaju czy Sankt Petersburga. Minister policji Kazembe Kazembe obliczył, że jeśli ze złotego urobku do zimbabweńskiego skarbca trafia co roku półtora miliarda dolarów, to drugie tyle złota przemycane jest za granicę, a zyski wędrują do kieszeni królów kontrabandy.

Jesienią 2020 r. podczas odprawy na lotnisku w Harare zatrzymano przewodniczącą Federacji Górników Henriettę Rushwayo, która wcześniej była też szefową zimbabweńskiej federacji piłkarskiej. W jej podręcznym bagażu, z jakim wybierała się do Dubaju, celnicy znaleźli 6 kilogramów złota w sztabkach, o wartości ponad 350 tys. dolarów amerykańskich. Pani Henrietta tłumaczyła, że w pośpiechu przed podróżą pomyliła walizki i zamiast tej z fatałaszkami, zabrała na lotnisko walizkę, w której trzyma złoto.

Aresztowano ją, ale po wpłaceniu kaucji zaraz wyszła na wolność. Nikt w Zimbabwe niczego innego się nie spodziewał. Pani Henrietta jest daleką krewną prezydenta i przyjaciółką jego żony Auxilii. Pojawiły się pogłoski, że znalezione w jej walizce sztabki tak naprawdę należały do Pierwszej Damy i że wybierała się do Dubaju w jej zastępstwie, żeby je sprzedać. Urzędnicy prezydenta stanowczo temu zaprzeczyli i oznajmili, że plotki rozsiewają wrogowie Mnangagwy, by rzucić cień na jego dobre imię. Wrogowie, czyli konkurenci do władzy.

Szuka, kto tylko może

Na gorączkę złota zapadło na kontynencie nie tylko Zimbabwe. W całej Afryce pandemia pogłębiła jeszcze bardziej przepaść między tymi, co mają wiele, a tymi, znacznie liczniejszymi, którzy

POŻEGNANIE

Z głębokim żalem i smutkiem przyjęliśmy wiadomość o śmierci

Ś.† P.

Profesor Elżbiety Traple

wybitnej przedstawicielki polskiej i europejskiej nauki prawa
o imponującym dorobku naukowym i zawodowym,
niezwykle cenionej w Polsce i za granicą,
osoby o ogromnych zasługach dla polskiej kultury

Rodzinie śp. Pani Profesor oraz wszystkim Jej współpracownikom
z Kancelarii Traple, Konarski, Podrecki,
jak również wszystkim uczniom
składamy wyrazy najgłębszego współczucia

ZESPÓŁ KANCELARII BARAN, KSIĄŻEK, BIGAJ

TAFADZWA UFUMELI / GETTY IMAGES

Akcja ratownicza po zawaleniu się szybu kopalni złota w miejscowości Bindura, Zimbabwe, 2 grudnia 2020 r.

nie mają nic, nawet widoków na przyszłość.

W Kongo, w nieprzyzwoicie bogatych we wszelkie mineralne skarby prowincjach Katanga, Kivu Północne i Kivu Południowe, ludzie od lat na własną rękę ryją w ziemi i szukają w strumieniach złota oraz diamentów, z nadzieją, że odmienią swój los. Złota szukają w Południowej Afryce (górnika-chałupnika nazywa się tam „zama-zama", co w języków zuluskim może oznaczać: ryzykant, ryzyk-fizyk czy też gracz w rosyjską ruletkę), jak również w Ghanie i Sudanie. Na sawannach Sahelu ubożejący wieśniacy i pasterze szukają skarbów, żeby zarobić na podróż do lepszego życia – rzecz jasna na Zachód. Złota szukają także tamtejsi dżihadyści, żeby zdobyć pieniądze na swoją (nie)świętą wojnę i zniszczyć bezbożny w ich oczach Zachód.

Wyobraźnię rozpaliła wieść o znalezieniu w kopalni w Botswanie w czerwcu i lipcu nie jednego, ale dwóch ogromnych, bo ponad tysiąckaratowych diamentów (największy w dziejach, liczący ponad trzy tysiące karatów diament znaleziono przed ponad stu laty w Południowej Afryce). Kiedy więc w tym samym czasie rozeszła się pogłoska, że w krainie Zulusów, w południowoafrykańskiej prowincji KwaZulu, pewien pasterz znalazł całe zbocze usiane skrzącymi się w słońcu kryształkami, do położonej na zielonych wzgórzach wioski KwaHlathi z całego południa Afryki ruszyły pielgrzymki poszukiwaczy skarbów.

Uzbrojeni w kilofy, motyki, łopaty i sita wędrowali z przekonaniem, że wkrótce skończy się ich niedola. „Też chcę zamieszkać w Dubaju, w piętrowym domu z basenem" – mówił w telewizji pewien biedak z Alexandry, zbudowanej przed laty pod Johannesburgiem jako osiedle dla czarnej służby i górników z kopalni złota (odkryte tam pod koniec XIX w. złoża były najbogatszym złotym zagłębiem na świecie).

Mężczyzna pokazywał do kamery trzy wyciągnięte z kieszeni kamyczki. „Te cudeńka odmienią nasze życie" – przekonywał. Zabrał ze sobą cztery córki, z których najmłodsza nie miała więcej niż 4-5 lat. „Dziś nie miały lekcji, ale kiedyś poślę je do dobrej szkoły, a sobie kupię samochód – mówił. – Szukały ze mną skarbów całą noc, ale nie, wcale nie są zmęczone".

Wiadoma rzecz

Kiedy liczba przybyszów przewyższyła liczbę mieszkańców wioski KwaHlathi, a zielone pastwiska zostały zryte jak kretowisko, władze ogłosiły, że wszyscy muszą się wynosić precz, gdyż tak wielkie zgromadzenie w jednym miejscu w czas epidemii skończy się tragedią. Władze zapowiedziały też, że przywiezieni z Johannesburga znawcy zbiorą znajdowane na pastwisku kryształki i sprawdzą, czy to rzeczywiście diamenty. I że dopiero gdy wszystko się wyjaśni, ludzie będą mogli wrócić.

Kilka dni potem władze ogłosiły, że lśniące oślepiającym blaskiem błyskotki, które ludzie brali za diamenty, są kawałkami zwykłego kwarcu. „Wiadoma rzecz! – powiedział na to dziennikarzom jeden z poszukiwaczy skarbów. – Nas przeganiają, żeby mogli się nakraść ci, co są bliżej władzy. A jak już się obłowią, resztki ze stołu rzucą i nam, żebyśmy i my coś z tego mieli i nie wypominali im bogactwa".

©℗ ALEXIO RASHIRAI, WOJCIECH JAGIELSKI

TRZY HEKTARY UDRĘKI

77 lat temu komuniści uchwalili dekret o reformie rolnej: na jego mocy rozdzielono ponad dwa miliony hektarów ziemi. Jak ta reforma wyglądała w oczach samych chłopów?

ANNA WYLEGAŁA

Przecież my dostali pole golutkie. Nie było nic. A jeszcze ja dostałem ziemię taką, co była koniczyna, sam perz. Ani uorać, ani nic. O Jezu! Siem namordowoł!" – gdy 75 lat po tym, jak 6 września 1944 r. komuniści, przejmujący władzę na ziemiach zajętych przez Armię Czerwoną, uchwalili dekret o reformie rolnej, rozmawiam o niej z panem Władysławem (rocznik 1933), jego głos drży z emocji.

Siedzimy w jego domu w Pławowicach, niewielkiej wsi w powiecie proszowickim. Jednak to nie w tym domu pan Władysław się urodził. Dorastał w czworakach, na folwarku należącym do Ludwika Hieronima Morstina, właściciela liczącego 220 hektarów majątku Pławowice; jego ojciec był fornalem. Władysław miał 12 lat, gdy w 1945 r. jego matka z parcelacji pławowickiego majątku do-

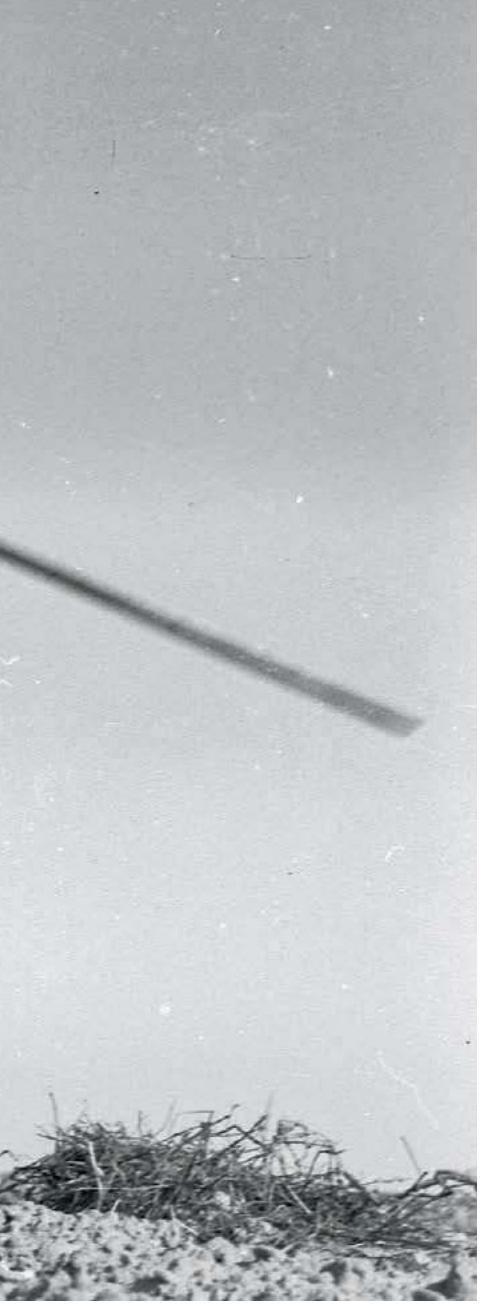

KONSTANTY JAROCHOWSKI / FORUM

Reforma rolna nie była pomysłem komunistów. Przed wojną miały ją w swoich programach wszystkie partie chłopskie i lewicowe, mowa była o niej też w deklaracjach programowych Polskiego Państwa Podziemnego. Na zdjęciu: mierniczy w polu, lata 50.

stała 3,5 hektara pola, wysłużonego konia i chomąto.

Rok wcześniej ojciec umarł na zapalenie płuc i matka została sama z czwórką dzieci. Najstarszy syn wyjechał na ziemie poniemieckie, po krótkim czasie ściągając do pomocy brata bliźniaka Władysława, a najmłodszy oddany został do szkoły z internatem. Na gospodarstwie została samotna kobieta z nastoletnim Władkiem. Dopiero w 1954 r. postawili na swoim polu niewielki drewniany domek.

Praktyczne narzędzie

Rodzina pana Władysława była jedną z ok. 600 tys. chłopskich rodzin, które otrzymały ziemię w wyniku przeprowadzenia w powojennej Polsce reformy rolnej – i jedną z wielu, dla których „droga na swoje" była bardzo wyboista. Na mocy dekretu z 1944 r. upaństwowieniu podlegały majątki ziemskie będące własnością zdrajców narodu, obywateli III Rzeszy i obywateli polskich narodowości niemieckiej, a także majątki przekraczające bądź 100 ha powierzchni ogólnej, bądź 50 ha użytków rolnych.

Reforma rolna nie była bynajmniej pomysłem komunistów – miały ją w swoich przedwojennych programach wszystkie partie chłopskie i lewicowe, mowa była o niej także w deklaracjach programowych Polskiego Państwa Podziemnego (np. z marca 1944 r. i lipca 1945 r.). Niewątpliwie była ona potrzebna przeludnionej i głodnej ziemi polskiej wsi.

Komunistyczny dekret stał się – w sferze politycznej – swego rodzaju mitem założycielskim pojałtańskiej Polski. Natomiast w praktyce był przede wszystkim narzędziem, które umożliwiło przejęcie majątku klasy ziemiańskiej, niewygodnej dla komunistów, i jej polityczną marginalizację.

Państwo przejmowało ziemię bez odszkodowania, ale nie oddawało jej za darmo: uprawnieni do jej otrzymania pracownicy folwarczni, chłopi bezrolni, małorolni i średniorolni musieli ją spłacać, pod postacią oddawanych państwu dostaw zboża, w ratach rozłożonych na 10 lub 20 lat. Pan Władysław dobrze pamięta dzień, w którym spłacił ostatnią ratę należności.

Czym robić w tym polu?

Choć więc 77 lat temu chłopi bardzo pragną ziemi, początki gospodarowania na niej są trudne. Przydzielane działki są małe, bo chętnych jest wielu, a ziemia rozparcelowana zostaje tylko częściowo (znaczna jej część stanie się podstawą do stworzenia gospodarstw państwowych, z których z czasem powstaną PGR-y).

W stosunkowo dobrej sytuacji są chłopi małorolni, którzy z reformy dostają po hektarze czy półtora, by powiększyć swoje gospodarstwa. Gorzej mają ci, którzy ziemi wcześniej nie mieli wcale – chłopi bezrolni i robotnicy folwarczni. Często dostają nieobsiane pole, nie mają inwentarza, środków na inwestycje, nie są w stanie postawić zabudowań gospodarczych.

Gdy w 20-lecie reformy ogłoszono konkurs na pamiętniki parcelantów, w jednej z nadesłanych prac przeczytać można było wspomnienia pełne paniki: „Ale jak tu gospodarzyć? Nie ma konia, wozu, żadnego narzędzia do uprawy pola. Nie ma nawet kawałka kołka czy deski, żeby płot w oborze poprawić". Inny pamiętnikarz, z Hrubieszowskiego, wspomina, że jego działka okazała się zachwaszczonym ugorem, który trzeba było po kawałku obrabiać wynajętymi końmi, i że gdy ją zobaczył, płakał z rozpaczy.

W niektórych majątkach między służbę folwarczną rozdziela się resztki inwentarza żywego, ale większość parcelantów nie może na to liczyć. Ludzie latami najmują u sąsiadów konie do prac polowych, a wypożyczenie odpracowuje cała rodzina łącznie z dziećmi.

Gdy przez kilka ostatnich lat nagrywam wywiady z dziećmi chłopów nadzielonych ziemią, słyszę powtarzające się historie o chłodzie i głodzie. Pani Stanisława (ur. 1933), córka fornala z Kowali (byłego majątku Walewskich w powiecie radomskim), pamięta, że ojciec kupił konia dopiero, gdy był na emeryturze. Wcześniej ona sama każdego lata chodziła do sąsiada „na odrobek", by odpracować wypożyczenie konia.

We wsi położonej kilkanaście kilometrów od Kowali rozmawiam z urodzoną w 1930 r. córką kowala, który dostał ziemię z parcelacji Konar, należących wcześniej do Józefa Helbicha. Kobieta patrzy na mnie z zadumą i mówi: „Pani kochana, tylko dziesięć palców się miało, nic więcej, i te trzy hektary, czym to było cholera robić w tym polu? Pazurami?".

Zanim parcelanci zaczną cieszyć się pierwszymi plonami, zagląda im w oczy głód. Nie ma już dziedzica wypłacającego ordynarię. Marian Assynger spod Ropczycy, przed wojną chłop bezrolny, z parcelacji dostaje 0,84 ha. W pamiętniku nadesłanym na konkurs zorganizowany w 1955 r. pisze, że bardzo się z niej cieszył, ale również, że zimą 1945 r. jego rodzina głodowała: dzieci zbierały zmarznięte zeszłoroczne ziemniaki, z których pieczono placki. Pierwsze lata na swoim bywają więc niewiele lepsze niż niemiecka okupacja. ↦

Nic za darmo

Panu Władysławowi z Pławowic udaje się ziemię spłacić, ale średnia ściągalność takich należności nie przekracza 50 proc. W fatalnej sytuacji są grupy już na starcie mające mniejsze możliwości gospodarowania: ludzie starsi, pogorzelcy (tych po wojnie nie brak), ci, którzy stracili dobytek podczas przejścia frontu, samotne kobiety z (licznym) potomstwem, jak matka Władysława.

Archiwa różnych urzędów z tego okresu pełne są ludzkich dramatów. Zofia Langdo ze Sprowy (niewielkiej wsi w powiecie jędrzejowskim), której mąż zginął w czasie wojny, ma dziecko i znikąd pomocy. Z reformy dostaje 2,65 ha, ale nie udaje jej się działki zagospodarować i jedzie do pracy na Dolny Śląsk. W maju 1946 r. pisze rozpaczliwą prośbę do Banku Rolnego o umorzenie spłaty za ziemię: „Ja z dzieckiem nie mam z czego żyć". Wojewódzki Urząd Ziemski w Kielcach odpisuje, że do umorzenia nie ma podstaw. Zofia Langdo nie wraca już do Sprowy.

W sprawie działek z majątku Sprowa piszą też do wojewody liczni robotnicy rolni z pobliskiej Wywły, spalonej przez Niemców. Jak Kazimierz Sikora, który przed wojną nie miał ziemi ani zabudowań, a w trakcie pacyfikacji stracił cały majątek ruchomy: Niemcy zabrali mu krowę. Teraz Sikora chce się wybudować, dostał 2 ha ziemi, ale twierdzi, że jeśli będzie musiał ją spłacać, nie da rady. Prosi o obniżenie opłaty o połowę. Sikorze i pozostałym proszącym z Wywły Urząd Wojewódzki odpisuje, że umorzenie nie jest możliwe, ale można spłaty odroczyć. Nie wszystkim to pomaga.

Lepiej zachować kwity

Parcelanci płacą też za inwentarz, jeśli taki dostali. W Paśmiechach (pow. kazimierski) Wincenty Makola – przed wojną ogrodnik w majątku – ma dostarczyć państwu w ramach zapłaty za konia i krowę odpowiednio 10 i 6 kwintali żyta. Płaci, a jego syn do dziś pamięta, jakim kosztem. Państwo ściga dłużników. W Paśmiechach jeszcze w 1951 r. Prezydium Wojewódzkiej Rady Narodowej z Kielc poszukuje (bezskutecznie) Stanisława Markiewicza, który w 1945 r., podobnie jak Makola, dostał krowę, ale nie zapłacił, zabrał krowę i zniknął.

Nabywcy ziemi z reformy dobrze pamiętają, że ją kupili, a nie dostali. Pani Kazimiera z Młódnic w powiecie radomskim ma 10 lat, gdy jej ojciec staje się właścicielem 2 ha z podzielonego majątku Konary. Gdy podczas nagranego w 2018 r. wywiadu pytam ją, czy ojciec dostał działkę z majątku Helbicha, obrusza się: „Tak, ale to nie dostał, tylko to było... Spłacał!".

Komuniści nie rozdali ziemi za darmo: uprawnieni do jej otrzymania pracownicy folwarczni, chłopi bezrolni, małorolni i średniorolni musieli ją spłacać.

O płaceniu za ziemię, a nie jej otrzymaniu, mówią też młodsi ludzie, którzy reformy nie mogą pamiętać – to pokazuje, jak ważna była to sprawa. Wnuk nabywców ziemi z Planty (pow. opatowski) stwierdza z rozgoryczeniem, że wszędzie mówiono, że chłopi ziemię dostali, podczas gdy jego dziadkowie ją przecież kupili. Do dziś pamięta przechowywane pieczołowicie w pudełku na szafie „kwity za ziemię". Mówi, że dziadkowie nie pozwalali ich wyrzucić: do końca nie byli pewni, czy ktoś nie każe im oddać działki z majątku Morawskich.

Dziedzic wróci i odbierze

Strach o ziemię był bowiem drugim – obok trudności materialnych – hamulcowym chłopskiego wybijania się na swoje. Realizacja dekretu o reformie rolnej spotkała się na wsi z ogromnym entuzjazmem, ale też – zwłaszcza na początku – z dużą nieufnością. Chłopi nie byli pewni intencji władz i słusznie podejrzewali, że komunistom chodzi nie tylko o chłopskie dobro, ale też o kupienie politycznego poparcia.

Bali się dwóch rzeczy: że dziedzic wróci i odbierze ziemię oraz że w ślad za rozdzieleniem ziemi wkrótce nastąpi jej kolektywizacja. 90-letni mieszkaniec Sprowy, gdy rozmawiam z nim w 2018 r., nastroje kwituje tak: „Po wyzwoleniu jakiś czas to panowało przekonanie, że to niepewna jest reforma".

Strach przed powrotem dziedzica wiązał się z ogólną niepewnością co do sytuacji politycznej, na wsi być może jeszcze większą niż w mieście. Co będzie, jeśli ziemię się weźmie i zaorze, a po roku jej dawny właściciel wróci i rozliczy byłych pracowników, czy pole od nowej władzy przyjęli, czy nie?

Bywało też, że ziemi nie chciano brać, bo dziedzic miał ze służbą folwarczną i ze wsią szczególnie dobre relacje. Ziemia odebrana dobroczyńcy (a nie krwiopijcy) uwierała sumienie. Czasem próbowano temu zaradzić, prosząc dziedzica o zgodę. W Zalesiu koło Rzeszowa kilku pracowników Romana Gumińskiego przyszło do niego z pytaniem, czy mają przyjąć nadziały, czy zbojkotować parcelację. Właściciel kazał im ziemię wziąć, bo w przeciwnym razie mogłaby dostać się osobom zupełnie z majątkiem niezwiązanym.

Będzie jak u Sowietów?

Czasem, gdy ziemia zostanie już rozdzielona, a dziedzic nie pojawia się z powrotem, przychodzi kolejny strach: czy za gospodarowanie „na pańskim" nie spotkają parcelantów represje ze strony podziemia niepodległościowego.

Wprawdzie większość członków powojennej konspiracji stanowią chłopi – „wojną chłopską" nazwie jeden z historyków działania partyzantów po 1945 r. – ale zdarza się, że rozrzucają oni ulotki nawołujące do bojkotu reformy ogłoszonej przez komunistów, wyrywają paliki wyznaczające granice nowych działek czy rozpuszczają wieści o karze, która spotka gospodarujących na rozparcelowanej ziemi. Parcelanci zwlekają wtedy z obsiewaniem otrzymanych pól. W pamiętniku nadesłanym z okolic Przeworska na pierwszy powojenny konkurs pamiętnikarski czytamy: „Wyczekiwanie, obawy, na parcelacyjnych polach nikt nie rusza. Straszą, kto pierwszy pojedzie – kula w łeb".

Wreszcie, chłopi boją się, że w pojałtańskiej Polsce będzie jak w Związku Sowieckim: ziemię najpierw odbierze się panom, a potem chłopom. Strach jest tak wielki, że Stronnictwo Ludowe wydaje w 1946 r. specjalną ulotkę przekonującą, że władze nie planują przeprowadzenia kolektywizacji na wzór sowiecki.

Kolektywizacji boją się nie tylko ci, którzy z komunistami nie sympatyzują. W protokołach z zebrań założycielskich komórek komunistycznej Polskiej Partii Robotniczej z wielu wsi można przeczytać, że członkowie-założyciele chcą wprawdzie wstąpić do PPR, ale „tak, żeby kołchozów nie robić".

Ziemię porzucił i wyjechał

Utrzymanie przydzielonej ziemi wymaga więc od parcelantów wielkiego wysiłku. Podczas gdy pierwsze lata są walką o przetrwanie, kolejne przeciągają się w mozolne dorabianie się prawdziwej niezależności.

Pani Anna z Wlonic (pow. opatowski) wspomina, że jej ojciec długo imał się różnych prac dorywczych, które pozwalały zasilić domowy budżet: pracował na kolei albo w polu u zamożniejszych gospodarzy. Z podwórka, na którym rozmawiam z urodzoną w 1934 r. kobietą, widzimy pole, które jej rodzina dostała z parcelacji majątku Turnauów.

Rodzinie pani Anny się udaje, ale są parcelanci, którzy przez całe życie dzielą swój czas między ziemię a pracę w mieście. Panu Mieczysławowi (ur. 1922) z parcelacji majątku Planta przypada zaledwie jeden hektar: to za mało, aby z ziemi wyżyć, ale za dużo, aby zostawić – mężczyzna uprawia ją więc, ale aż do emerytury pracuje sezonowo w pobliskiej cukrowni. Bywa, że owoce wyrzeczeń ojców zbiera dopiero następne pokolenie. Ojcowie jeżdżą do pracy w kopalni, a w soboty i niedziele pracują na parcelanckich działkach – i dopiero ich dzieci mogą sobie pozwolić na pracę tylko w rolnictwie. Wszyscy ci ludzie na moment lub trwale zasilają liczną w PRL grupę osób, które posiadając ziemię, nie mogą się z niej utrzymać ze względu na nierentowność gospodarstw.

Mimo determinacji nie wszystkim parcelantom udaje się zostać pełnoprawnymi gospodarzami. Podczas gdy część chłopów nadzielonych ziemią pracuje w mieście czasowo – aby zarobić na konia czy budowę domu – innych trudne warunki wypychają ze wsi na stałe. Gdy w 1951 r. Julia Brystygierowa, dyrektorka Departamentu V Ministerstwa Bezpieczeństwa Publicznego, wysyła 30 swoich podwładnych do ich rodzinnych wiosek z poleceniem zbierania informacji o nastrojach, w raportach składanych po powrocie powtarzają się doniesienia o porzucaniu działek przez parcelantów i ich wyjazdach do miasta.

Jeśli nie do fabryki albo huty, wyjechać można też na ziemie poniemieckie. Wyjazdy z centralnej Polski w tym kierunku mają po wojnie charakter masowy: do 1948 r. z Kieleckiego wyjeżdża ponad 280 tys. osób, głównie chłopów [o dramatycznej sytuacji w Świętokrzyskiem, zniszczonym w 1944 r. podczas działań wojennych, pisaliśmy w „TP" nr 20/2021 – red.].

ANNA WYLEGAŁA x2

Ojciec pani Stanisławy kupił konia dopiero na emeryturze. Wcześniej ona sama każdego lata chodziła do sąsiada „na odrobek", by odpracować wypożyczenie konia.

Utrzymanie ziemi często wymagało wielkiego wysiłku. Pani Anna wspomina, że jej ojciec długo imał się prac dorywczych, by zasilić domowy budżet.

Kwestia (także) godności

Własna ziemia jest ciężkim kawałkiem chleba, ale dla tych, którzy na niej zostają, jest też powodem do dumy i radości. Chodzi nie tyle o poprawę warunków materialnych – bo ta następuje dopiero z czasem, a na początku jest gorzej niż w czworakach. Już w źródłach z epoki, powstających w pierwszych latach po podziale ziemi, widać, że dla wielu parcelantów reforma ma głównie wymiar emancypacji klasowej.

W pamiętnikach nadsyłanych na pierwszy powojenny konkurs na wspomnienia, ogłoszony w 1948 r., świeżo upieczeni właściciele ziemi, zarówno ci popierający nowe władze, jak i bardziej powściągliwi, piszą o dumie z bycia gospodarzem i satysfakcji z pracy na swoim. Parcelant z powiatu chrzanowskiego tak pisze o doświadczeniu swoim i innych: „Jest im ciężko (...) a jednak się cieszą, że pracują na swoim gruncie i dla siebie, nie są pod batem dziedzica, i nikt im nie udziela kawałka chleba, tylko się cieszą swoim".

Gdy o ocenę reformy – lepiej było za dziedzica czy potem? – pytam dziś na wsi, od ludzi urodzonych w latach 20., którzy zdążyli popracować „na pańskim", słyszę, że za dziedzica było dobrze, ale potem lepiej. W argumentach, które padają, słychać względy ekonomiczne – że po przetrwaniu najgorszego okresu parcelantom wiodło się przyzwoicie – ale przede wszystkim takie, które można określić jako godnościowe i tożsamościowe.

We wspomnianej już Sprowie moimi pierwszymi rozmówcami są nie osoby starsze, lecz dwaj mężczyźni w średnim wieku, stojący na dawnym podwórzu folwarcznym, a także miejscowy radny – wszyscy z rodzin, które dostały ziemię. Gdy pytam, czy parcelacja wyszła wsi na dobre, radny mówi z wahaniem: „Raczej tak". Drugi poprawia go: „Na pewno, bo przecież jak?! Jak by nie podzielili, no to by dalej służącymi byli. Dalej gnębieni we dworze ludzie. A tak to mieli, każdy na swoim pracował". Trzeci potakuje: „Jaką bidę miał, to miał, ale swoją. To zawsze sobie coś uchował. A tak, no to zawsze pod batem".

Nie wstawał na dzwonek

Pan Władysław z Pławowic, który po wojnie został jako nastolatek z matką-wdową na przydzielonym gospodarstwie, dodaje: „Nie mieli my krzywdy, za hrabiego. Ale lepiej się tak człowiek czuł, jak już jest na swoim. I to zawsze było pod batem. Bo dzwonek zadzwonił, trzeba było się stawić". On utrzymał ziemię, powiększył gospodarstwo i przez wiele lat był sołtysem. Dziś jest nim jego syn.

Makroekonomiczne skutki reformy rolnej są dziś oceniane przez historyków w różny sposób. Jednak pan Władysław nie ma wątpliwości, że 3,5 ha ziemi należącej wcześniej do hrabiego Morstina zmieniły radykalnie życie jego rodziny. Gdy kończymy rozmowę, mówi z satysfakcją: „Widzi pani, teraz to my są prawdziwe gospodarze". © ANNA WYLEGAŁA

Autorka jest socjolożką, pracuje w Instytucie Filozofii i Socjologii PAN. W listopadzie w wydawnictwie Czarne ukaże się jej książka pt. „Był dwór, nie ma dworu. Reforma rolna w Polsce".

ZA PAMIĘCI

HANNA

Krall: *Różewicz*

Zadzwonił Zbyszek: – Różewicz przyjechał. Chcesz przyjść?

Chciałam, naturalnie.

Był zatopiony w lekturze – wrócił z zagranicy i przeglądał zaległe czasopisma.

– Czego się napijesz? – spytał Zbyszek.

Na dźwięk słowa campari uniósł na chwilę głowę znad papierzysk. – Jak pani będzie to piła?

Zwyczajnie, z cytryną.

– Z sokiem czy z samą skórką? – drążył temat.

Umiałam zdawać egzaminy.

Ze skórką, to oczywiste.

Skinął głową, egzamin był zaliczony.

Pojechaliśmy na „Do piachu" – nie wiem, widział już przedstawienie czy miał zobaczyć po raz pierwszy.

Nie znałam sztuki. Nie byłam przygotowana na to, co zobaczyłam. Czego nie zobaczyłam. Na ciemności i kroki w ciemnościach, ciężkie żołnierskie kroki, kroki, kroki, kroki...

Przez las przemaszerował oddział partyzancki – przez gołe pnie drzew, bez koron i bez liści. Na końcu szedł młody żołnierz, chłopiec właściwie. Zatrzymał się, schylił, poprawił but i pobiegł za oddziałem.

Buty – buty – buty – buty – w górę, w dół, w górę, w dół.

Nie masz na wojnie wytchnienia

– przypomniał mi się wiersz, przepisany skądś przez Jurka Wilnera.

Dla Tadeusza Łomnickiego, reżysera, „Do piachu" było wstrząsem. Przypomniała mu się jego własna wojna. Jakaś wrona, którą zastrzelił. Trupy żołnierzy w śniegu i zamarznięta Wisła. Przyjaciel Żyd wchodzący do wagonu pobielonego wapnem i odciski ludzkiego ciała z „Zielnika" Aliny Szapocznikow.

Nie miałam wspomnień ani zjaw, tylko przez kilka dni myślałam o chłopcu, o którym opowiadał mi Jacek Kuroń. Był to chłopiec z wojny bolszewickiej rozstrzelany za dezercję. Kiedy pluton egzekucyjny podnosił broń, zwrócił się do żołnierzy: – Chłopaki, czekajcie no. Jest tam który z Żyrardowa? Bo jakby który był z Żyrardowa, to niech powie, że już nie żyję więcej...

Myślałam o nim i myślałam. Mogło to mieć związek z Walusiem, prowadzonym przez partyzantów na śmierć.

Nie rozmawialiśmy po przedstawieniu. Różewicz poszedł za kulisy, Zbyszek i ja wróciliśmy na Ursynów.

Nie wiedziałam, że Komendant z „Do piachu" to Stanisław Sojczyński, dowódca Różewicza. O Sojczyńskim też nic nie wiedziałam.

A jakbym wiedziała? O co mogłabym spytać?

O las, w którym Sojczyński został po wojnie? O czterokrotny wyrok śmierci?

Powiedz jej, że wiem o nim niejedno, napisał Pawłowi. Dlatego do niego pojechaliśmy.

Czekał w pensjonacie, w pokoju, starannie, po miejsku ubrany – półbuty, krawat, marynarka.

Jutro skończę dziewięćdziesiąt lat, przywitał nas, więc w październiku byliśmy. Po tamtym, pierwszym spotkaniu trzydzieści dwa lata.

Wskazał nam miejsca – mnie w fotelu naprzeciwko, Pawłowi obok. I zawiadomił, że jednak nie, nie będzie mówił. (O tym, który mu kazał postarać się o kajet, odmeldować się i wrócić z wierszami. Miał kajet, odmeldował się, wrócił z „Echami leśnymi", swoim debiutem. Jedynym w literaturze debiutem poetyckim pisanym na rozkaz). To była straszna śmierć. Nie może, nie chce o niej mówić.

Chciał mówić o pożegnaniach.

Z synem, który umarł przed rokiem.

Z młodszym bratem, ojcem Pawła.

Z Tołstojem, z którym rozstawał się z pewnym żalem... Bo z Dostojewskim też się rozstał, ale bez żalu. Chociaż się z nim zaprzyjaźnił.

Przyjaźń z Dostojewskim? Co za pomysły. Tak, też się sobie dziwi. Ale właśnie się już rozstali.

Jeszcze z Nietzschem, z Raskolnikowem i z Kafką...

Po literackich pożegnaniach coś mu się przypomniało.

Najgorsze ze wszystkiego były wszy, powiedział i zamilkł. Chyba sprawdzał, jakie zrobił na nas wrażenie.

Na mnie – żadnego, o wojennych wszach też mam swoją wiedzę. Gotowa byłam nią się podzielić, ale rozpoczął wykład. Że są wszy zwyczajne, na głowie na przykład, i pod

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

TYGODNIK POWSZECHNY

Wolność, równość, siostrzeństwo!

Wydanie specjalne „Moc kobiet" dostępne jako e-book na powszech.net/emockobiet

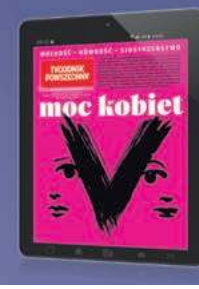

pachami, te najgorsze jeszcze nie są. Ze wszystkich gatunków najgorsze są wszy na jajach i tylko te mieli w lesie.

Musiałam przyznać, że o wszach dysponuje większą wiedzą ode mnie.

No dobrze, o dowódcę nie, ale o Halinę, łączniczkę, mogłam spytać.

Ładna była?

Zastanowił się.

Taka sobie.

Nie taka sobie, tylko piękna. Krawiec Włodarczyk mi opowiadał. Znał ich, w jego altanie mieszkali. Z jego domu wywoziło ich UB. Sojczyński moczył nogi w misce, a Halina stała obok z ręcznikiem w ręku, tak ich zastali ubecy.

Nie wiem, dlaczego zależało mi na urodzie Haliny.

Zośka Nałkowska uważała się za piękność, to może i Halina, wzruszył ramionami.

Poza urodą łączniczki nie zadawałam pytań. Ani o jego dowódcę, ani o jego matkę.

Na przykład – do kogo uciekła, nie zapytałam. Do chłopca? Do pana Jezusa?

Do kogo ucieka się na plebanię z żydowskiego domu, jak się ma piętnaście czy szesnaście lat.

Paweł uważa, że do chłopca.

Ksiądz chciał pewnie pomóc młodym, jak zakonnik, ojciec Laurenty, Romeo i Julii.

Chyba że tak.

Chłopiec miał na imię Władzio.

Był wysoki, wąsaty i elegancki. Pięknie opowiadał, wróżył z ręki i patrzył w oczy.

Żydzi próbowali ją odbić z plebanii, dwukrotnie nawet, ale nie dali rady.

Znam te romantyczne historie żydowskich dziewcząt i polskich chłopców.

Estera, najładniejsza z sióstr, porwana przez Janka, najprzystojniejszego z robotników ojca czy dziadka. Chrzest i ślub na Jasnej Górze. Cadyk, który mówi: – Nie macie córki. Usiądźcie i płaczcie jak po umarłej.

Czy dziadek Gelbard poszedł do cadyka?

Czy płakał jak po umarłej?

Nie wiemy. I już nie dowiemy się.

Poeta nie mówił o tym w książce pod tytułem „Matka odchodzi”. ©

Zbyszek to Zbigniew Kubikowski, pisarz i krytyk, redaktor wrocławskiej „Odry”. Wyrzucono go za publikację dwóch książek – za „Rozmowy z katem” Kazimierza Moczarskiego i moje „Zdążyć przed Panem Bogiem”.

O wizycie u Tadeusza Różewicza, o Stanisławie Sojczyńskim, Halinie i krawcu Włodarczyku pisałam w „Białej Marii”. O Pawle Różewiczu, którego okładki są na moich książkach w polskich i francuskich wydaniach – jak zawsze z wdzięcznością.

weź, czytaj!

w prenumeracie:

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY

ZASADY ZAKUPU PRENUMERATY „TYGODNIKA POWSZECHNEGO”

Prenumeratę krajową można zamówić przez:

- internet na powszech.net/prenumeruj
- dokonanie wpłaty na konto lub opłacenie przekazem pocztowym: „Tygodnik Powszechny” ul. Dworska 1C / LU 3-4, 30-314 Kraków Bank Pekao SA nr 49 1240 4533 1111 0000 5431 1987

Prenumeratę zagraniczną można opłacić przez stronę TygodnikPowszechny.pl/wykup-prenumerate, na której podane są ceny.

Szczegółowych informacji udziela Agnieszka Grzywa w godz. 11.00–15.00 pod nr. tel. 668 479 075 lub adresem e-mail: prenumerata@TygodnikPowszechny.pl

Prenumeratę elektroniczną można zamówić przez internet na powszech.net/ewydania Pomocy przy problemach technicznych udziela Mateusz Gawron pod nr. tel. 668 475 263 (w godz. 10.00-14.00) lub pod adresem kontakt@TygodnikPowszechny.pl

CENNIK PRENUMERATY KRAJOWEJ

PRENUMERATA	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna (52 numery)	420 zł	540 zł
Półroczna (26 numerów)	240 zł	300 zł
Kwartalna (13 numerów)	130 zł	160 zł
Pokolenia*	365 zł	
Karta Dużej Rodziny**	365 zł	

„TYGODNIK POWSZECHNY. WYDANIE SPECJALNE” W PRENUMERACIE WRAZ Z „TYGODNIKIEM”

	EKONOMICZNA	PRIORYTET
Roczna + 4 wydania specjalne	490 zł	610 zł
Pokolenia* + 4 wydania specjalne	430 zł	
Karta Dużej Rodziny** + 4 wydania specjalne	430 zł	
4 wydania specjalne	**75 zł**	

* z oferty POKOLENIA mogą skorzystać osoby poniżej 25. i powyżej 65. roku życia

** z oferty KARTA DUŻEJ RODZINY mogą skorzystać jej posiadacze na warunkach opisanych w regulaminie

Regulamin zakupu prenumeraty – na powszech.net/regulamin

PARTNER MARKETINGOWY

TYGODNIK POWSZECHNY

SALESmanago marketing automation

Z Kresów ocalone

DR MARCIN GAPSKI, KOORDYNATOR ZESPOŁU DS. MUZEUM ZIEM WSCHODNICH DAWNEJ RZECZYPOSPOLITEJ:

Na wystawie znajdą się zdjęcia, dokumenty, a także pamiątki, jak krzyż ocalony z domu rodzinnego na Wołyniu czy szachy wykonane z chleba w więzieniu w Samborze – ich twórcę zamordowali Sowieci.

WOJCIECH WOJTASIEWICZ: Dlaczego w nazwie muzeum nie ma określenia „Kresy Wschodnie"?

MARCIN GAPSKI: Tworzące się po roku 1989 organizacje środowisk kresowych miały nadzieję, że powstanie muzeum mówiące o ziemiach wschodnich dawnej RP. Przez wiele lat brakowało jednomyślności w sprawie jego koncepcji i lokalizacji.

W 2017 r. Ministerstwo Kultury i Dziedzictwa Narodowego podjęło decyzję, aby powierzyć misję utworzenia takiej placówki Muzeum Lubelskiemu – obecnie to Muzeum Narodowe w Lublinie. Miasto, w którym zawarto Unię Lubelską, było idealnym miejscem. Pierwszym krokiem do realizacji tego pomysłu było nabycie w grudniu 2017 r. przez Muzeum Lubelskie Pałacu Lubomirskich.

Rozpatrywano kilka wariantów nazwy. W gronie kuratorów i osób zaangażowanych w powstanie placówki podjęto decyzję, że będzie nosiła nazwę Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej. Tę propozycję uważamy za najtrafniej oddającą nasze działania

Dlaczego właśnie Pałac Lubomirskich będzie siedzibą muzeum?

To wyjątkowe miejsce, z bardzo bogatą historią. Pałac jest położony w centrum Lublina, przy placu Litewskim. Ta lokalizacja podkreśla prestiż i rangę muzeum.

Jaka misja przyświeca placówce?

Przede wszystkim stawiamy sobie za cel przywrócenie i zachowanie pamięci o miejscach, ludziach i wydarzeniach związanych z ziemiami wschodnimi Rzeczypospolitej, określanymi często mianem Kresów. Istotne jest dla nas gromadzenie przedmiotów i tworzenie kolekcji muzealnych. Nasze muzeum jest pierwszą instytucją, której główną misją jest gromadzenie, zachowywanie i prezentowanie dziedzictwa kultury materialnej i duchowej prezentowanego obszaru. Pragniemy również prowadzić badania naukowe, upowszechniać wiedzę na temat ogromnego dziedzictwa, szczególnie na terenie, który dzisiaj leży poza naszymi granicami.

Chcielibyśmy, aby obraz Kresów był pozytywny, nie odwoływał się tylko do sentymentów, ale opierał na wiedzy historycznej. Ponadto chcielibyśmy zachęcić naszych odbiorców do osobistego poznania terenów wschodnich. Być może pobyt w naszym muzeum i zapoznanie się z obecnie przygotowywaną wystawą stanie się zachętą do wyjazdu na wschód i osobistego doświadczenia dziedzictwa kulturalnego m.in. Ukrainy, Białorusi czy Litwy.

Wcześniej w ramach zbiórki „Z Kresów ocalone" zwróciliście się do ludzi mieszkających w przeszłości na Kresach Wschodnich z prośbą o przekazywanie przedmiotów związanych z ich życiem. Chcieliście nagrywać ich wspomnienia. Na jakim etapie realizacji są te działania?

Z przekazywanymi nam przedmiotami, a otrzymaliśmy ich ponad tysiąc, łączą się silne emocje. Dzięki nim możemy poznać dramatyczne ludzkie losy. Ponadto przygotowaliśmy dwadzieścia dwa nagrania historii mówionej. Przedmioty i opowieści będziemy prezentować na wystawie stałej. Jeden z jej bloków poświęcimy historii mówionej i zgromadzonym w trakcie zbiórki pamiątkom.

Co to są za przedmioty?

Zdjęcia, dokumenty, legitymacje, dowody osobiste. Otrzymaliśmy również krzyż będący jedyną pamiątką z domu rodzinnego osoby uciekającej z Wołynia. Stał się rodzinną relikwią. Podarowano nam również szachy wykonane z chleba w więzieniu w Samborze. Ich twórca został zamordowany przez Sowietów.

Jaki charakter będzie miało przyszłe muzeum? Czy będzie korzystać z najnowszych trendów w muzealnictwie polegających na interaktywności?

Wystawa będzie miała charakter narracyjny. Opowiemy o tysiącu lat naszej historii na ogromnym terytorium ziem wschodnich. Rozpoczniemy od X wieku, czyli od pierwszych kontaktów Polski z obszarem Rusi i Litwy. Aby dokonać właściwej selekcji, posłużymy się motywem podróży. Odwiedzający zostaną zaproszeni do wyprawy w czasie i przestrzeni, gdzie poznają całość historii ziem wschodnich od wczesnego średniowiecza do dziś.

Czy tworząc koncepcję muzeum, wzorowali się Państwo na innych placówkach, polskich lub światowych?

Jesteśmy zorientowani w polskich i światowych trendach dotyczących przygotowywania wystaw. Tworząc Muzeum Ziem Wschodnich współpracujemy z jedną z najbardziej utytułowanych światowych firm wystawienniczych – RAA (Ralph Appelbaum Associates) z siedzibą w Nowym Jorku. Współpracujemy z osobami znakomicie orientującymi się w światowych trendach. Jednak warto zaznaczyć, że nasz pomysł jest dość nowatorski. Opracowaną przez nas koncepcję staraliśmy się połączyć z najnowszymi tendencjami w muzealnictwie. Uwzględniliśmy również najnowsze badania naukowe. Pierwszy projekt muzeum przygotowali prof. Andrzej Betlej oraz prof. Łukasz Gaweł.

Wystawa ma się koncentrować wokół sześciu wątków – korzenie; tożsamość i jedność; bogactwo i różnorodność; tolerancja; atrakcyjność; oraz pamiętanie, przemijanie i trwanie. Co się będzie kryło za tymi hasłami?

MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE

Przedmioty, które złożą się na ekspozycję Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej

Te hasła od początku przyświecały naszej pracy. Są to klucze, dzięki którym mogliśmy uporządkować podstawowe zagadnienia, które chcemy pokazać w muzeum. W sumie wytypowaliśmy około dwudziestu wątków: od zagadnień związanych z wczesnym średniowieczem, poprzez czasy Jagiellonów, Unię Lubelską, monografie miast – Wilna i Lwowa, aż po czasy nam współczesne.

Czy Państwa celem jest pokazanie tylko polskiej perspektywy historii tych ziem, czy też uwzględnicie punkty widzenia innych krajów?

Muzeum jest przede wszystkim tworzone przez Polaków, a jego siedziba znajduje się w Lublinie. Jednak nie oznacza to, że prezentowana będzie jedynie historia Polaków i polski punkt widzenia. Uwzględnimy również inne nacje i mniejszości narodowe.

Przygotowaliśmy długą listę narodów zamieszkujących dawną Rzeczpospolitą i staraliśmy się o nikim nie zapomnieć. Pracujemy nad ekspozycją tak, aby była atrakcyjna nie tylko dla polskiego odbiorcy, lecz również dla widza z Ukrainy, Białorusi, Litwy, a także z Europy Zachodniej. Współpracujemy z muzealnikami ze wspomnianych wcześniej krajów, m.in. z Pałacu Wielkich Książąt z Wilna czy z placówkami ukraińskimi. Nasze wspólne doświadczenia, w tym organizowanie konferencji naukowych, pomagają spojrzeć na zagadnienia szerzej.

Jacy specjaliści pracują nad powstaniem muzeum?

Historycy, historycy sztuki, archeolodzy, etnografowie, literaturoznawcy, muzykolodzy, numizmatycy, bronioznawcy, geografowie, geolodzy czy meteorolodzy. Chcemy w sposób wieloaspektowy zaprezentować dzieje ziem wschodnich. Muzeum będzie miało charakter interdyscyplinarny. Nie chcemy pominąć żadnych kwestii, chociażby przyrodniczych, które są niezmiernie ważne.

Na jakim etapie jesteście? Kiedy można się spodziewać otwarcia muzeum?

Aktualnie opracowywany jest projekt budowlany oraz koncepcja wystawy stałej. Mam nadzieję, że na początku przyszłego roku będziemy dysponować pozwoleniem na przebudowę Pałacu Lubomirskich, co da nam możliwość ogłoszenia przetargu na jego adaptację w drugiej połowie przyszłego roku. Mam nadzieję, że w roku 2025 pojawią się w Pałacu Lubomirskich pierwsi goście. Warto jednak podkreślić, że muzeum już obecnie organizuje spotkania i konferencje naukowe, a jego przedstawicieli można spotkać w różnych miejscach w Polsce, w ramach wspomnianej zbiórki „Z Kresów ocalone". W dniach 18-19 września będziemy gościć w Ossolineum we Wrocławiu, a w przyszłym roku w kolejnych miastach. W przyszłym roku zostanie też uruchomiony portal internetowy.

© Rozmawiał WOJCIECH WOJTASIEWICZ

Muzeum Ziem Wschodnich Dawnej Rzeczypospolitej – Oddział Muzeum Narodowego w Lublinie prowadzi akcję „Z Kresów ocalone: zbiórka pamiątek i opowieści kresowych". W ramach akcji zbieramy zarówno wspomnienia, rejestrując je w formie historii mówionej, jak i obiekty – pamiątki, które są przechowywane w rodzinach Kresowian. Niekiedy nie zdajemy sobie sprawy, jak wiele mogą opowiedzieć zwykłe przedmioty: zdjęcia, dokumenty, elementy stroju czy wyposażenia mieszkań; nawet drobne, niepozorne rzeczy mogą skrywać ważne historie – osobiste lub odnoszące się do życia publicznego. Każdy człowiek, każdy życiorys jest ciekawy, wyjątkowy i wart zapamiętania. Te jednostkowe historie składają się na niepowtarzalną mozaikę życia ze wszystkimi jego trudnymi, często tragicznymi, ale i radosnymi aspektami. Muzeum Narodowe w Lublinie zwraca się z apelem o podzielenie się wspomnieniami i pamiątkami z życia na Kresach. Zapewniamy, że wszystkie darowane przedmioty zostaną otoczone odpowiednią opieką, będą przechowywane w warunkach, które pozwolą uchronić je przed zniszczeniem. Natomiast zebrane w formie historii mówionej opowieści dadzą niepowtarzalną okazję ocalenia autentycznych, indywidualnych wspomnień. Zebrane w ramach akcji pamiątki i wspomnienia będą prezentowane na wystawach czasowych oraz w publikacjach książkowych.

Razem – i tylko dzięki dobrej woli Darczyńców – możemy zachować pamięć o Kresach.

Więcej informacji:
www.ocalone.mnwl.pl
Kontakt: tel. +48 726 022 100,
e-mail: zbiorka@mnwl.pl

MUZEUM NARODOWE W LUBLINIE

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA KULTURY, DZIEDZICTWA NARODOWEGO I SPORTU.

MATERIAŁ PROMOCYJNY

JAK POBUDZIĆ NEURONY

Mózgi niemowląt swoim działaniem przypominają zachowanie naukowców – przekonuje wpływowy francuski neurobiolog Stanislas Dehaene. Temu zawdzięczamy nasz edukacyjny sukces.

ŁUKASZ KWIATEK

Ludzkie noworodki nie wydają się szczególnie mądre. Możesz zadawać im przez cały dzień najprostsze pytania – np. „jakiego koloru jest pomarańcza?", „jak ma na imię Zosia?" – i mieć całkowitą pewność, że na żadne nie odpowiedzą.

Jeszcze kilkadziesiąt lat temu wielu naukowców broniłoby tezy, iż dzieci rodzą się pozbawione jakiejkolwiek wiedzy; że ich umysły przypominają „niezapisaną kartę", która wypełnia się treścią dopiero pod wpływem doświadczenia zmysłowego – obserwowania świata, poruszania się w nim i działania. Dziś jesteśmy mądrzejsi – wiemy np., że nawet noworodki dysponują pewną intuicją ilości i liczebności albo że rozumieją, iż zwierzęta zachowują się inaczej od nieożywionych przedmiotów (bo tylko te pierwsze realizują swoje cele), choć jedne i drugie zasadniczo podlegają podstawowym prawom fizyki. Np. nie rozpływają się nagle w powietrzu, a jeśli wpadną na inny obiekt, to się od niego odbiją, a nie przenikną jak duch.

Psycholożka Elizabeth Spelke nazwała te wrodzone dla ludzi fizyczne, matematyczne czy społeczne intuicje „wiedzą rdzenną". I choć dzięki pracy takich uczonych jak Spelke możemy być pewni, iż noworodki nie zaczynają swojej edukacji zupełnie od zera, to nie da się ukryć, że muszą one pokonać bardzo długą drogę, zanim będą biegle posługiwać się językiem, rozwiązywać równania matematyczne, nie mówiąc już o kierowaniu samochodem czy prowadzeniu badań naukowych.

Jak to się właściwie dzieje? Co decyduje o tym, że w ciągu życia nasza wiedza i umiejętności tak bardzo się rozwijają? Na te pytania próbuje odpowiedzieć w książce „Jak się uczymy?" (wydanie polskie Copernicus Center Press 2021) wpływowy francuski neurobiolog Stanislas Dehaene.

SIMONE CASETTA / ANZENBERGER / FORUM

Wiedza między synapsami

Ludzie nie są oczywiście jedynym gatunkiem, który potrafi się uczyć. Taką zdolność można przypisać nawet bakteriom. W 2008 r. zespół Iliasa Tagkopoulosa odkrył, że gdy kolonię bakterii *E. coli* przyzwyczai się do tego, iż wyższej temperaturze otoczenia towarzyszy brak tlenu, to w przyszłości po podgrzaniu środowiska mikroby dostroją swój metabolizm tak, by brak tlenu jak najmniej im przeszkadzał. Mechanizm ten przypomina uczenie się skojarzeniowe, które u psów na przełomie XIX i XX w. zademonstrował Iwan Pawłow.

U zwierząt, z których ogromna większość dysponuje układem nerwowym (jednym z nielicznych wyjątków są gąbki), każda forma uczenia się związana jest ze zmianami wzorców połączeń neuronalnych. Niezależnie od tego, czy mówimy o maleńkim nicieniu *C. elegans*, posiadającym 302 neurony rozproszone po całym ciele, który potrafi zapamiętywać warunki środowiska, w jakich pojawiają się jego ulubione bakterie, a następnie kierować się tą wiedzą w poszukiwaniach pożywienia – czy o człowieku z jego liczącym 86 miliardów komórek nerwowych mózgiem, odpowiedzialnym za powstanie komputerów, literatury i piłki nożnej.

Każda komórka nerwowa łączy się z wieloma innymi, tworząc skomplikowane sieci. Komunikacja między dwoma neuronami zachodzi przez elektrochemiczne złącza nazywane synapsami. Struktura sieci neuronów nie jest ustanowiona raz na zawsze, ale zmienia się pod wpływem doświadczenia. Za każdym razem, gdy osobnik dowiaduje się czegoś nowego i ważnego, jego komórki nerwowe tworzą dodatkowe połączenia. Nawet teraz, jeśli z zainteresowaniem czytasz ten tekst, jakieś neurony w twoim mózgu próbują powiększyć swoje sieci kontaktów, dobudowując kolejne synapsy lub zmieniając ich różne parametry. Nie wszystkie powstałe w ten sposób połączenia są zachowywane – nieużywane synapsy zanikają; te zaś, przez które sygnał przesyłany jest z komórki do komórki bardzo często, rozrastają się lub duplikują, dzięki czemu w przyszłości komunikacja połączonych neuronów będzie jeszcze sprawniejsza. To zresztą dlatego powtarzanie informacji ułatwia ich zapamiętywanie.

Cała nasza wiedza o świecie zakodowana jest więc w sieciach połączeń nerwowych, jednak nie jest do końca tak, że im gęstsza ta sieć, tym szersze nasze intelektualne horyzonty. Mózgi noworodków mają o ok. 15 proc. więcej neuronów niż mózgi dorosłych. W pierwszych latach życia powstaje także mnóstwo połączeń synaptycznych – przeciętny neuron trzylatka łączy się aż z 15 tys. innych komórek; u dorosłych ta liczba spada o połowę.

To wszystko niekoniecznie świadczy o tym, że szczyt rozwoju intelektualnego osiągamy w wieku trzech lat – ale dobrze obrazuje, jak wiele dzieje się w mózgu dziecka i przed jakimi wyzwaniami ono staje.

Mów do mnie po polsku

Wszyscy ludzie żyją w podobnym środowisku, mają te same potrzeby i stykają się z tymi samymi zagrożeniami. Nie powinno więc dziwić, że ewolucja stworzyła dla nas wspólne systemy kategoryzacji. Każdy zdrowy noworodek spotyka się m.in. z kształtami, kolorami, dźwiękami, różnymi wielkościami oraz rzeczami żywymi i nieożywionymi – dlatego w toku ewolucji ukształtowały się wrodzone, wyspecjalizowane systemy przetwarzania informacji o tych jakościach. Np. zhierarchizowana kora wzrokowa w płacie potylicznym. Do zlokalizowanych tam komórek docierają informacje zbierane przez receptory na siatkówce oka, a poszczególne populacje neuronów wzrokowych zajmują się analizą kolejnych elementów obrazu – krawędziami, kształtami, kolorami, ruchem itd. Aby obrazy zyskały znaczenie – byśmy w tej rozmaitości barw, kształtów i głębi dostrzegli konkretny przedmiot – sygnały z kory wzrokowej muszą powędrować do innych części mózgu, często bardzo odległych.

Informacje o kolorach postrzeganych w konkretnych punktach pola wzrokowego nie trafiają, przykładowo, bezpośrednio z oka do ośrodka Broki w lewym płacie czołowym – bo wędrują zupełnie innym szlakiem. Pole Broki od narodzin połączone jest za to z neuronami słuchowymi w płatach skroniowych, dlatego ten specyficzny obszar mózgu może zająć się analizą rejestrowanych przez noworodka dźwięków.

Każdy język ludzki jest silnie ustrukturyzowany – poszczególne dźwięki (fonemy) składają się na słowa, te budują frazy i zdania, zgodnie z określoną gramatyką, czyli zbiorem reguł nadających wypowiedziom językowym pewną regularność. Pole Broki zaś, ze względu na swoją organizację, specjalizuje się w analizowaniu statystycznych prawidłowości i potrafi reprezentować informacje w formie drzew syntaktycznych. Dlatego świetnie nadaje się do przetwarzania języka (przypomnijcie sobie rozbiór składniowy zdania z lekcji języka polskiego). Praca tego ośrodka zaczyna się już w okresie płodowym, gdy mózg wychwytuje pierwsze językowe regularności i „przyzwyczaja się" do docierających do niego dźwięków. W konsekwencji noworodki wolą słuchać wypowiedzi w tym języku, którym posługuje się ich matka, niż jakiejkolwiek obcej mowy. Choć oczywiście minie wiele miesięcy, zanim mózg niemowlęcia wystarczająco dojrzeje i dostroi swoje połączenia – a dziecko w końcu zacznie rozumieć, co się do niego mówi, i samodzielnie formułować sensowne wypowiedzi.

Wrodzona architektura

Różne części mózgu przetwarzają więc informacje na swój własny sposób – i mają dostęp tylko do określonych sygnałów, które trafiają do nich dzięki specyficznym sieciom połączeń między poszczególnymi neuronami i ich całymi populacjami. Przenieśmy się na chwilę na grunt matematyki. W naszych płatach ciemieniowych występuje obwód przetwarzający informacje, które można reprezentować liniowo, np. rozmaite wielkości (mało – więcej – dużo). I to właśnie ta część mózgu potrafi się wyspecjalizować w przetwarzaniu liczb. Pewne intuicje liczbowe, jak już wiemy, mamy wrodzone – jeśli np. na oczach dziecka umieścimy jedną maskotkę za zasłoną, ale po jej odsłonięciu okaże się, że są tam dwie identyczne maskotki, to dziecko będzie zaskoczone (podobnie jak wtedy, gdy umieścimy za zasłoną dwie maskotki, a potem po kryjomu jedną zabierzemy). Wyniki takich eksperymentów świadczą o tym, że noworodki nie spodziewają się żadnego cudownego rozmnożenia zabawek – oraz że potrafią rozróżniać liczebność, choć dotyczy to małych zbiorów, gdy różnice w liczbie elementów są bardzo wyraźne.

Gdy dziecko zacznie się już uczyć liczyć, ten sam obszar mózgu w płatach ciemieniowych będzie się coraz bardziej specjalizować w przetwarzaniu liczb jako ↦

↦ takich. Stworzy m.in. mentalny obraz osi liczbowej, rozciągającej się zazwyczaj zgodnie z kierunkiem czytania – w naszej kulturze od lewej strony (małe wielkości) do prawej (duże wielkości). Większość z nas intuicyjnie tak myśli o liczbach – wykresy, które poznajemy w szkole, świetnie współgrają ze sposobem, w jaki nasz mózg przetwarza informacje o wielkościach. Jedną z konsekwencji takiego reprezentowania liczb jest obserwowany w eksperymentach „efekt dystansu". Jeśli wyświetlimy komuś parę liczb 7 i 8, a potem wydamy mu banalne polecenie: rozstrzygnij, która z nich jest większa – to zadanie wykona on wolniej, niż gdybyśmy wyświetlili mu liczby 2 i 9. Ta druga para zawiera liczby bardziej oddalone od siebie na mentalnej osi, a w mózgu reprezentowane przez silniej różniące się od siebie sieci neuronów.

Jak przekonuje Dehaene, w najbardziej ogólnym ujęciu uczenie się – języka, liczenia, czytania itd. – polega więc na przekształcaniu wrodzonej organizacji mózgu i wykorzystywaniu różnych obwodów neuronalnych do nowych zadań, ale jednak takich, których struktura w jakimś stopniu przypomina podstawowe funkcje tych obwodów.

U matematyków, którzy stracili wzrok w dzieciństwie, zaobserwowano **„recykling neuronów"** – ich kora wzrokowa angażuje się w refleksje nad abstrakcyjnymi problemami.

Migracja obwodów

Co jednak w przypadku, gdy nie wszystkie zmysły działają poprawnie – np. gdy kora wzrokowa odcięta jest od informacji wzrokowych? Zdaniem Dehaene'a ujawnia się wtedy zjawisko „recyklingu neuronów". Kora wzrokowa w obliczu braku bodźców wizualnych nie będzie całkowicie bezczynna, tylko zacznie się angażować w inne funkcje. Nie mogą być one zupełnie dowolne – plastyczność mózgu ma swoje granice, zwłaszcza u dorosłych. Pierwsze lata życia to dla nauki różnych naszych umiejętności „okres wrażliwy" – tylko wówczas możliwe jest w pełni np. przyswojenie języka ojczystego. Okresy wrażliwe występują, ponieważ z wiekiem neurony dojrzewają, dzięki czemu szybciej przesyłają sygnały, ale równocześnie z większym trudem tworzą nowe połączenia. Jeśli więc u osoby dorosłej w wyniku udaru zniszczony zostanie obwód rozpoznawania twarzy, to żadna zdrowa część mózgu nie przejmie jego funkcji, a pacjent prawdopodobnie już nigdy nie zidentyfikuje swoich bliskich tylko na podstawie widoku ich twarzy (będzie miał nawet problem, by rozpoznać, że „coś" jest twarzą).

Czasami „recykling neuronów" może jednak obejmować radykalną zmianę funkcji. Zaobserwowano np., że u zawodowych matematyków, którzy stracili wzrok w dzieciństwie, kora wzrokowa angażuje się w refleksje nad trudnymi problemami matematycznymi. U osób niewidomych od urodzenia „neurony wzrokowe" mogą wspomagać przetwarzanie dźwięków, reprezentowanie dotyku, a nawet rozumienie języka. Zdaniem Dehaene'a dzieje się tak nie dlatego, że bezczynne neurony wzrokowe zaczynają masowo tworzyć nowe połączenia po całym mózgu, byle tylko miały się czym zająć. Odpowiednie szlaki neuronalne już prawdopodobnie istnieją, ale w mózgu osób widzących kora wzrokowa jest tak bardzo zaangażowana w przetwarzanie obrazu, że już nie ma czasu na żadne poboczne aktywności.

Do interesującego zjawiska dochodzi w czasie nauki czytania. To umiejętność, która wykorzystuje obszary mózgu pierwotnie zaangażowane w nazywanie widzianych przedmiotów – łączy więc regiony wzrokowe i językowe. Poznając kolejne litery i ucząc się czytać, szkolimy nasze mózgi m.in. w identyfikowaniu małych kształtów, ale specjalizujące się w tym zadaniu obwody nie mogą już pełnić swoich podstawowych funkcji. Dlatego w trakcie nauki czytania, która to umiejętność u większości osób „osiedla się" w lewej półkuli mózgu, dochodzi do częściowej zmiany lokalizacji obwodów rozpoznawania twarzy, dotąd znajdujących się w tej samej okolicy. Za rozpoznawanie twarzy w większym stopniu zaczynają wówczas odpowiadać analogiczne struktury neuronalne w prawej półkuli. Stopień tej „migracji" systemu rozpoznawania twarzy jest proporcjonalny do po-

Sprawne przygotowanie sieci do połowu wymaga długiej praktyki. Kochi, Indie, maj 2017 r.

SIVARAM V / REUTERS / FORUM

stępów dziecka w nauce czytania. Także rozwijanie umiejętności matematycznych powoduje zmiany w systemie rozpoznawania twarzy – jego „zasięg" radykalnie spada, gdy mózgowe obwody zasiedlają coraz bardziej abstrakcyjne idee matematyczne. Czy to dlatego – pyta pół żartem, pół serio Dehaene – najwybitniejsi matematycy zdają się nie widzieć świata poza swoimi równaniami?

Mali naukowcy

W ostatnich dekadach wiele prac psychologów, m.in. Daniela Kahnemanna, pokazało, że ludzie w niezbyt poprawny matematycznie sposób operują ideą prawdopodobieństwa. Np. boimy się latać samolotem, choć to statystycznie bezpieczniejszy środek transportu niż samochód. Nasze głowy pełne są jednak obrazów rzadkich katastrof lotniczych, więc trudno je przekonać abstrakcyjnym matematycznym argumentem.

U małych dzieci, co ciekawe, podstawowe intuicje prawdopodobieństwa ujawniają się bardzo szybko w rozwoju. Jeśli na oczach niemowlęcia zaczniesz wyciągać z pudełka jedną czerwoną kulkę za drugą, a potem pokażesz mu, że w pudełku jest bardzo mało kulek czerwonych, ale mnóstwo niebieskich, to dziecko zareaguje zaskoczeniem. A potem szybko uzna, że z jakiegoś powodu zależy ci na czerwonych kulkach. Reakcja zaskoczenia będzie się powtarzać, jeśli kulki rzadszego koloru będą częściej wypadać z pudełka przypadkowo.

Zachowanie dzieci w takich eksperymentach (a także opisanych wcześniej przykładach z maskotkami) sugeruje, iż mózg dziecka niczym naukowiec formułuje pewne hipotezy dotyczące tego, jak powinien zachowywać się człowiek czy jak powinien działać świat – a następnie konfrontują te hipotezy z rzeczywistością. Taki pogląd wpisuje się zresztą w popularną w neuronauce koncepcję, zgodnie z którą cały mózg nieustannie dokonuje tego rodzaju przewidywań i symulacji. Kolejne obwody neuronalne, analizując docierające do nich informacje o świecie, budują pewien statystyczny model rzeczywistości, który pozwala przewidywać konsekwencje różnych działań czy zdarzeń. Hipotezy te są następnie testowane w obserwacjach, a wyniki takich „eksperymentów" wpływają na aktualizację całego wewnętrznego modelu. W pierwszych miesiącach życia model

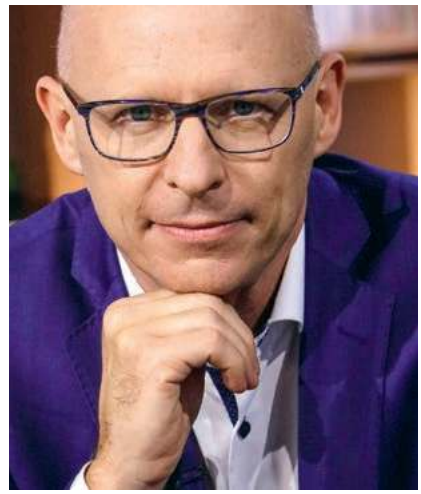

ERIC FOUGERE / CORBIS / GETTY IMAGES

Stanislas Dehaene, jeden z najbardziej wpływowych badaczy mózgu. Po ukończeniu studiów matematycznych zajął się psychologią i neuronauką.

rzeczywistości nie jest zbyt poprawny, ale kolejne zdziwienia, które zalicza dziecko, pozwalają go lepiej dostrajać. Z tej perspektywy uczenie się sprawia, że wewnętrzny model świata dziecka coraz lepiej naśladuje rzeczywistość – a tendencja mózgu do ciągłego stawiania hipotez i ich odrzucania jest dla całego procesu nauki czymś podstawowym. Co ciekawe, zdaniem Dehaene'a ten system działa nieustannie, także podczas snu – kiedy to mózg porządkuje rozmaite informacje zebrane na jawie i konfrontuje z sobą nawet najbardziej dziwaczne hipotezy. Dla nauki sen bez wątpienia ma znaczenie kluczowe – to wtedy najsilniej dochodzi do reorganizacji połączeń nerwowych i utrwalania śladów pamięciowych w synapsach. Dlatego niemowlęta muszą tak dużo spać – i dlatego lepiej się porządnie wyspać przed egzaminem, a nie zakuwać przez całą noc.

Oceny tylko szkodzą

To oczywiście nie wszystkie wątki, które Dehaene porusza w swojej książce. Wiele uwagi poświęca temu, jak system edukacji wpływa na rozwój mózgu dzieci i jakie szkolne błędy popełniają władze, nauczyciele, rodzice i sami uczniowie. Proponuje również pewne rozwiązania, indywidualne i systemowe, ukierunkowane na rozbudzanie uwagi u uczniów i wywoływanie ich zaangażowania (jedno i drugie wpływa na to, jak głęboko przetwarzamy informacje – tzn. w oparciu o które struktury mózgowe – a od głębokości przetwarzania zależy to, czy te informacje zapamiętamy). Podkreśla, jak ważne dla utrwalania wiadomości są regularne powtórki i robienie testów – wyniki eksperymentów sugerują, że można dzięki nim wielokrotnie przedłużyć okres magazynowania informacji w pamięci.

Nie są to może pomysły na tyle oryginalne, by nie wpadł na nie doświadczony nauczyciel, ale zaletą książki Dehaene'a jest to, że skrupulatnie tłumaczy ona, jakie badania naukowe za tymi ideami przemawiają. Najbardziej radykalnie brzmi postulat odejścia od stosowania stopni, które, zdaniem Dehaene'a, nie dają właściwie żadnych korzyści w procesie zdobywania wiedzy i umiejętności. Wprawdzie niezbędnym elementem uczenia się jest dokładne wskazywanie błędów (pozwalają one dostrajać wewnętrzne modele rzeczywistości), ale oceny same w sobie nie mają zbyt wielkiej wartości informacyjnej. Najczęściej to po prostu kary lub nagrody.

Dehaene jest być może jedynym człowiekiem na świecie, który ma wystarczający autorytet, by formułować propozycje godzące w fundamenty systemu oświaty. Wiele badań i odkryć, o których opowiada w książce, dotyczących np. przetwarzania liczb czy nauki czytania, to zasługa jego zespołu badawczego. On sam od wielu lat jest też jednym z liderów Human Brain Project, największego projektu badawczego w neuronauce, a od kilku przewodniczy radzie naukowej przy francuskim ministerstwie oświaty.

Zdaje się więc mieć całkiem poważne plany, by zreformować system edukacji w oparciu o zdobytą w ostatnich dekadach wiedzę. Dlatego warto obserwować działania Dehaene'a i ich konsekwencje, a jego książkę – przeczytać. Nawet jeśli nie pracujecie w szkole albo ministerstwie edukacji i dobrze wspominacie szkolne oceny, to przynajmniej możecie mieć pewność, że podczas lektury wasze neurony zabiorą się z pełną parą za tworzenie nowych połączeń. ©℗ ŁUKASZ KWIATEK

Stanislas Dehaene, **JAK SIĘ UCZYMY? DLACZEGO MÓZGI UCZĄ SIĘ LEPIEJ NIŻ KOMPUTERY... JAK DOTĄD** *Przełożył Dariusz Rossowski, Copernicus Center Press, Kraków 2021*

KULTURA

WIĘC IDZIEM ŻYĆ

Pytanie o polską tradycję romantyczną powinno być stawiane właśnie dziś, wobec pedagogiki i propagandy mającej przygotować kolejne pokolenia naszych dzieci do spektakularnego samobójstwa patriotycznego.

DARIUSZ KOSIŃSKI

Najnowsza książka Stefana Chwina „Oddać życie za Polskę. Samobójstwo altruistyczne w kulturze polskiej XIX wieku" pokazuje wyraziście, jakie problemy ma wybitny intelektualista reprezentujący postawę racjonalistyczno-liberalną z kulturą, którą większość Polaków uważa za narodową. A także jak nieskuteczne są strategie stosowane przez środowisko, z którego się wywodzi, wobec tego, co uważa za śmiertelnie groźne, a co budzi jego ledwo skrywaną – a nie wątpię, że szczerą – niechęć.

W niechęci, potęgowanej przez bezradność wobec utrzymującej się realnej władzy wampirycznego patriotyzmu, Chwin nie jest odosobniony. Jego książka to nie samotny, wyjątkowy głos, ale reprezentatywny przykład postawy, która wydaje mi się szeroko rozpowszechniona (oczywiście w wielu odcieniach) wśród polskiej inteligencji liberalno-demokratycznej i lewicowej. To właśnie o tej postawie jako o „dystansie wobec własnego narodu", jeśli nie wręcz „ojkofobii" z radosną satysfakcją mówią od lat PiS-owscy przywódcy i propagandziści (także ci uważający się za intelektualistów). Obawiam się, że „Oddać życie za Polskę" da wielu z nich nowe paliwo i niestety ułatwi uniknięcie istotnej dyskusji.

Pedagogika wampiryczna

Zgodnie z podtytułem, tematem książki jest „samobójstwo altruistyczne". Pod tą (mocno problematyczną) kategorią, wziętą od klasyka antropologii Émile'a Durkheima, Chwin rozumie taki rodzaj samobójstwa, które jest motywowane dążeniem do realizacji i zachowania wartości ważnych dla samobójcy i grupy, do której należy. Analizuje kolejne przykłady patriotycznych śmierci, które uznaje za takie właśnie samobójstwo, łącząc przypadki postaci historycznych z bohaterkami legend i postaciami literackimi.

Obok tak znanych figur, jak Wanda, Reytan, Ordon, Konrad, Kordian czy Michał Wołodyjowski, pojawiają się także patriotyczni samobójcy, którzy nie zdobyli aż takiego rozgłosu, jak Rajnold Suchodolski czy Karol Levittoux. W końcu za samobójstwa zbiorowe uznane zostają też polskie powstania – styczniowe i warszawskie.

Przykłady XIX-wieczne zestawiane są tu z późniejszymi o stulecie, co prowadzi do wysuwania krytycznego ostrza w stronę dzisiejszej, PiS-owskiej Polski. Tę Chwin atakuje głównie przy pomocy nieco emocjonalnych wzmianek, nie analizując jednak szczegółowo jej mitologii i patriotycznej pedagogiki. Dąży raczej do odsłonięcia jej mityczno-historycznego zaplecza, którego rdzeń stanowi nakaz poświęcenia życia za Polskę w samobójczym akcie mającym być radykalną realizacją jedynej alternatywy stojącej przed „prawdziwym Polakiem": tryumf albo zgon. A ponieważ tryumf Polsce – „jednemu z niedużych narodów zamieszkujących Ziemię" (s. 98) – rzadko jest dany, to kolejne pokolenia Polaków same na stos rzucają swój życia los i karmią Ojczyznę-wampirzycę swoją krwią. Odrzucają przez to – co Chwina interesuje szczególnie – chrześcijańską interpretację samobójstwa jako grzechu, demaskując w ten sposób niezgodność rodzimej wiary patriotycznej z katolicyzmem.

Temu kompleksowi Chwin nie przeciwstawia wprost żadnej alternatywy poza przebijającą z jego autorskiej narracji trzeźwą racjonalnością. Opiera ją głównie na psychoanalizie, uznawanej najwyraźniej za metodę ściśle naukową, oraz na dość prostym pragmatyzmie, sugerującym (ale tylko sugerującym), że Polacy zamiast ginąć powinni raczej negocjować lub przyjmować wzór Hioba cierpiącego w milczeniu i pokorze. Brak wyrażonej wprost alternatywy odczytuję jako unik, a nawet jako chęć zachowania poczucia wyższości właściwej dla postawy krytycznej, która nicuje i demaskuje, ale na pytanie „co wobec tego robić?" nie może dać odpowiedzi.

Ten unik jest zrozumiały. O wiele trudniej zrozumieć i zaakceptować sposób, w jaki Chwin ustawia sobie „przeciwnika". Analizując interesujące go postawy nie wchodzi w ich głąb, nie zajmuje się ich własną strukturą i znaczeniami, ale ocenia przy pomocy kategorii z zewnątrz. Widać to zwłaszcza w powracających analizach polskiej religijności (nie tylko patriotycznej), którą z uporem zestawia z dogmatycznym katolicyzmem (lekceważąc przy tym jego historyczną zmienność). Wynikiem tego zestawienia jest oczywisty wniosek, że polski konglomerat religijno-mityczny tylko zewnętrznie, pozornie i częściowo jest katolicki. ↦

Rekonstruktorzy powstania warszawskiego. Toruń, 31 lipca 2017 r.

GRZEGORZ OLKOWSKI / POLSKA PRESS / EAST NEWS

↦ Chwin najwyraźniej uważa to za jakąś ważną demaskację, choć rzecz to oczywista i od dawna wiadoma. Od odkrycia, że Mickiewicz czy Słowacki byli mocno problematycznymi katolikami, o wiele ciekawsze jest to, jaką wiarę przekazują ich dzieła i jakie ewentualnie miejsce w tych oryginalnych i złożonych systemach zajmuje samobójstwo.

O tym jednak Chwin nie traktuje, podobnie jak nie zajmuje się całą złożonością mitu Wandy i kontekstami, w jakich się pojawiała (lekceważące pominięcie kluczowego w tej kwestii Wyspiańskiego, bo nadmiernie rzecz skomplikował, to unik wręcz popisowy), ewolucją postawy Mickiewicza, zwłaszcza w okresie, gdy zaczął „czynić poezją", mistyczną twórczością Słowackiego, której przywołanie z pewnością mocno skomplikowałoby prostą kategorię główną, czy całym ogromnym zespołem tekstów i przykładów odrzucających wzór samobójczy.

W efekcie zamiast monografii problemu, z jakim istotnie mierzyli się Polacy w XIX i XX wieku, a który wcale nie stracił aktualności w wieku XXI, otrzymujemy zestaw esejów z tezą. Niektóre z nich – zwłaszcza finałowy esej o Wołodyjowskim – są inspirujące i odkrywcze, większość jednak drażni podporządkowanymi tezie uproszczeniami i odruchową idiosynkrazją blokującą próby głębszego zrozumienia tego, z czym autor się nie zgadza. To właśnie – obawiam się – ułatwi przeciwnikom Chwina rozprawę z jego książką i oddalenie dramatycznych pytań, z którymi powinni się skonfrontować.

Taki nam się snuje dramat

Jest jasne, że pytanie o zabójczy, wampiryczny aspekt polskiej tradycji romantycznej powinno być stawiane właśnie dziś, wobec narastającej fali pedagogiki i propagandy chwalebnej śmierci za ojczyznę, stanowiącej w istocie przygotowanie kolejnych pokoleń – powiedzmy to wprost: naszych dzieci – do powtórzenia aktów spektakularnego samobójstwa patriotycznego.

Taki jest ledwo ukryty sens politycznego i kulturowego programu polskiej prawicy, która utrzymuje się u władzy nie tylko dzięki transferom pieniędzy na cele społeczne, ale też dzięki przyjęciu roli obrońcy polskości straceńczych gestów. Oczywistym tego przykładem jest kult „żołnierzy wyklętych" i powstańców warszawskich, oczyszczonych ze wszystkich ambiwalencji i wątpliwości, osadzonych w rolach jednoznacznie heroicznych. Tyle tylko, że – wbrew powtarzanym do znudzenia interpretacjom – nie są to heroiny i herosi romantyczni, ale raczej pseudoklasyczni (pseudo- czy neoklasycyzm to także kultura polska XIX wieku). Między tymi, którym wykrzykuje się na ulicach „cześć i chwałę", a mającymi tysiące wątpliwości i pozostającymi w procesie przemiany Konradem i Kordianem, jest odległość wręcz kosmiczna. Podobnie jak między nimi a pseudoklasycznym właśnie „Hektorem krzemienieckim" Wołodyjowskim.

Te różnice Stefan Chwin zaciera, przeskakując nad złożonością historycznych i kulturowych procesów, które zamieniły wieloznaczność romantycznego dramatu poetyckiego na melodramatyczne efekty przyciągające czytelników gazetowych seriali Henryka Sienkiewicza. Uogólniona teza tej książki jest taka, że sojusz katolicko-romantyczny uczy Polaków gotowości do śmierci, więc ten sojusz i tworzące go elementy trzeba odrzucić. Nie bardzo tylko wiadomo, na rzecz czego? Racjonalnego pragmatyzmu? Ale sam Chwin go wykpiwa, pisząc z niechętnym dystansem o realizującym taki właśnie program Jerzym Zawieyskim.

Wskazuje jednak nie wprost, co znaczyłoby wyrzeczenie się romantycznego mitu samobójczej niezgody: akceptację świata jako rządzonego prawem silniejszego, świata, w którym spokój, szczęście i dobrobyt budowane są na zbrodni i przemocy, świata, w którym przeciwko przeważającym siłom nie ma sensu protestować z tego prostego względu, że są przeważające. O takim świecie Mickiewicz powiedziałby, że jego Bóg jest carem. Możliwe bardzo, że świat taki właśnie jest, i możliwe, co dziś widać na naszej wschodniej granicy, że Polska prawicy do niego dołącza. Ale czy z tego wynika, że należy się na to godzić i cieszyć z pozycji brutalnych zwycięzców?

Możliwe (a tu chyba zgodziliby się z Chwinem politycy prawicy), że tak buduje się „normalne państwo". Nie wiem. Wiem, że przez ostatnie dwa stulecia ludzie tworzący kulturę, którą uznaję za rodzimą, odpowiadali: nie, weto! To weto powtórzone wielokrotnie na różne sposoby przez największych mistrzów języka, który jest i moim matczynym, zostało okupione śmiercią tysięcy. Być może Chwin ma rację, że zostali oszukani. Ale niezależnie od tego, w co wierzymy, ci polegli swoją śmiercią ustanowili realność swojej wiary. Można ją czytać prosto jako wiarę w zbawczą śmierć za ojczyznę, ale można też szerzej i głębiej – jako niezgodę na ograniczenie sensu życia do troski o przetrwanie mimo wszystko.

Polskie mity i dramaty, które Chwin interpretuje według przyjętego schematu, można wszak widzieć inaczej: jako wyraz potrzeby sensu wyższego niż przeżycie. Wielu polskich bohaterów wcale się nie zabijało, ale wszyscy oni (nawet ci „pozytywistyczni") przekazywali i odbierali inną polską lekcję: warunkiem życia sensownego jest uznanie istnienia czegoś od życia ważniejszego, co w szczególnych sytuacjach oznacza wystawienie się na niebezpieczeństwo utraty życia, a nawet konieczność rozegrania dramatycznego przedstawienia własnej śmierci. Nawet jeśli dla niektórych z tych ludzi źródłem poszukiwanego sensu była ojczyzna, to nie wolno zapominać, że ci sami ludzie natychmiast pytali: „jaka?".

Głęboki kryzys, w którym się znaleźliśmy, przejawia się, moim zdaniem, w podwójnym strywializowaniu tych poszukiwań. Z jednej strony zostały one sprowadzone do skandowania „Bóg, Honor i Ojczyzna!" oraz rojeń o „wielkiej Polsce". Z drugiej, do uznania, że dostatnie i spokojne życie jako takie jest najwyższą wartością. To podwójne uproszczenie oznacza podwójne wyrzeczenie się własnej przeszłości, która naprawdę myślała o wiele głębiej niż gazety „Polska" i „Wyborcza". Po obu stronach współczesnego, pogłębiającego się polskiego sporu popełniamy ten sam błąd: nie czytamy i nie mierzymy się z naszymi wielkimi, którzy usiłowali przemyśleć, rozegrać i przetworzyć polskie nieszczęścia, mity i fantazmaty, tylko wyciągamy z nich lub przeciwko nim hasła, którymi zastępujemy konieczność dania własnej odpowiedzi.

Nie stargam cię ja – nie! – Ja, u-wydatnię!...

Inne zasadnicze uproszczenie, którego przykładem jest książka Stefana Chwina, polega na sprowadzaniu dzieł sztuki (i to sztuki dramatycznej!) do jednowymiarowych deklaracji programowych. Tymczasem wielkość Mickiewicza, Słowackiego i Wyspiańskiego (by wymienić tylko tych trzech) polega na tym, że nieustan-

nie podejmowali wysiłek mierzenia się ze sprzecznościami, których realność przeżywali w swoim życiu i od której nie uciekali. Ich najważniejsze dzieła to nie artykuły gazetowe i wyrwane z kontekstu aforyzmy, ale dramaty, czyli konstrukcje artystyczne mające nam dać szansę na zmierzenie się z realnością polskich sprzeczności i uwikłań oraz udzielenie im własnej odpowiedzi.

To oczywiście nie jest łatwe i nic dziwnego, że polska kultura wielokrotnie uciekała przed tą trudnością na poziom zawadiackich piosenek, popularnych seriali i haseł skandowanych na tłumnych demonstracjach. Ale czy to znaczy, że mamy zacierać różnice między nimi a prawdziwymi dziełami sztuki? Między powstańczą piosenką a romantycznym dramatem? Czy nie oznacza to akceptacji dla tego procesu uproszczenia, który przerobił wysoki i wymagający polski romantyzm na powieść w odcinkach i szkolny bryk, a chrześcijaństwo – co o wiele gorsze – na estetykę patetycznych ceremonii i pałkę władzy?

Nie neguję tego, że w procesie wieloletnich przemian i przesunięć Polacy przerobili labirynty arcydramatów na proste a zabójcze lekcje. Być może Polska rzeczywiście nie żyje Mickiewiczem, Słowackim i Wyspiańskim, ale Sienkiewiczem i Kurskim. Uznanie jednak, że nie ma między nimi różnic, i unieważnienie złożoności źródłowego (by tak rzec) polskiego romantyzmu uważam za kapitulację przed tym procesem, którego straszliwe skutki Stefan Chwin sam widzi i opisuje.

Trzeba też zapytać o skuteczność napędzającej tę (i nie tylko tę) książkę propozycji całkowitego i bezwarunkowego odrzucenia polskiego romantyzmu. Konieczność tego aktu jako podstawowego warunku uwolnienia od śmiercionośnych scenariuszy powtarzana jest co najmniej od stulecia. Wykorzystując artykuł Marii Janion, trzydzieści lat temu ogłoszono już nawet „śmierć romantycznego paradygmatu". I co? I nic. Żyje sobie. Nie tylko wrócił w czystej postaci w samo centrum Warszawy i kraju w kwietniu 2010 r., ale pięć lat potem zdobył i nadal sprawuje realną władzę.

Gołym okiem widać, że skuteczność programu negacji romantyzmu w realnej sytuacji, w jakiej się znajdujemy, jest żadna. Może demonstracyjne odcinanie się od niego daje części inteligencji poczucie intelektualnej wyższości nad ciemnym tłumem, ale w sytuacji politycznej i w kwestii wpływu na kształt polskiego życia nic nie zmienia. Także dlatego, że odrzucenie romantyzmu i – co u Chwina ściśle powiązane – katolicyzmu oznacza wyjście poza ostatnie kilkaset lat historii i kultury rodzimej, w której jako swojskiej wychowywani są nasi rodacy.

Wielu polskich bohaterów wcale się nie zabijało, ale nawet ci pozytywistyczni przekazywali lekcję: warunkiem życia sensownego jest uznanie istnienia czegoś od życia ważniejszego.

Zasadnicze pytanie brzmi: wyjście ku czemu? Po rozbiorowej katastrofie kultury szlacheckiej i transnarodowej cywilizacji oświeconych Mickiewicz i jego sojusznicy mogli zaproponować wyjście ku kulturze ludowej. Dziś nie jest to już możliwe. Co zostaje? Tworzenie tożsamości europejskiej? Otwarcie się na zmiany globalne? Życie poza ściśle określoną tożsamością, w akceptowanej płynności? Wszystko to są jakieś rozwiązania, ale obawiam się, że ich realizacja – jeśli w ogóle możliwa – wymaga wielu lat. W chwili, w której jesteśmy, spotyka się zaś z realną niezgodą większości, która takie propozycje traktuje jak próbę wydarcia tego, co uznaje (nawet jeśli bez głębokiej świadomości i wiedzy co do zawartości tego zasobu) za swoje dziedzictwo. I tego dziedzictwa nie chce się wyrzec.

Ja też nie chcę się go wyrzec, choć przecież widzę wszystkie śmiercionośne zagrożenia. Nie chcę się wyrzec Słowackiego, Wyspiańskiego, Mickiewicza, Osterwy i Grotowskiego (że pozwolę sobie wymienić taką osobistą listę) i nie chcę ich zostawiać w łapach tych, którzy fałszują ich myśli i dzieło, wykorzystując jako narzędzie dla urabiania swoich politycznych popleczników. Walkę ze śmiercionośnymi uproszczeniami polskiej tradycji prowadzić trzeba nie przez jej odrzucanie jako zbrodniczego szaleństwa (nawet jeśli i takie postawy generowała), ale przez podejmowanie nieustannej pracy nad pogłębionym jej odczytywaniem, a przede wszystkim odczynianiem.

Skoro romantyzm przez lata i wciąż upraszcza się do zabójczych haseł, to na żadne upraszczanie – także o znaku przeciwnym – nie można sobie pozwolić. Romantyzm – tę może jedyną autentyczną i niepodrabialną rodzimą odpowiedź daną światu z głębi polskiego doświadczenia kulturowego i historycznego – trzeba potraktować nie drwiąco, lecz serio. Rozgrywając sprzeczności, wyostrzając je, radykalizując, szukając możliwych, potencjalnie skutecznych alternatyw przeciwko łatwości bojowych piosenek i scenariuszy akademii ku czci.

Czytając książkę Stefana Chwina miałem nieodparte wrażenie, że jej autor niczego nie chce się z żadnego z czytanych źródeł dowiedzieć – szuka w nich jedynie potwierdzenia tego, co już sam świetnie wie. Dawni artyści są dla niego zamknięci w dawności i niczego nikogo nie mogą już nauczyć. Taka postawa oczywiście nie jest rzadkością, a nawet może nie powinna dziwić u zawodowego intelektualisty, czyli osoby, której się słucha, bo sprawia wrażenie, że wie więcej.

Możliwa jest jednak też postawa zupełnie inna, uznająca, że ci dawni stworzyli coś, co może nam dziś pomóc. Nie dlatego, że byli „wieszczami", ale dlatego, że byli wielkimi artystami, którzy rozegrali ukryte i wciąż działające dramaty ludzi żyjących w tej części świata i mówiących ich językiem. Wtedy wraca się do nich nie po to, by pokazać, co i dlaczego się stało, i co najwyżej odrzucić negatywne skutki trwania tamtych „mitów", ale by wejść w artystycznie rozpracowywany i zostawiony do ponownego rozegrania labirynt wspólnego losu rozumianego jako niemożliwe do odrzucenia, kulturowo-historyczne uwarunkowanie życia tu i teraz – mojego życia. © DARIUSZ KOSIŃSKI

Stefan Chwin
„ODDAĆ ŻYCIE ZA POLSKĘ. SAMOBÓJSTWO ALTRUISTYCZNE W KULTURZE POLSKIEJ XIX WIEKU",
wydawnictwo Tytuł, Gdańsk 2021 r.

Dobra wiadomość, zła wiadomość

BARTOSZ HLEBOWICZ

Wizje senne u Indian północnoamerykańskich stanowiły fundamentalną warstwę rzeczywistości. Umiejętność śnienia pielęgnowano od dziecka, co pomagało stymulować wyobraźnię.

Stara Zhaanat uważała, że wszystko zaczęło się psuć, odkąd biali ponazywali miejsca imionami księży, podróżników i polityków. Z powodu arogancji przybyszów, lekceważących prawdziwe historie, które się wydarzały w tych miejscach, takie jak śnienie, jedzenie czy umieranie, przestały do nich przychodzić zwierzęta, zaczęły wymierać nawet lecznicze rośliny, które Zhaanat zbierała całe życie. Albo przeniosły się w inne, nieznane, nawet jej, miejsca. Ale zachłanność tych *chimookomaanag* była niezmierzona: w połowie XX w. postanowili odebrać Czipewejom nawet i te jałowe resztki ich dawnej ojczyzny.

W mieście gubią dusze

Mądrość pokoleń, hart ducha liderów, odpominanie słów i wydarzeń – spod pióra Louise Erdrich, najważniejszej bodaj indiańskiej autorki, wyszła kolejna znakomita powieść, zawierająca diagnozę przetrwania niewielkiej społeczności Czipewejów (znanych też jako Odżibuejowie; sami nazywają siebie Anishinaabe). Po obu stronach granicy kanadyjsko-amerykańskiej żyją dziesiątki grup Czipewejów. Erdrich dostała właśnie literackiego Pulitzera za powieść „The Night Watchman" (Nocny stróż). Jej tłem jest dramatyczny epizod ze współczesnych dziejów jednej z tych grup, z rezerwatu Turtle Mountain w Dakocie Północnej, tuż przy granicy z Kanadą. Wywodzi się z niej sama autorka, choć urodziła się i wychowała poza rezerwatem.

Louise Erdrich (ur. 1954) ma czipewejsko-francusko-niemieckie pochodzenie, jest autorką siedemnastu powieści, ale w Polsce znamy ją tylko z debiutanckich opowiadań, swoistej kroniki rodzinnej „Leki na miłość" (wyd. w USA 1984, u nas 1998) i jednej powieści – „Klub śpiewających rzeźników" (2003).

W „Nocnym stróżu" narracja jest niespieszna, akcji w niej stosunkowo niewiele, a gdy krystalizuje się wątek kryminalny, autorka niejako się z niego wycofuje, pozwalając, by intryga toczyła się i rozwiązała sama, na poboczach głównej opowieści. Mimo że ten wątek jest szczególnie aktualny dzisiaj, bo nawiązuje do ujawnianych w ostatnich latach tragicznych statystyk przemocy wobec indiańskich kobiet w USA i Kanadzie. Prezydent Joe Biden zadeklarował, że rząd USA podejmie „energiczne działania", by wyjaśnić tysiące przypadków zaginięć i morderstw tubylczych Amerykanów. Jednym z działań jest wzmocnienie ustawy o zapobieganiu przemocy wobec indiańskich kobiet.

Wróćmy do powieści. Oto po przeprowadzce z rezerwatu do Minneapolis ginie siostra głównej bohaterki, Vera. Przedsiębiorcza i dzielna Patrice-Pixie, córka Zhaanat, rusza na jej poszukiwanie, ale na podróż z rezerwatu i śledztwo w wielkim mieście ma zaledwie kilka dni – tyle daje jej pracodawca w fabryce tak zwanych łożysk klejnotowych do zegarków, pracującej dla ministerstwa obrony, zbudowanej na terenie rezerwatu (postaci Pixie i Zhaanat są fikcyjne, fabryka istnieje do dziś). Odnosi połowiczny sukces: przywozi nowo narodzone dziecko siostry. Podejrzewa, że Vera wpadła w łapy przestępców seksualnych.

Autorka, sama mieszkająca w Minneapolis, przedstawia wielkie miasto jako zagrożenie dla Indian. Jej bohaterowie tracą tu duszę i zapominają, kim są. Pixie wraca, bo jest jedyną żywicielką rodziny, nie może sobie pozwolić na utratę pracy w fabryce. Ma też do odegrania ważną rolę w rozwikłaniu innej intrygi, uknutej w politycznych salonach Waszyngtonu.

Biali dobrodzieje

Chodzi o spisek grupy senatorów w latach 50. ubiegłego wieku, którego celem było ni mniej, ni więcej, tylko „rozwiązanie" plemion indiańskich, czyli zerwanie zawartych z nimi w XIX w. traktatów, gwarantujących, że Indianie oddają ziemię w zamian za coroczne płatności i „protekcję rządu". Oficjalnie chodziło o nakłonienie Indian do samodzielnego życia, zgodnie ze standardami dominującego, a więc nieindiańskiego społeczeństwa; senatorowie mówili o „emancypacji", „wolności", „równości" i „sukcesie". W rzeczywistości celem była likwidacja federalnego zarządu powierniczego nad ziemią indiańską i różnych świadczeń gwarantowanych plemionom przez rząd.

„Świadczenia rządowe można porównać do dzierżawy. Rząd USA wziął w dzierżawę cały kraj" – mówi jeden z bohaterów. Bez tej formy „opieki" rządu społeczności tubylcze traciły i tak ograniczoną suwerenność terytorialną, bo odtąd ich ziemia podlegała prawom rynku, a wspólnoty indiańskie, oficjalnie nazywane „plemionami", traciły rację bytu. Innymi słowy, tubylcy mieli stać się ubogimi Amerykanami indiańskiego pochodzenia.

Thomas Wazhashk, bohater Erdrich, lider, który stanie do walki grupy o przetrwanie, ujmuje to tak: „Od czasu do czasu rząd przypomina sobie o Indianach. I kiedy to robi, zawsze próbuje rozwiązać Indian. Emancypacja. Chcą nas uwolnić od bycia Indianami. Gdy pozbędą się nas, problem indiański będzie rozwiązany. Usiłują udawać, że nie podpisali kontraktu o zapłacie za dzierżawę". Wazhashk postanawia zrobić wszystko, żeby problem pozostał. Żeby nie nastąpiło „rozwiązanie".

Strategia wodza Piżmaka

Postać Thomasa Wazhashka jest wzorowana na Patricku Gourneau (*aka* Aunishenaubay), dziadku pisarki ze strony matki, który jako przewodniczący rady plemiennej Czipewejów z Turtle Mountain kierował ich oporem przeciw wrogiemu ustawodawstwu, a prócz tego pracował jako stróż nocny we wspomnianej fabryce łożysk.

ULF ANDERSEN / GETTY IMAGES

Louise Erdrich. Paryż, 23 września 2012 r.

Inspiracją dla „Nocnego stróża" były, jak pisze Erdrich w posłowiu, listy Gourneau zachowane przez jego córkę, czyli matkę pisarki. Wyedukowany w szkołach z internatem dla Indian (nie wszystkie szkoły dla Indian zasłużyły sobie na tak ponurą sławę jak ich odpowiedniki w Kanadzie), starannym kaligrafowanym pismem układał listy, które słał swoim dzieciom w latach 1953-1954, a więc wtedy, kiedy Kongres uchwalił rezolucję (1 sierpnia 1953 r.) odbierającą Indianom „przywileje" i orzekającą, że mają oni podlegać prawom stanowym, tak jak wszyscy inni obywatele. Gourneau – nocny stróż i wódz – zainicjował niesłychaną akcję mobilizowania współplemieńców, zbierania podpisów pod listem protestacyjnym, kopiowanym na powielaczu, a także wysłania delegacji do Waszyngtonu, by przeciwstawić się rezolucji w Kongresie. Czipewejowie z Turtle Mountain byli pierwszą grupą, która stawiła opór.

Kilka lat temu Erdrich zapowiadała, że kończy z pisaniem powieści, ale listy dziadka – znowu przywołuję wyjaśnienia autorki – skłoniły ją do zmiany zdania i powrotu do niegdyś zarzuconego projektu zbadania „terminacji" (rezolucja zaczęła tzw. *termination era* w stosunkach rząd federalny–plemiona indiańskie). Dopiero listy podsunęły jej właściwą perspektywę, dzięki nim zrozumiała, jak niszczycielski był w swych zamiarach projekt federalny i jak doniosłe znaczenie miał wysiłek jej dziadka i innych członków wspólnoty.

Erdrich z czułością oddaje hart ducha mężczyzny, który ani przez chwilę nie miał złudzeń, co oznacza oferowana przez senatorów „wolność". Nie bez powodu obdarzyła swego bohatera nazwiskiem Wazhashk, które oznacza piżmaka, niepozornego gryzonia – i bohatera mitu założycielskiego Czipewejów. To piżmak jako jedyne ze zwierząt zdołał po wielkiej powodzi podjąć z dna i unieść na powierzchnię morza grudkę – zalążek ziemi, na której zamieszkali Czipewejowie.

I to Wazhashk-Piżmak obmyśli sprytną strategię i taktykę obrony: pisanie listów do urzędników lokalnych i senatorów w Waszyngtonie, mobilizowanie lokalnych władz w obronie Czipewejów, organizację meczu bokserskiego na pokrycie kosztów delegacji do Waszyngtonu i zaprezentowanie w Kongresie grupy z Turtle Mountain jako ubogiej i „niesamodzielnej", a więc niespełniającej warunków do „terminacji".

Skład delegacji będzie równie nieprawdopodobny – i równie skuteczny – jak zespół obrońców aresztu w „Rio Bravo". Tam szeryfowi-Wayne'owi sekundowali: ↦

↦ moczymorda, nieopierzony żółtodziób i staruszek-kuternoga. Tu u boku Wazhashka-Piżmaka stanęli: pracownica fabryki łożysk klejnotowych, studentka, która robiła badania o warunkach życia w rezerwacie Turtle Mountain, szkolna kucharka, sędzia plemienny o imieniu Moses oraz wódz Wazhashk, czyli nocny stróż.

Erdrich nie próbowała podkolorowywać historii: nie ma tu klasycznego heroizmu, lecz żmudna praca od podstaw, ugruntowana w czipewejskim poczuciu zdrowego rozsądku i uczciwości. „Musimy rzucić wszystkie siły, którymi dysponujemy. Mają nas prawie w garści" – reaguje Wazhashk, tuszując odruchową konsternację na propozycję, by odszukać studentkę, która kiedyś prowadziła badania w rezerwacie.

Kwestia postępu

Erdrich obdarza swoich bohaterów poczuciem kąśliwego, gorzkiego humoru, dzięki czemu jej narracja unika zgubnych (dla literatury) nadęcia i uwznioślenia. Humor zresztą, o czym przypomina narratorka, został stworzony przez Nanabozho, istotę nadprzyrodzoną, która obdarowała Czipewejów rzeczami niezbywalnymi. Tak więc gdy senator Arthur Watkins, pomysłodawca rezolucji, mówi – rozumując w dawnych kategoriach ewolucjonistycznych – że „emancypacja" Indian już nastąpiła, czego dowodzą ich „postęp i zaawansowanie", a więc nie potrzebują już „opieki rządu", członkowie plemienia z Turtle Mountain odpowiadają, że „żaden fragment traktatu nie mówi, iż jeśli poprawi się nasza sytuacja, powinniśmy stracić naszą ziemię". Albo tak: „Uważam, że jestem zaawansowany, bo potrafię czytać i pisać. Czy z tego powodu już nie mogę być Indianinem?"; „Nadal jesteśmy sobą, nawet jeśli dokonaliśmy postępu. Ja osobiście nie dokonałem jeszcze postępu".

„Dobra wiadomość jest taka, że jesteśmy wystarczająco biedni, żeby wymagać od rządu utrzymania *status quo*" – komentuje Wazhashk wyniki raportu o kondycji rezerwatu, który stanie się koronnym argumentem i dowodem braku odpowiedniego postępu wśród Czipewejów z Turtle Mountain. „Zła wiadomość jest taka, że jesteśmy naprawdę biedni. Dobra wiadomość: hrabstwo i stan nie chcą się nami zająć. Zła: nie tylko dlatego, że jesteśmy biedni. Oni nas nie lubią. Dobra: nasze domy mają dachy. Zła: 97 proc. z nich zrobiona jest z papieru smołowego. Dobra: mamy ten raport. Zła: raport sam w sobie".

To piżmak jako jedyne ze zwierząt zdołał, po wielkiej powodzi, podjąć z dna i unieść na powierzchnię morza grudkę – zalążek ziemi, na której zamieszkali Czipewejowie.

Od „Indian" do „Rdzennych"

Szczególnie dowcipny wątek dotyczy dwóch misjonarzy-mormonów, którzy chodzą od domu do domu w rezerwacie i przekonują mieszkańców, że są Lamanitami, potomkami Lehiego. „Jesteśmy Czipewejami, Kri, jest tu też garść Francuzów" – odpowiada Wazhashk, a na pytanie, czy kiedykolwiek zastanawiał się, dlaczego tu są, odpowiada: „Nie, bo ja to wiem. A wy nie?", po czym wyznaje im, że bardziej niż religią interesuje się polityką i tym, dlaczego senator Watkins, również mormon, nęka Czipewejów.

Rozmowy Wazhashka z mormońskimi misjonarzami, choć zabawne, mają oczywiście gorzki podtekst, którego Indianie są w pełni świadomi: oto biali, którzy odebrali im większość ziemi, a resztę podzielili na kawałeczki i zamienili w towar, nie spoczną, zanim nie zawładną także ich tożsamością. Po tym, jak przez pomyłkę uczynili z rodzimych mieszkańców kontynentu „Indian", zapragnęli zrobić z nich „białych Amerykanów", których skóra (jak sądzą powieściowi misjonarze) pojaśnieje wraz z czynionym przez nich progresem. Jak się okazuje, można z nich ulepić także „Lamanitów", a na naszym polskim podwórku na przykład „Rdzennych". To kolejne odsłony kolonizacji.

A jednak polityka i walka o jakąś formę plemiennej suwerenności nie stanowią głównego tematu powieści. O ostatecznym wyniku rozgrywki między Czipewejami a rządem federalnym autorka informuje jednym zdaniem dopiero na ostatniej stronie. Jak w wielu poprzednich książkach, Erdrich interesuje najbardziej „etnografia dnia codziennego" Czipewejów. Wcześniej byli to mieszkańcy fikcyjnego rezerwatu w Dakocie Północnej, tym razem pisarka akcję umieszcza w prawdziwym Turtle Mountain.

Jaka jest ta codzienność? Jak znaleźć dobrą pracę, czyli federalną, np. jako kierowca autobusu; jak przeżyć od pierwszego do pierwszego; jak dostać podwyżkę w fabryce; jak opędzić się od ojca-pijaka. Miłosne dylematy dorastającej Patrice, lokalny rasizm, parada koni hodowanych przez jednego z mieszkańców rezerwatu, organizacja meczu bokserskiego między chłopakami z rezerwatu i spoza, rozterki białego nauczyciela boksu w rezerwacie („Czy jeśli ożenię się z jedną z waszych kobiet, zostanę Indianinem?". „Nie – odpowiada Thomas. – Ale nadal będziemy mogli cię lubić"). Budowa kołyski, szycie kołdry, zbieranie ziół, częstowanie gości, nawet nieproszonych, pieprznym gulaszem z sarniny albo plackiem z mąki kukurydzianej czy miską suszonych jagód i gotowaną rzepą na zimno to prawdziwa historia ludu, którą chce unieśmiertelnić Erdrich. O utrzymanie tego stylu życia walczy też jej bohater Wazhashk.

Nie zabrakło wizji sennych, w których duchy przekazują Thomasowi magiczną pieśń, dodającą mu siły do walki. Wizje senne u Indian północnoamerykańskich stanowiły fundamentalną warstwę rzeczywistości, o czym przypominają antropolodzy, a Frances Densmore, która przez pół wieku prowadziła badania wśród Czipewejów, twierdzi, że umiejętność śnienia pielęgnowano wśród nich od dziecka, co pomagało stymulować wyobraźnię.

„The Night Watchman" przyniósł Erdrich Pulitzera za najlepszą powieść roku 2020. Poprzednim indiańskim autorem nagrodzonym tym prestiżowym wyróżnieniem był N. Scott Momaday z ludu Kiowa: w 1969 r. za „Dom utkany ze świtu". Rok 2020 był podwójnym świętem tubylczych autorów, bo jednocześnie za najlepszą poezję – tom „Postcolonial Love Poem" – nagrodzona została Pulitzerem Natalie Diaz, wywodząca się z grup Mohave i Gila River Indian Community.

© BARTOSZ HLEBOWICZ

Nieludzkie imaginarium

MACIEJ TOPOLSKI

W pierwszych dniach po wypowiedzeniu przez Wielką Brytanię wojny III Rzeszy miała miejsce masakra. Ponad 400 tysięcy psów i kotów zostało uśmierconych przez właścicieli.

ADOLPH E. WEIDHAAS / LIBRARY OF CONGRESS / MATERIAŁ PRASOWY WYDAWCY

Kotka Brunhilda, 1936 r.

Pierwsza historia wydarzyła się w trakcie zimnej wojny. Amerykanie opracowywali plan śledzenia Rosjan w Waszyngtonie. Najlepiej to zadanie wypełni kot – stwierdzili włodarze CIA – zwierzę domowe o miękkiej sierści, długim ogonie i wąsach, łapach zakończonych pazurami, które na potrzeby misji zostanie wytrenowane oraz wyposażone w chirurgicznie zainstalowane mikrofony i radioprzekaźniki. Kryptonim akcji: Akustyczny Kiciuś (*Acoustic Kitty*).

Według różnych źródeł projekt kosztował łącznie około 10 milionów dolarów. Podczas premierowej misji wypuszczono Akustycznego Kiciusia z nieoznakowanej furgonetki, ten ruszył w kierunku rosyjskiej ambasady, ale po pokonaniu trzech metrów został potrącony przez przejeżdżającą taksówkę i zginął na miejscu. Projektu nie kontynuowano.

Druga historia rozpoczęła się pod koniec XIX wieku. Strzelec wyborowy William Frank Carver wymyślił atrakcję określaną jako konne nurkowanie (*diving-horse*), po tym, jak wpadł wraz z wierzchowcem do wód rzeki Platte w Nebrasce. Pierwszy publiczny pokaz – jeździec i koń wjeżdżają na specjalnie skonstruowaną rampę i skaczą do wody – odbył się w sierpniu 1894 r. w Kansas City w stanie Missouri.

Przedstawienie przerażające i bardzo spektakularne, z którym Carver wyrusza w trasę objazdową i które staje się stałą atrakcją w Atlantic City, jest ostatecznie przyczyną wypadku jego żony Sonory Webster. W 1931 r., już po śmierci męża, Sonora nurkuje do zbiornika na grzbiecie swojego konia Red Lips, w trakcie skoku traci jednak równowagę, uderza twarzą o wodę i traci wzrok. Odklejenie siatkówek. Przez ponad dekadę, mimo ślepoty, będzie kontynuowała skoki (wiele lat później powstanie film opowiadający o jej życiu – „Wild Heart Can't Be Broken").

W 2013 r., kiedy po wielu latach i mimo wielu sprzeciwów wznowiono w Atlantic City przedstawienie, Wayne Pacelle, dyrektor The Humane Society of the United States, organizacji działającej przeciwko okrucieństwu wobec zwierząt, stwierdził, że konne nurkowanie to skrajnie idiotyczny pomysł i może przyczynić się do śmierci koni. Słusznie, dodał, należy już do historii.

Bękarcie obrazy

Te dwie historie – jako jedne z wielu – zostały przedstawione w książce Marty Bogdańskiej „Shifters", przetłumaczonej na język polski jako „Zmiennokształtne", opublikowanej przez Fundację Sztuk Wizualnych i Landskrona Foto, stanowiącej główną część programu Miesiąca Fotografii 2021. Całość (800 stron) składa się z 14 rozdziałów, każdy dotyczy innego tematu związanego z wykorzystywaniem zwierząt do celów militarnych, policyjnych, a także rozrywkowych. Nietoperze przemieniano w bomby, psy szkolono do chwytania złoczyńców, a niedźwiedzie traktowano jak maskotki wojenne.

Tak było w przypadku Wojtka, który służył pod Monte Cassino, otrzymał stopień kaprala, a następnie trafił do zoo w Edynburgu, gdzie zapadł na depresję. Ryszard Antolak w tekście napisanym dla iranian.com tak wspominał spotkanie z Wojtkiem: „Miałem szczęście zobaczyć go tuż przed śmiercią w 1963 r. Siedział ↦

STATE LIBRARY VICTORIA / MATERIAŁ PRASOWY WYDAWCY

Gołąb wkładany do spadochronu, lata 40. XX w.

↦ z tyłu swojej wielkiej zagrody, w ciszy i bezruchu. Jedni mówili, że był zły, ponieważ został porzucony przez tych, których kochał. Inni, że tak po prostu objawia się starość".

Poszczególne części książki poprzedzone są krótkimi esejami wprowadzającymi w problematykę lub przybliżającymi tak zwane „biografie zwierząt" – zwłaszcza teksty autorstwa Stefana Lorenzuttiego, wstrząsające i poruszające, konkretne i liryczne, pozwalają myśleć o zwierzętach nie tylko jako przedmiotach wiedzy, ale i podmiotach posiadających własne życia (i uczucia). Jak twierdzą André Krebber i Mieke Roscher, redaktorzy antologii „Animal Biography: Re-framing Animal Lives", biografie zwierząt starają się wyjaśnić indywidualność zwierząt i jako takie pozostają zewnętrzne wobec ich doświadczenia poznawczego. Takie biografie „próbują uchwycić n a s z e doświadczenie zwierząt jako jednostek, które mają swoje charaktery i przyzwyczajenia", jak również nasze pragnienie „rozpoznania tych wyjątkowych stworzeń i użyczenia im głosu".

Po esejach pojawiają się fotografie, stereografie, ilustracje, plakaty, fragmenty artykułów, ryciny lub rysunki obejmujące okres od końca XIX do lat 70. XX wieku i odnalezione przez Martę Bogdańską w licznych archiwach, głównie internetowych. Obrazy są różnej jakości, od wyraźnych i dobrze rozłożonych na stronie po rozpikselowane, zbyt ciemne, nieczytelne lub ucięte, czasami dodatkowo ze znakami wodnymi, z adnotacjami o źródle pochodzenia, sygnaturami, podpisami w języku francuskim, angielskim czy polskim, w takich lub innych obramowaniach, pochodzące z archiwów Sił Powietrznych Stanów Zjednoczonych, z zasobów pioniera fotografii Juliusa Neubronnera czy serwisu Flickr.

Marcie Bogdańskiej w trakcie tworzenia książki przyświecała zresztą koncepcja „marnego obrazu", który, jak definiuje go Hito Steyerl, jest obrazem-bękartem, sprzeciwiającym się „dziedzictwu, kulturze narodowej czy, rzecz jasna, prawu autorskiemu", poniżonym do tego stopnia, „że staje się najwyżej niewyraźną plamą, a czasem można wręcz wątpić, czy w ogóle da się go jeszcze nazwać obrazem. Tylko i wyłącznie technologia cyfrowa mogła stworzyć obraz w tak opłakanym stanie".

Nie sposób wyobrazić sobie, żeby ta publikacja wyglądała inaczej, by była albumem zawierającym wysoce estetyczne fotografie, lekkim i przyjemnym doświadczeniem wizualnym. Jak wyjaśnia autorka w posłowiu: „Postanowiłam skupić się na historii zwierząt w czasie wojny, kiedy zostały one wcielone do służby, a nawet wyposażone w broń zachodnich sił zbrojnych i stały się częścią mechanizmu organów ścigania. Zakres materiału, labirynt historycznych odniesień jest ogromny. (...) W rezultacie każdy, kto sięgnie po tę książkę, odczuje jej wagę i brzemię, w znaczeniu dosłownym i metaforycznym. Nadmiar materiału jest konieczny, żeby cała ta przemoc stała się widoczna, a nawet namacalna".

Książka stanowi zatem imaginarium, czyli zbiór różnorodnych – bękarcich, niechcianych i w opłakanym stanie – obrazów przenikających i tworzących zbiorową wyobraźnię dotyczącą przemilczanej, wywołującej płacz historii zwierząt. Imaginarium, należy to podkreślić, skonstruowane z wielką znajomością tematu, otwierające pole do różnorodnych interpretacji, łączące wiedzę z wielu dziedzin naukowych: od historiozofii przez badania wizualne po *animal studies*.

Historie przemocy i sprzeciwu

W dniach następujących po 3 września 1939 r., kiedy Wielka Brytania wypowiedziała wojnę III Rzeszy, miała miejsce masakra na skalę nieporównywalną. Ponad 400 tysięcy psów i kotów – mimo sprzeciwu rządu, weterynarzy, organizacji działających na rzecz zwierząt i długo przed tym, jak na Londyn spadły pierwsze bomby – zostało uśmierconych przez właścicieli. Szacuje się, że łączna liczba zwierząt, którym odebrano wówczas ży-

cie, wynosi 750 tysięcy i jest ona sześciokrotnie większa niż liczba ludzi zabitych przez bomby w trakcie trwania całej wojny na terytorium Wielkiej Brytanii.

Jak pisze Hilda Kean w książce poświęconej „brytyjskiej masakrze zwierząt domowych" (British Pet Massacre), jedną z metod radzenia sobie z poczuciem bezradności w pierwszych dniach wojny, zwłaszcza w Londynie, było stworzenie sobie zadań, które miały wywołać uczucie realnego wpływu na wydarzenia – zadań podejmowanych tak w pracy, jak i domu. „W pierwszy weekend wojny ludzie w Londynie i okolicach rzeczywiście »robili różne rzeczy«. Wysyłali dzieci do pozornie bezpiecznych części kraju, robili zasłony na okna, w ogródkach tworzyli grządki warzywne – i zabijali domowego zwierzaka". Organizacja RPSCA, najstarsza organizacja na świecie zajmująca się dobrostanem zwierząt (jej patronką jest dzisiaj królowa Elżbieta II), podwoiła wówczas liczbę pracowników w swoich przychodniach, zatrudniła kolejnych na nocne zmiany i potroiła sprzęt niezbędny do przeprowadzania eutanazji.

W jaki sposób wszystkie zwierzęta zabite w pierwszych dniach II wojny światowej – nie tylko w Wielkiej Brytanii, ale i innych krajach biorących udział w tym konflikcie – należą do historii? Czy są jej częścią, aktywną i sprawczą? Czy raczej stanowią jej własność, bierną i uległą? Książka Bogdańskiej rozpoczyna się od serii artykułów przedrukowanych – a raczej stanowiących zrzut z ekranu – ze współczesnej prasy anglojęzycznej, które przedstawiają, często w prześmiewczej formie, przypadki zwierząt schwytanych i oskarżanych za bycie agentami działającymi na rzecz wrogich państw. Gołębia szpiegującego irańskie obiekty jądrowe, czternastu wiewiórek wyposażonych ponoć w specjalistyczny sprzęt, rekina na usługach Mossadu czy sępa wysłanego przez Izrael na tereny Sudanu.

W naszej rozmowie Marta Bogdańska stwierdza: – Cały projekt książki rozpoczął się od tego, że zainteresowała mnie figura zwierzęcia jako agenta. W języku angielskim słowo „agent" znaczy nie tylko „szpieg", ale i „podmiot, który działa" – i tym samym tworzy ono rodzaj węzła, który splata wszystkie wątki tej publikacji. Z jednej strony zwierząt jako szpiegów, służących w wojsku czy policji. A z drugiej ujmowanych jako podmioty sprawcze, działające intencjonalnie. A jak to – pytasz mnie – powiązać z tak wielką ilością obrazów, które przedstawiają zwierzęta jako przedmioty, obiekty eksperymentów, będących częścią wojny? Ten mechanizm działa we wszelkich projektach, naukowych czy artystycznych, dotyczących wykluczonych: chcąc uznać czyjąś sprawczość, trzeba najpierw oddać temu komuś głos, ukazać jego historię. Próbować odkryć jak najwięcej w tym, co było dotąd przemilczane, ukryte, niewidzialne, pomijane. Wówczas okazuje się, że istniało wiele postaci, które – jak opisane w mojej książce łosie – zawsze stały z boku, coś kwestionowały, czemuś się sprzeciwiały.

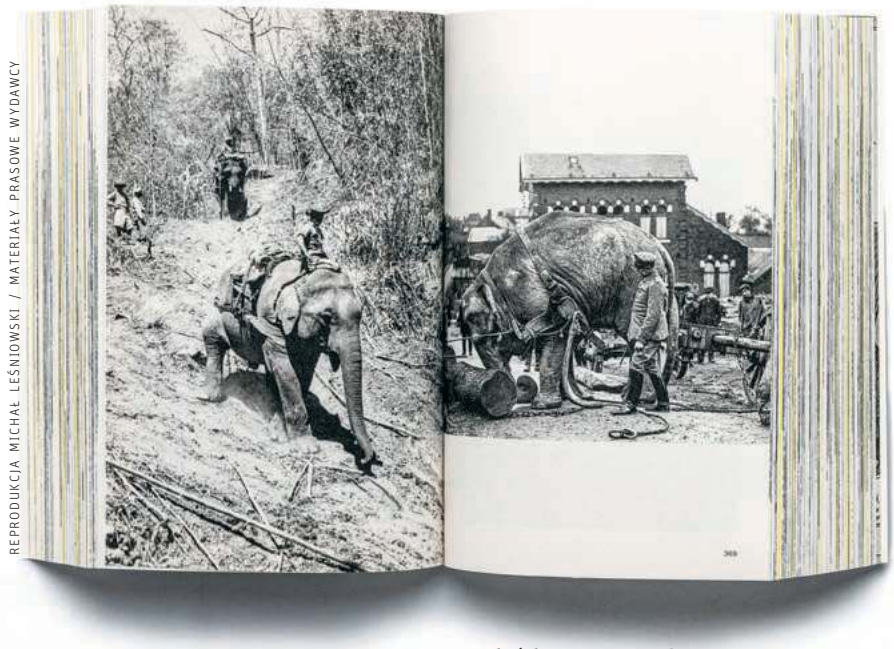

REPRODUKCJA MICHAŁ LEŚNIOWSKI / MATERIAŁY PRASOWE WYDAWCY

Marta Bogdańska **„SHIFTERS / ZMIENNOKSZTAŁTNE"**, *Fundacja Sztuk Wizualnych i Landskrona Foto, 2021 r.*

Rozdział poświęcony łosiom rozpoczyna się od tekstu zatytułowanego „They Preferred Not To", który odwołuje się do słynnego opowiadania Hermana Melville'a „Kopista Bartleby. Historia z Wall Street". Jego bohater nic nie czyta, nie pije, nie wychodzi z biura, na wszelkie polecenia lub prośby odpowiada tak samo: „I would prefer not to", czyli „Wolałbym nie". Podobnie jest z łosiami, które, jak pięknie pisze Helen Korpak, niezwykle trudno udomowić, ponieważ ich wymogi żywieniowe wciąż nie zostały dokładnie poznane. Co więcej, łoś nie tyle nienawidzi ludzi, ile po prostu „nigdy, ale to przenigdy nie chciał mieć z człowiekiem do czynienia. W łosim wszechświecie człowiek nie pełni żadnej roli, jego bitwy są stanowczo za głośne".

Nie spotkać więcej ludzi

Na pierwszej stronie okładki książki znajduje się fotografia kotki podpisana imieniem walkirii Brunhildy: ubrana jest w pelerynkę, którą z przodu zdobią cekiny imitujące zbroję, na głowie ma zaś hełm z piórami – charakterystyczny dla przedstawień bogiń z mitologii nordyckiej. Na pierwszy rzut oka to zdjęcie, podobnie jak wiele innych obrazów w książce, jest urocze. Zwierzę domowe w hełmie i pelerynce. Patrząc jednak z innej strony, nieco szerzej, kotka została wciągnięta siłą w świat, który w żaden sposób jej nie dotyczy – spraw ludzkich znaczeń, mitologii, za głośnych wojen (o tym pisze też w przedmowie Éric Baratay, francuski historyk, autor „Zwierzęcego punktu widzenia" oraz „Zwierząt w okopach"). Podobnie zresztą jak Brunhilda, najpiękniejsza walkiria, która chcąc odzyskać skradzione jej pióra – dzięki nim z kobiety mogła zamienić się w łabędzia – podstępem zmuszona została do wzięcia udziału w nieswojej bitwie.

Publikacja stawia pytanie: jakie miejsce zajmują i jaki udział mają zwierzęta, jako istoty nie-ludzkie, w historii tworzonej przez ludzi? Wszystkie materiały zebrane przez Bogdańską pokazują, że wojny – podobnie jak działania służb specjalnych i policji – należą do spraw wyłącznie ludzkich, a mówiąc ↦

↦ bardziej konkretnie – męskich (zdjęcia kobiet pojawiają się zwłaszcza w rozdziale poświęconym pomocy zwierzętom). Jednocześnie wszystkie te działania napędza na wskroś nieludzka wyobraźnia, która wynajduje wciąż nowe sposoby, jak wykorzystać do swoich celów ciała zwierząt: zdolne dźwigać więcej, dłużej wytrzymać pod wodą, bardziej wielowymiarowo odczuwać świat itd.

Tytuł książki odnosi się do pojęcia opisującego obecną w mitologii, folklorze czy literaturze zdolność bohaterów do fizycznych przekształceń, a to za sprawą jakiejś boskiej interwencji, a to magicznego obiektu. Zmiennokształtna jest więc m.in. walkiria Brunhilda, zdolna zmienić się dzięki magicznym piórom z łabędzia w kobietę – i na powrót. To pojęcie, przeniesione do refleksji nad historią zwierząt, uzyskuje krytyczną siłę.

Zmiennokształtne są nie tylko ciała zwierząt używane w laboratoriach, zamieniane w bomby, służące do transportowania dział, pełniące funkcje maskotek, chirurgicznie przemieniane w mechaniczne potwory (jak Akustyczny Kiciuś). Także wyobraźnia człowieka odnajduje nowe formy sprawowania władzy nad ciałami zwierząt, instalując gołębiom specjalnie aparaty fotograficzne, testując metody zapłodnienia *in vitro* na królikach czy robiąc zdjęcia kurom, jak uciekają przed petardami (na taki pomysł wpadł autor słynnego dzieła „Animal Locomotion" Eadweard Muybridge).

W tym świecie – realnych konfliktów zbrojnych, medycznych eksperymentów, delfinów szpiegów – historia Brunhildy nie ma końca. Walkiria wciąż walczy w nieswojej bitwie, próbuje odzyskać skradzione jej pióra, zamienić się w łabędzia i odlecieć gdzieś, gdzie, jak marzy, nie spotka więcej ludzi.

© MACIEJ TOPOLSKI

RADIO KRAKÓW
Co wtorek o godz. 14.30 na antenie Radia Kraków goszczą dziennikarze „Tygodnika Powszechnego".
Słuchaj nas w Małopolsce:
Kraków – 101,6 FM | Nowy Sącz – 90,0 FM
Krynica Zdrój – 102,1 FM
Rabka Zdrój – 87,6 FM | Tarnów – 101,0 FM
Zakopane – 100,0 FM | Andrychów – 98,8 FM
Gorlice – 97,4 FM | **www.radiokrakow.pl**

Starość maskotki

ANITA PIOTROWSKA

Dokument „Najpiękniejszy chłopiec na świecie" zagląda za kulisy historii kina i niepostrzeżenie zamienia się w film o dziecięcych traumach.

W marcu tego roku minęło równe pół wieku od premiery „Śmierci w Wenecji". Po obejrzeniu filmu „Najpiękniejszy chłopiec na świecie" trochę inaczej będziemy oglądać arcydzieło Luchina Viscontiego, choć autorzy dokumentu, Kristina Lindström i Kristian Petri, nie próbują podpinać się pod tzw. kulturę unieważniania.

Rzecz jest przede wszystkim o tym, jak świetlista postać Tadzia naznaczyła życie Björna Andrésena, czyli jej odtwórcy. Aż się prosi, by nazwać to nawiedzeniem, lecz przecież to nie sama postać, lecz tytułowa łatka „najpiękniejszego" zdemolowała życie dziecięcemu aktorowi i pośrednio jego bliskim. Stali za tym konkretni ludzie oraz specyficzny duch czasu, który na szczęście odchodzi właśnie do lamusa.

Kiedy krząta się po obskurnym sztokholmskim mieszkanku, z początku trudno dopatrzyć się w nim dawnego efeba. W chudej przygarbionej sylwetce kinomani rozpoznają za to inną postać – z horroru „Midsommar. W biały dzień" (2019) Ariego Astera, gdzie Andrésen zagrał długowłosego starca, ofiarę rytualnej przemocy. Rola ta w jakiś sposób symbolicznie domyka jego karierę, za sprawą roli Tadzia spektakularnie otwartą i równie gwałtownie pękniętą.

Przypomnijmy: w noweli Tomasza Manna i jeszcze bardziej u Viscontiego czternastoletni chłopiec o polskim imieniu był nie tylko wcieleniem absolutnego piękna, ale także aniołem śmierci. Objawiał się von Aschenbachowi w szczególnym momencie: w obliczu męskiej smugi cienia i rychłego nadejścia wielkiej wojny, wreszcie – podczas zarazy trawiącej najpiękniejsze miasto świata. W szwedzkim dokumencie to sędziwy Andrésen zdaje się spoglądać na siebie młodego (podczas kręcenia filmu miał piętnaście lat). Stąd wrażenie, jakby cała tamta zwodnicza uroda, cała wenecka zgnilizna i zawarte w nazwisku głównego bohatera spopielenie znalazły dziś tragiczne dopełnienie w żywej biografii.

Twórcy dokumentu nawiązali bliski kontakt z dzisiejszym Björnem, towarzyszą mu w rozszyfrowywaniu rodzinnych tajemnic, filmują go w trudnych relacjach z dużo młodszą partnerką czy dorosłą córką, nade wszystko jednak rzuca się w oczy dojmująca fizyczność bohatera. W ascetycznej, pobrużdżonej, ciągle szlachetnej twarzy mimowolnie (bądź perwersyjnie) szukamy śladów Tadzia. Za chwilę w całej krasie objawi się on we fragmentach „Śmierci w Wenecji", w zdjęciach z planu filmowego czy pozornie beztroskich nagraniach domowych. Prawdziwym jednak dreszczem przeszywają inne materiały – otwierające dokument unikalne zapisy castingu.

W poszukiwaniu idealnego aktora Visconti odwiedził wówczas kilka europejskich krajów, z komunistyczną Polską włącznie, zanim wreszcie poczuł ukłucie podobne temu, jakiego doświadczył na Lido profesor von Aschenbach, widząc zjawiskowego chłopca w marynarskiej bluzie. Brzmi niczym romantyczna legenda, aczkolwiek to, co się wtedy mimowolnie zarejestrowało, zdaje się przeczyć jej z całych sił. Oto dorosłe uprzedmiotawiające spojrzenie zderza się z chłopięcym wstydem. Po jednej stronie jest wszechwładny maestro, lewicu-

MATERIAŁY PRASOWE MILLENNIUM DOCS AGAINST GRAVITY

Kadr z filmu „Najpiękniejszy chłopiec na świecie”

jący arystokrata i zdeklarowany homoseksualista, po drugiej zaś półnagi bezbronny dzieciak rzucony na pastwę „magii ekranu”. Tak zaczyna się opowieść o wzlocie i upadku Björna Andrésena, a jeżeli w ogóle istnieje coś takiego jak owa magia, to objawia się ona w tym miejscu – kiedy pozornie neutralna sytuacja z przygotowań do filmu, poprzez współczesne zapośredniczenie, rzec by można: przez podwójny obiektyw, nabiera znienacka obscenicznego wyrazu.

Autorzy bez pośpiechu, hipnotycznym rytmem odtwarzają kręte drogi „najpiękniejszego chłopca na świecie”. Jak to się stało, że fetowany na festiwalach „Tadzio”, opływający w luksusy obiekt pożądania kobiet i mężczyzn, stał się starym, zapomnianym mężczyzną, niezdolnym ani do bycia w trwałym związku, ani do samodzielności? Odpowiedź przynoszą kolejne retrospekcje. Nawet w surrealnym epizodzie z Japonii, gdzie Andrésen, uchodzący za doskonałego przedstawiciela białej rasy, zrobił w latach 70. karierę muzyczną, a jego androgyniczna twarz inspirowała twórców mangi, oglądamy wylęknionego nastolatka wrzuconego w wir show-biznesu i po kilku latach przezeń wyplutego.

Dzisiaj nazywa się to eksploatacją, przemieleniem przez system, są na to specjalne paragrafy i kodeksy dobrych praktyk, ale wtedy uchodziło za normę. Zwłaszcza że to najbliższa osoba popchnęła chłopca w żelazny uścisk sławy. Dokument zagląda więc za kulisy historii kina i niepostrzeżenie zamienia się w film o dziecięcych traumach. Choć „Śmierć w Wenecji” jest tutaj z oczywistych względów wydarzeniem kluczowym, bardziej niż porachunki z występną branżą filmową interesuje twórców dzisiejsze mierzenie się Andrésena z własnymi demonami. Film odtwarza ów proces i jednocześnie sam go dyskretnie pobudza, chwilami stając się dla dojrzałego Björna rodzajem psychodramy. Wierzymy, że uzdrawiającej, acz przecież sam bohater wykonuje każdego dnia ogromną pracę, żeby uwolnić się od widmowego Tadzia.

Jego smutna historia to również opowieść o przerwanym, zatrzymanym w kadrze dzieciństwie. Przedwcześnie osierocony, bez żadnego przygotowania został przerobiony na żywą maskotkę, której nie wolno było się zestarzeć. Teraz całym sobą woła do nas z ekranu o inną wrażliwość i świadomość. Ich strażnikami są obecnie psychologowie i koordynatorzy intymności zatrudniani przy produkcji filmów. Jeśli ktoś uważa, że to nadmierna ostrożność lub nowy purytanizm, powinien uważnie obejrzeć ten dokument.

Znajdzie w nim jednak o wiele więcej niż krytyczne spojrzenie na dawną obyczajowość – np. zaproszenie do reinterpretacji „Śmierci w Wenecji” z odmiennej niż klasyczna, bo pozaekranowej perspektywy. Albo zobaczy w losach Andrésena uniwersalną medytację o pięknie na sprzedaż, która w dobie mediów społecznościowych, spotęgowanego narcyzmu, dzieci mieszkających w sieci i lepiej zakamuflowanych nadużyć seksualnych wydaje się dużo bardziej aktualna. ©

NAJPIĘKNIEJSZY CHŁOPIEC NA ŚWIECIE
(Världens vackraste pojke) – reż. Kristina Lindström, Kristian Petri. Prod. Szwecja 2021. Film pokazywany jest w kinach podczas festiwalu Millenium Docs Against Gravity (3–12 września). Szczegóły na mdag.pl.

WARTO ZOBACZYĆ

1. Malowany ptak

Dramat, reż. Václav Marhoul, Czechy/ /Słowacja/Ukraina 2019, HBO GO
Adaptacja powieści Jerzego Kosińskiego pod względem filmowym imponuje, a zarazem dzieli jeszcze bardziej niż pierwowzór. I nie chodzi tu o antypolskie przesłanie, bo akcja osadzona została w dość umownej scenerii. Najbardziej dyskusyjna jest mocno wyestetyzowana forma, w jakiej film punktuje kolejne okrucieństwa i dewiacje.

2. Dzieci maharadży, czyli fajna ferajna w Indiach

Dokumentalny, reż. Tomasz Stankiewicz, Polska 2021, www.bravebunchinindia.pl
My też kiedyś byliśmy uchodźcami. Interaktywny projekt multimedialny, łączący animację, archiwalia i komiks, przybliża historię dziewięcioletniego Stasia. Podobnie jak tysiące innych polskich zesłańców na Syberię z czasów II wojny światowej, w tym setki dzieci, znalazł schronienie na Półwyspie Indyjskim. Film dostępny nieodpłatnie.

3. Oto my

Dramat, reż. Nir Bergman, Włochy/ Izrael 2020, VOD
Czym jest dorosłość w przypadku dziecka ze spektrum autyzmu? Jak się na nią przygotować będąc rodzicem? Wobec takich pytań staje rozwiedziony ojciec, kiedy jego syn po osiągnięciu pełnoletniości ma trafić do specjalnego ośrodka. W sposób ciepły i empatyczny film łamie konwencjonalne podejście do tematu rodziny czy norm postępowania.

4. Moby Doc

Dokumentalny, reż. Rob Gordon Bralver, USA 2021, nc+ go, iTunes Store
Uważany za jedną z najbardziej kreatywnych postaci w muzyce elektronicznej, odsłania w tym filmie nieco mniej znane oblicze. Na „portfolio egzystencjalne” Moby'ego składa się jego dorastanie wśród ludzi i zwierząt, co zaowocowało aktywizmem na rzecz braci mniejszych, ale także bolesne doświadczenia, które znalazły ujście w twórczości.

Spojrzenie z Włoch

MICHAŁ SOWIŃSKI

Na jubileuszowej, dziesiątej edycji Festiwalu Literackiego Sopot dominował wątek włoski. Mogliśmy usłyszeć, co pisarze, dziennikarze i publicyści z tego kraju mają do powiedzenia o swojej ojczyźnie, ale także o współczesnym świecie.

Pasmo włoskie nad Bałtykiem rozpoczęło się od spotkania z Nicolą Lagioią, autorem wydanej niedawno po polsku powieści „Dzikość". W książce tej fabuła kryminalna płynnie przenika się z obyczajową, co w efekcie daje ciekawą panoramę społeczną współczesnych Włoch. Gdy córka bogatego przedsiębiorcy z Bari zostaje porwana, relacje rodzinne – budowane z mozołem i za cenę wielu kompromisów – walą się jak domek z kart.

Autor przygląda się z bliska temu niewielkiemu uniwersum i poddaje krytycznej próbie powszechnie panujący kult rodziny. Szybko okazuje się, że struktura zbudowana na konserwatyzmie i patriarchalnej przemocy pęka, jednak czasem w miejscach niespodziewanych. Spotkanie z Lagioią – dyrektorem Międzynarodowych Targów Książki w Turynie – było także okazją do dyskusji o społecznej i ekonomicznej pozycji pisarza we Włoszech.

Gościnią pierwszego dnia była także Valeria Parrella, autorka zbioru opowiadań „Za otrzymane łaski". Podczas spotkania opowiadała o swoim rodzinnym Neapolu, który uczyniła również bohaterem prozy. „Nie trzeba tu tropić rzeczywistości, podawana jest wprost, prosto na talerzu" – mówiła. Neapol pełni u niej funkcję niewyczerpanego generatora opowieści, a to przede wszystkim za sprawą jego mieszkańców, ludzi bezpośrednich, żywiołowych, niemieszczących się w utartych schematach społecznych. Autorka szczególną uwagę zwróciła na postaci kobiece, które na co dzień muszą toczyć walkę z mizoginicznymi reliktami dawnych epok – wciąż boleśnie obecnymi na południu Włoch.

Debata „Niebezpieczne związki: artyści a władza" – od prawej: Marco Filoni, Joanna Ugniewska, Tomasz Jastrun, prowadząca Justyna Sobolewska

BOGNA KOCIUMBAS / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU

Wątek feministyczny powrócił następnego dnia podczas spotkania z Simoną Lo Iacono i Kristen Sollée. Wydarzenie nosiło tytuł „Czarownice" i właśnie o nich – w najróżniejszych kontekstach literackich, historycznych i filozoficznych – dyskutowały gościnie Zuzanny Radzik. „Jesteśmy wnuczkami czarownic, których nie udało wam się spalić" – można było przeczytać na transparentach podczas protestów kobiet na całym świecie, co zdaniem Sollée i Lo Iacono jest najlepszym dowodem, że figura czarownicy jest wciąż żywa. Pozwala bowiem na egalitarny sojusz kobiet wykluczonych, a do tego, co niezwykle istotne w tym kontekście, oczytanych. Słowo w rękach kobiet to silna broń, potrafiąca przeciwstawić się nawet totalitaryzmom.

„Przyszłość literatury należy do kobiet" – mówił jakby na potwierdzenie tych słów Domenico Starnone, którego powieść „Wyznanie" właśnie ukazała się po polsku. W książce tej, podobnie jak w poprzednich, opowiada on o zmierzchu dominacji patriarchatu z męskiej

Targi Książki w Sopocie

Pokaz tańca irlandzkiego – zapowiedź 11. edycji Literackiego Sopotu

BOGNA KOCIUMBAS X2 / MATERIAŁY PRASOWE FESTIWALU

perspektywy. Pietro, skromny nauczyciel, wplątuje się w dziwny romans ze swoją dawną uczennicą, co zaważy na całym jego późniejszym życiu. Spotkanie ze Starnonem było także okazją do rozmowy o powracającym u kolejnych pokoleń włoskich pisarzy wątku faszyzmu, którego doświadczenie wciąż, nawet w XXI wieku, jest przepracowywane przez literaturę i sztukę. Innym motywem stale obecnym u Starnonego, ale także u innych gości tegorocznej edycji sopockiego festiwalu, jest toksyczny katolicyzm, szczególnie widoczny w obrębie rodzinnych relacji. W ten sposób udało się zakreślić wiązkę problemów, wokół których ogniskuje się spora część współczesnej włoskiej literatury.

Gościnią sobotniego popołudnia była Bernardine Evaristo – brytyjska pisarka, laureatka Nagrody Bookera, autorka książki „Dziewczyna, kobieta, inna". Ta głośna powieść to rozpisana na wiele kobiecych głosów panorama współczesnej i historycznej rzeczywistości Wielkiej Brytanii widziana z perspektywy imigrantów. Evaristo, podobnie jak niektóre postacie przez nią stworzone, jest imigrantką już drugiego pokolenia, co wcale nie oznacza, że jej brytyjska tożsamość jest czymś oczywistym. Opowiadając o swoim doświadczeniu wzrastania w społeczeństwie silnie klasowym, w którym na każdym kroku można spotkać się z przejawami systemowego rasizmu, podkreślała szczególną rolę teatru. Jako młoda artystka była silnie związana ze sceną eksperymentalną, nazywając ją swoistym laboratorium tożsamości – narodowej, płciowej, seksualnej i wielu innych. Dzięki teatrowi również udało się jej opowiedzieć historię brytyjskich czarnych kobiet, których w latach 80. i 90. nikt nie chciał słuchać ani traktować poważnie.

W niedzielę z kolei, ostatniego dnia festiwalu, w Sopocie gościł Marco Filoni, filozof, autor książki „Anatomia oblężenia. Strach w mieście", który w rozmowie z Tomaszem Jastrunem i Joanną Ugniewską (tłumaczką jego książki) analizował skomplikowane relacje między działalnością artystyczną a strachem. Jego zdaniem to uczucie jest inherentnym elementem naszej cywilizacji. To właśnie strach, jego zdaniem, był przez tysiąclecia motorem napędowym naszych politycznych działań – zebranych u niego w postaci metafory miasta. Polis, w którym wszyscy żyjemy, to właśnie ciągła rekonfiguracja lęków, ale też sposobów radzenia sobie z nim. Od tego, czy nauczymy się te mechanizmy kontrolować, zależy kształt naszej przyszłości. ©℗

MATERIAŁ PROMOCYJNY

PARTNER:

LITERACKI SOPOT

PARTNERZY FESTIWALU / WYDARZENIA:

Goyki 3 Art Inkubator

Sopot

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

Dofinansowano ze środków Miasta Sopotu oraz Ministerstwa Kultury, Dziedzictwa Narodowego i Sportu pochodzących z Funduszu Promocji Kultury

Istituto Italiano di Cultura

outriders

JAN

Klata:
Rejestrowanie

Czy lepiej jest wiedzieć wszystko o czymś, czy raczej coś o wszystkim? Czy dobrze jest coś niby-wiedzieć, ale tak naprawdę nie wiedzieć? Na przykład ogromna większość kierowców uważa się za ponadprzeciętnie uzdolnionych mistrzów kierownicy, co widać nie tylko na drogach i cmentarzach, ale także w sondażach. Jest to tendencja ogólnoludzka, bo gdyby posiadacze prawa jazdy w pełni zdawali sobie sprawę, jak jest naprawdę, pozamykaliby się w domach i zamawiali taksówki, najlepiej bezzałogowe.

Od jakiegoś czasu obserwujemy rosnący sceptycyzm ludzkości wobec ekspertów, wszelkiej maści specjalistów, oraz ich wiedzy i dobrych intencji. W dobie internetu każdy może być nie tylko kowalem, ale i lekarzem swojego losu. Brak poczucia sprawczości kompensujemy głębokim przekonaniem o tym, że nikt nie będzie nas pouczał, skoro sami wiemy lepiej, a jak jeszcze nie wiemy, to w trybie instant możemy sobie sprawdzić u wujka gugla i żaden ekspert nam nie wytłumaczy, że może nie do końca tak jest.

I tutaj może powróćmy na drogi, drogi litewskie. Oto u naszych Braci Nie-Słowian nie można rozpoznać na tablicach miejsca rejestracji pojazdu. Litwini nie ułatwiają sobie życia oczywistymi oczywistościami typu: proszę, proszę, stołeczne chamidło, czy też: o, ten z Pruszkowa to mafiozo, od razu widać, jak wrzucił migacz. Ewentualnie: wracaj na Podkarpacie na furmankę, ćwoku! Litwini nie rysują w Radomiu lakieru samochodów na kieleckich numerach, nie sypią karmy dla ptaków na maski warszawskich pojazdów zaparkowanych w Krakowie, nie leją oleju na przednią szybę poznaniaka w Rzeszowie. Nie dlatego, że Litwini lepsi od Polaków – dlatego tylko, że nie mają powodu, bo i po co mieliby nabywać wiedzę o tym, skąd pochodzi jaki litewski samochód? Zaprawdę, rację miał przechodzień Ajschylos: wiedza przynosi cierpienie. Cierpienie ma tendencję, aby się namnażać, choćby za pomocą stereotypów i nadmiernie łatwych ocen. Wyciąganie pochopnych wniosków szkodzi na głowę. ©

Lektor:
Rozmowy istotne

▪ *Philip Roth*
MISTRZOWIE. SPOTKANIA Z TWÓRCAMI
Przekład Olga i Wojciech Kubińscy.
Wydawnictwo Austeria,
Kraków-Budapeszt-Syrakuzy 2021, ss. 212.

Zmarły w 2018 r. świetny prozaik, autor „Kompleksu Portnoya", a także epickiej trylogii o powojennej Ameryce i wielu innych powieści tłumaczonych na polski, pokazuje się w „Mistrzach" (2001, tytuł oryginału „Shop Talk") od innej strony. Poznajemy Rotha – pasjonata literatury, traktującego ją z wielką powagą, uważnego i empatycznego czytelnika kolegów-pisarzy. Siedem rozmów (jedna listowna) i trzy szkice to równocześnie przegląd tematów dla niego samego istotnych.
Roth składa hołd dwóm innym mistrzom amerykańskiej prozy, Saulowi Bellowowi i Bernardowi Malamudowi, którzy – jak on sam – pochodzili z rodzin żydowskich imigrantów. Z Icchokiem Baszewisem Singerem, tworzącym w jidysz, rozmawia o Brunonie Schulzu, który wybrał polszczyznę, i o ukochanym Kafce.
O Kafkę i Schulza pyta też innego rozmówcę, urodzonego na rumuńskiej Bukowinie Aharona Appelfelda, który mówi: „Dotarłem do Palestyny w 1946 roku z głową pełną języków, tyle że żaden nie był naprawdę mój" – dlatego zdecydował się pisać po hebrajsku, choć tego języka musiał się dopiero uczyć. W rozmowie z Primo Levim, świadkiem Auschwitz, też wraca kwestia żydowskiej tożsamości, zakorzenienia w świecie przodków i równocześnie bycia „ziarnem gorczycy", kimś „nieczystym".
Wymiana listów z amerykańską pisarką Mary McCarthy („Wspomnienia z lat katolickiej młodości"), określającą się jako „niewierząca chrześcijanka", to z kolei dyskusja na temat relacji żydowsko-gojowskich. Mieszkająca w Londynie Irlandka Edna O'Brien wprowadza wątek innego rodzaju odrębności – doświadczenia kobiety wyrosłej w opresyjnej i okaleczającej społeczności.
Najobszerniejsza jest rozmowa z Ivanem Klímą, pisarzem czeskim, który spędził część dzieciństwa w obozie-getcie w Terezinie, a podczas „normalizacji" po 1968 r. publikował tylko w podziemiu i za granicą. We wczesnych latach 70. był przewodnikiem Rotha po Pradze – Pradze Kafki i Pradze profesorów pracujących jako nocni stróże. Potem Rothowi odmawiano wizy i ponowne spotkanie nastąpiło w 1990 r. Teraz rozmawiają o zamkniętej epoce kultury dysydenckiej, o Václavie Havlu, oczywiście o Kafce, o przyczynach, dla których Czesi niezbyt lubią Milana Kunderę (nb. w „Mistrzach" jest też rozmowa z Kunderą i stanowi najmniej ciekawy fragment książki), a także o przyszłości. Niewesołe przestrogi Rotha jej dotyczące godne są uwagi i namysłu. ©℗

PAWEŁ

Bravo:
Wiedza o sobie

„Macie już grzane wino?" – usłyszałem od gości w barze w ostatnią niedzielę. Przez chwilę poczułem, jakbym utracił kontury rzeczywistości. Była wszak końcówka sierpnia, jeszcze nawet atrament nie wysechł na przemówieniach szykowanych dla polityków z okazji rocznicy porozumień z 1980 r. Rocznica staje się coraz kłopotliwsza, bo wszak jej istota sprowadza się do tego, że nawet z najgorszą dyktaturą w końcu trzeba się dogadać, zostawiając manichejskie transparenty gdzieś pod śmietnikiem. Nie wiem skądinąd, jak ci, co się mienią spadkobiercami Sierpnia oraz Okrągłego Stołu, mogą dziś obiecywać surowe rozliczenia kaczyzmu, cokolwiek by miała ta inwektywa znaczyć. Gnijący zamordyzm najlepiej rozmiękczać obietnicą względnej bezkarności. Nie znalazła się wówczas pała na dupę generała, o której skandowało moje studenckie pokolenie.

Ale o to niech się martwią speechwriterzy, zawsze gotowi zaprząc swój talent do tego, żeby ich patron wypadł stosownie beztreściowo. Rocznicowe niewesołe skojarzenia służyły mi tylko, żeby się upewnić, że panuję nad kalendarzem. Coś się bowiem nie zgadzało. Przygodni goście byli młodzi, odziani mniej więcej zgodnie z bieżącą modą, nie wyglądali na Marsjan czy uciekinierów z hodowli klonów. A jednak prosili o grzańca. Ich prośba i potrzeba musiała mieć ludzki sens. Obok przekonań, jakim świat być powinien pod koniec sierpnia, istnieje porządek faktów, w tej konkretnej sytuacji porządek mokry, wilgotny, paskudny. Ten grzaniec im się po prostu należał.

Do katalogu zmartwień, jakie budzi prawie każdy układ warunków pogodowych w sezonie od marca do września, doszła nam nowa wiązka utrapień. Cieszymy się wprawdzie, że Polska ciąży niezmiennie ku śródziemnomorskiej kolebce, z której zła geopolityczna macocha wyrzuciła ją w pomroce dziejów, i produkuje coraz więcej wina. To jest kolosalny skok: w 10 lat powierzchnia winnic wzrosła dziesięciokrotnie (obecnie ok. 600 hektarów i trend się utrzymuje). Ale za to pod koniec sierpnia klniemy na prognozę mżawki, bo to czas newralgiczny dla białych winogron. Kiedyś człek martwił się w tych mokrych dniach o śliwki, żeby nie były zbyt wodniste, dzisiaj się zastanawia, czy w Lubuskiem, gdzie winobranie jest najwcześniej, zdążyli już choćby zacząć z solarisem.

To nasz polski winiarski sztandar, uprawę tego szczepu deklaruje ok. 70 proc. winnic, tyle że jego historia jest mało sztandarowa. Albowiem krzyżówka powstała w badeńskim Fryburgu, a jednym z dziadków był szczep o niemiłej naszym uszom nazwie Siewiernyj, hybryda z udziałem winorośli amurskiej wyhodowana na poletkach instytutu im. Miczurina z miasta Miczurinsk. Szczep powstał w połowie lat 70., kiedy już istniał pierwszy przekład niemiecki powieści Stanisława Lema, ale do dziś nie udało mi się znaleźć śladów, by zasłużony dla winogrodnictwa uczony agronom Becker ją czytał i zamierzał tak utrwalić swój ewentualny czytelniczy podziw.

Niemniej dalsze losy solarisa i to, że Polacy mogą z każdym rokiem wypić coraz więcej tego wina biorę za opatrznościowy sygnał, iż powinni również wracać co parę lat do lektury z kieliszkiem w dłoni. Może nas jakoś wesprze w akceptacji nierozumienia mechanizmów świata. Ocean cytoplazmy pokrywający planetę Solaris zachowywał się, jak pamiętamy, w sposób sugerujący, że jest inteligencją sterującą zdarzeniami wokół siebie. Ba, potrafił manipulować badaczami, tworząc im symulakry postaci wydobytych z ich podświadomości, co niekoniecznie było dla nich miłe. W procesie nieudanego poznania świata uczeni na planecie dowiadywali się czegoś więcej o sobie. Dokładnie tak, jak dziś, kiedy na sumę pomalutku zdobywanej wiedzy np. o działaniu koronawirusa czy o dynamice zmian klimatu nakłada się znacznie więcej jasnych wniosków co do reguł naszych stadnych zachowań, w kontekstach społecznych i w instytucjach politycznych. Wiedza to jeszcze mniej przyjemna od tego, co poznał i doznał Kris Kelvin na planecie Solaris. ©℗

Przełom sierpnia i września to koniunkcja trzech warzywnych planet – w szczytowej formie jest jeszcze bakłażan, w zenit wkracza papryka, cukinia też daje radę. Zwłaszcza ona bywa na naszych targach przerośnięta, zbyt wielka na krótkie smażenie, za to świetnie nadaje się wtedy, by ją upiec w kawałkach razem z pozostałymi dwoma. Sekretem pieczenia takich warzyw, żeby nie było nudno, jest sposób przyprawienia (także na zimno, na wydaniu, np. aromatyzowanym octem) albo posypka do pieczenia. Niezmiennie namawiam was do mieszania bułki tartej w równych proporcjach z parmezanem i rozcierania ich z oliwą aż do uzyskania konsystencji mokrego piasku. Do tego dodaję zwykle siekaną drobno natkę, ale czasem warto zamienić ją na majeranek. Paprykę kroimy na duże kawałki o boku ok. 5 cm (i rozpłaszczamy je), cukinię kroimy wzdłuż i jeśli ma zbyt rozwinięte nasiona, wycinamy je ze środka, uzyskując wąskie paski grubości ok. 2 mm, bakłażana tniemy na dowolne plastry podobnej grubości. Warzywa lekko nacinamy, kładziemy ciasno do naoliwionej brytfanki, solimy, smarujemy szczodrze oliwą (tej nigdy nie jest za wiele, jeśli potem zostanie w brytfance, można ją wziąć do grzanek na następny obiad), pieczemy ok. 20 minut w 180 stopniach, potem pokrywamy cienką warstwą „panierki" i pieczemy jeszcze z 10 minut, najlepiej z funkcją grilla, żeby skorupka ładnie się zrumieniła.

SCHLIERNER / ADOBE STOCK

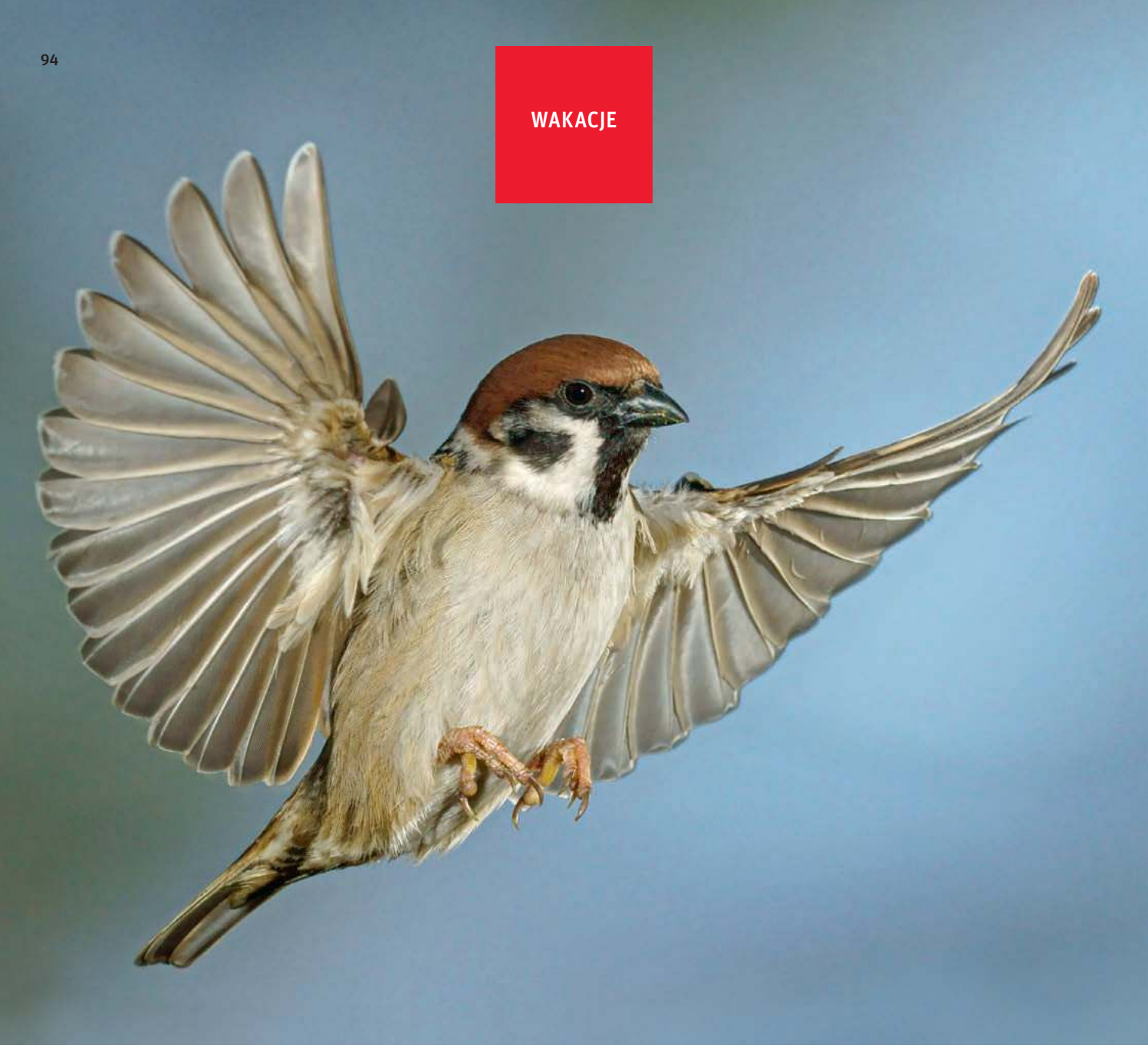

Mazurek, łac. Passer montanus

MAZUREK PINOWSKIEGO

JAN PINOWSKI, ORNITOLOG:

U proboszcza w Radzyminie mama kupiła mi skuter. Brałem siatki, drabinę, samczyka na wabia i jechałem w teren. Obrączkowałem tysiące ptaków.

ADAM ROBIŃSKI: Wie Pan, kogo miłośnicy ptaków nazywają *twitcherem*?

JAN PINOWSKI: Nie mam pojęcia. Coś mnie mogło ominąć, przez ostatnie dziesięć lat żyłem w celowej izolacji. Zajmowałem się wyłącznie autobiografią.

***Twitcher* to taki ptasiarz, dla którego im więcej zobaczy w życiu gatunków ptaków, tym lepiej. Potrafi po nie latać na inne kontynenty.**

Nigdy nie liczyłem, ile gatunków to było w moim przypadku. Zresztą jak zaczynałem karierę naukową, było nas może trzydziestu. Nas, to znaczy zawodowych ornitologów, którzy przyznawali, że interesują ich ptaki. Do tego może sześćdziesięciu obrączkarzy. Początek ruchu amatorskiego to był listopad 1957 r., kiedy zakładaliśmy pierwsze towarzystwo ornitologiczne w Polsce o nazwie Sekcja Ornitologiczna Polskiego Towarzystwa Zoologicznego. Na zjazd przyjechało wtedy 120 osób. A dziś to zupełnie inny świat. Młodsi koledzy, których prowadziłem od doktoratu do tytułu profesora, często są już na emeryturach.

Coraz więcej ludzi trzyma w domach lornetki tylko po to, żeby oglądać ptaki.

Na 14. Międzynarodowym Kongresie Ornitologicznym w Oksfordzie w 1966 r. prezydent kongresu David Lack, najsłynniejszy brytyjski ornitolog, ubolewał, że jest nas aż ośmiuset uczestników kongresu. Czy znajdą się kraje tak bogate, by organizować następne?

Bardzo się mylił. Obecnie organizowany jest 45. kongres, i to po raz drugi przez Republikę Południowej Afryki. Międzynarodowe kongresy przyciągają teraz po dwa tysiące uczestników.

Więc amatorów jest proporcjonalnie więcej. Pan od dziecka mówił o sobie z pełnym przekonaniem „ornitolog".

Często pytam innych, jak to się stało, że zostali ornitologami. Jaki był bodziec. Sam muszę powiedzieć o matce, która może nie tyle inspirowała moje zainteresowania przyrodnicze, ale bardzo je wspierała. Była nauczycielką, po fizyce, chemii i biologii Uniwersytetu Jagiellońskiego, choć biologii nie ukończyła, bo zabrakło jej egzaminu u profesora Michała Siedleckiego. Za to niemiecki znała jak polski. Kupowała mi książki, maksymalnie pomagała. Na opakowaniu cykorii wydrukowany był kupon, za pięćdziesiąt takich kuponów dostawało się atlas przyrodniczy. Ciągle prosiłem mamę, żeby tę cykorię kupowała. Odkąd pamiętam, zajmowałem się ptakami.

W autobiografii „Z ptakami przez życie" wspomina Pan, że jako sześciolatek zbudował budkę dla szpaków, a jako trzynastolatek podebrał kacze jaja i pod kwoką wyhodował stadko krzyżówek, które latały nad domem jak gołębie.

To było już w czasie okupacji. Czytać nauczyłem się jeszcze przed wojną, w ornitologicznej biblioteczce miałem około czterdziestu książek, więc moje zainteresowania były już ukierunkowane. Pasję do ptaków traktowałem bardzo poważnie.

Również w czasie wojny?

Z Brzeska wyjechaliśmy 15 maja 1940 r., a już 4 czerwca gestapo aresztowało nauczycieli gimnazjum, wszyscy zmarli w Oświęcimiu. Ciotka, chcąc ratować kapitał zebrany przed wojną, kupiła w Skawinie dwunastomorgowe gospodarstwo. Matka przed studiami na UJ ukończyła Szkołę Gospodarstwa Wiejskiego w Snopkowie pod Lwowem. Zatem znała się na rolnictwie. Na początku na dwunastu morgach gospodarstwa mieliśmy trzy krowy, cielę, byczka, świnie, klacz, uprawialiśmy żyto, owies, jęczmień, pszenicę, ziemniaki, buraki ćwikłowe egipskie i cebulę żytawską, a także marchew londyńską na nasiona. Po wojnie w 1945 r. matka organizowała gimnazjum koedukacyjne w Skawinie. Ja najpierw pojechałem uczyć się do Krakowa, ale szybko zrezygnowałem, bo nie mogłem znieść myśli, że nikt nie uprawia pól.

Teren, na którym pasłem krowy, to bagienna wówczas pradolina Wisły położona między Tyńcem, Skawiną a wsią Sidzina. Raj dla ptaków, gnieździły się tam czajki, cyranki, krzyżówki, bekasy kszyki i wiele innych gatunków. Kolegę przerobiłem na ornitologa, więc ptaki podziwialiśmy we dwóch. W lipach koło domu gnieździła się dzierzba czarnoczelna, grzywacze. Hodowałem gołębie, w gołębniku mieszkała też pójdźka, a w stodole płomykówka. Zimą ptaki zjadał mi jastrząb i – rzadziej – sokół wędrowny.

Ptaki były odskocznią od okrucieństw wojny?

W latach okupacji, które spędziłem w Skawinie, obok naszego domu szła szosa łącząca Kraków z Oświęcimiem, tą drogą Niemcy wieźli więźniów do obozu. Często były to otwarte samochody ciężarowe. Wyglądało to tak: gestapowiec odgrodzony od więźniów miał ich u swoich stóp leżących jeden na drugim na podłodze paki, wystawały im tylko głowy. W 1944 r. Niemcy przeprowadzili pacyfikację wsi Piekary. Widziałem, jak to wygląda, patrząc z góry z klasztoru benedyktynów w Tyńcu na wieś położoną poniżej, po drugiej stronie Wisły. Niemcy otoczyli ją o świcie, ludzi z domów wypędzili na łąkę, kazali im leżeć twarzą do ziemi. Rewidowali każdy dom, a wieczorem rozstrzelali 28 osób.

Pracę przy okopach w 1944 r., mimo że pod nadzorem Niemca z karabinem, traktowałem z humorem, a później ładowałem szuter z brzegów rzeki Skawinki i zrzucałem już z samochodu na Górze Mogilańskiej pod okiem dwóch niewiele starszych ode mnie żołnierzy Wehrmachtu, kierowcy i jego kolegi. W listopadzie 1944 młodzi gestapowcy likwidujący szpital SS w Kobierzynie przyszli do nas po konia z furmanem, ale w sam raz matka z woźnicą pojechała do Skawiny. W stajni pozostało tylko roczne źrebię, nienauczone jeszcze chodzić w zaprzęgu, w co Niemcy nie mogli uwierzyć. Trochę mnie zbili i odjechali. Nikt z zabranych furmanów i koni z okolicy nie wrócił.

Tak, ma pan rację, wszystkie te przeżycia okupacyjne i wiele innych, ale też nie tragicznych, w dużym stopniu udawało mi się zapomnieć dzięki mojemu zaangażowaniu w obserwację ptaków. Wie pan, byłem jedynakiem, więc były takie momenty, że po prostu nie miałem z kim rozmawiać. Przed wojną matka uczyła w gimnazjum, czasem zadawałem się z dziećmi jej kolegi ze szkoły, była ich szóstka. Ale poza tym raczej byłem sam. Lubiłem paść te moje krowy, to był fantastyczny czas, miałem dużo czasu na obserwację ptaków.

Miał Pan lornetkę?

Pierwszą znalazłem na naszych polach podczas oglądania szkód poczynionych przez działania wojenne, dwa tygodnie ↦

MARKO KONIG / B&EW

↦ po przejściu frontu. Znalazłem ją pod topniejącym śniegiem, wojskową, o powiększeniu 6x30. Służyła mi potem wiele lat. Na naszym polu był zresztą tylko jeden trup. Nie wiedzieliśmy, co z nim zrobić, ziemia była zmarznięta, z pochówkiem trzeba było czekać wiosny i roztopów. Rosjanie swoich zmarłych chowali pod spaloną stodołą, gdzie grunt nie zamarzł.

Po wojnie mógł się Pan wreszcie zająć nauką na poważnie?

Dopiero wtedy, gdy wyzwoliłem się z gospodarstwa w 1946 r.

Kiedy poszedł Pan na studia, na warsztat wziął Pan ptaki pospolite, znane z krajobrazu rolniczego.

Przez całe życie wyznawałem filozofię, że jeśli zajmuję się nauką, to ktoś inny musi na mnie zarobić. A więc powinienem się jakoś społeczeństwu zrewanżować. Np. badaniami, które będą przydatne dla ogółu. Poza tym na wsi ptaki sprawiały mi sporo problemów – typowe kłopoty rolnika. Tym bardziej że prowadziłem gospodarstwo nasienne. To była moja codzienność, nigdy nie pracowałem w fabryce, w ogóle nie znam tamtych realiów. Po wojnie zacząłem nadrabiać zaległości szkolne, a w każdej wolnej chwili brałem lornetkę i szedłem do lasu. W sposób planowy badałem ptaki Puszczy Niepołomickiej w latach 1947-1952. Albo rowerem, albo na piechotę, krok po kroku, całą puszczę. Można powiedzieć, że to było moje pierwsze poważne przedsięwzięcie naukowe. A było co obserwować! Nad Wisłą gnieździły się nawet kraski.

Kiedy trafiłem do Warszawy, żeby zrobić pracę magisterską, nie bardzo wiedziałem, co ze sobą począć. Z punktu widzenia nauki to był zupełnie inny świat niż w Krakowie. Każdy miał jakieś prace zlecone, zarabiał i dzięki temu stawał się specjalistą w jakiejś dziedzinie, choćby od pijawek.

Pan zajął się w końcu mazurkami. Ale nie od razu, bo najpierw były gawrony.

Z gawronów robiłem doktorat. Jeździłem na rowerze, zatrzymując się na widok każdego czarnego ptaka. Liczyłem ptaki, notowałem ich lokalizację i zachowanie. Gawrony to były ptaki polityczne. Chruszczow, zachwycony obfitością upraw kukurydzy w Stanach Zjednoczonych, chciał ją siać w całym bloku wschodnim. Polska również miała się stać kukurydzianym rajem. Sęk w tym, że wszystko, co wykiełkowało, wyjadały gawrony. Miałem nadzieję, że uda mi się znaleźć sposób ochrony tej kukurydzy, a tym samym uda się zapobiec eksterminacji ptaków. Potem na szczęście Chruszczow przeminął, a gawrony zostały.

Z mazurkami też były problemy.

Jeszcze w Skawinie wyjadały mi wszystko z karmnika. Na jego potrzeby hodowałem słonecznik, ciotka miała konopie i proso, ale jak wlatywał taki mazurek, to siedział, aż się najadł, a bogatki i modraszki musiały obejść się smakiem. Miałem do mazurków negatywny stosunek, uważałem je za szkodniki.

Jak Mao, który kazał masowo je tępić, bo wyjadały zasiewy ryżu.

Proszę pana, na całym świecie naprawdę miewamy problemy z ptakami. W Afryce jest gatunek, który długo decydował o wielkości ludzkiej populacji! To był wikłacz czerwonodzioby, który zjadał wszystko to, czego człowiek nie ochronił. Oglądałem wikłacze w parku narodowym w Kenii na zaproszenie FAO, Organizacji Narodów Zjednoczonych ds. Wyżywienia i Rolnictwa. Wysłali mnie tam jako eksperta. Dwanaście organizacji międzynarodowych próbowało z tymi ptakami walczyć. Stada miały po sto milionów osobników. Jak pan widzi, w Dziekanowie Leśnym, w Instytucie Ekologii PAN, rozstrzygaliśmy również niektóre problemy Afryki. Albo Azji. Mało kto wie, że w Azji Środkowej, w Turkmenistanie, Kazachstanie, są duże populacje wróbla śródziemnomorskiego i domowego, które na zimę lecą do Indii, czyniąc ogromne szkody w rolnictwie.

Ale wróćmy do mazurków.

Tak, na studiach znalazłem się w grupie profesora Romana Wojtusiaka, który na przykładzie dymówki i mazurka badał orientację przestrzenną ptaków, tzw. *homing*. Wywoziło się dymówki np. do Gdańska, obrączkowało, a potem dyżurowało przy gnieździe. A ja pilnowałem gniazd mazurków. To było moje drugie zetknięcie z tym gatunkiem, o wiele lepsze niż pierwsze. Trzecie przydarzyło się dlatego, że mi nie wyszło z trznadlem.

Jak to?

Z trznadla chciałem się habilitować. Jeśli zna pan Puszczę Kampinoską, to pan wie, że po wojnie było tu o wiele więcej wyrębów i młodników. W efekcie powstały fantastyczne warunki dla trznadla – otwarty teren z pojedynczymi drzewami i krzewami. Chciałem badać jego skłonność do tworzenia stad i zacząłem to robić pełną parą w 1959 r. U proboszcza w Radzyminie mama kupiła mi skuter, simsonka, miałem też siatki do łapania ptaków. Brałem drabinę, samczyka na wabia i jechałem w teren. W okresie jesienno-zimowym zaobrączkowałem tysiąc pięćset ptaków. Wiele łapałem wielokrotnie, w sumie miałem trzy i pół tysiąca złowień, tzw. retrapów. Problemy zaczęły się wiosną, kiedy trzeba było znajdywać gniazda. Zlokalizowanie jednego zajmowało mi trzy dni. Wykalkulowałem, że potrzebuję co najmniej dwustu gniazd. A to oznaczało, że habilitację robiłbym wiele lat. Trzeba było zmienić temat.

I nadleciały mazurki.

Obserwowałem stada mazurków pod Warszawą, między Łomiankami a Kazuniem. Miałem około tysiąca budek lęgowych. W sumie do 1974 r. zaobrączkowaliśmy jakieś 15 tys. mazurków. Lęg w każdej kolonii miał określony kolor obrączki. Wychodziły interesujące rzeczy. Mazurki gromadziły się w ścisłe stada, które funkcjonowały w jasno określonym terenie. Tylko około jednej czwartej ptaków czasem przenosiło się do sąsiedniego stada, a do trzeciego, operującego osiem kilometrów dalej, wyłącznie pojedyncze osobniki. Jeśli zaś spotkają się dwa stada i wymieszają, to gdy konkretny mazurek wystarczająco długo funkcjonował w swoim macierzystym stadzie, na jesieni i tak do niego wróci. Jeśli natomiast nie był z nim zżyty, to zostanie w nowym. Na 15 tys. zaobrączkowanych ptaków tylko dwa wyniosły się dalej. Jeden do białoruskiego Mińska, drugi do Brześcia.

Mazurki lubią się z wróblami?

Zależy od regionu. Tam, gdzie klimat jest morski, a wiosna pełznie powoli, rozjazd między początkiem lęgu wróbla do-

mowego a mazurka jest większy. O wiele mniejszy z kolei w Krakowie czy Nowym Targu, gdzie wiosna jak przychodzi, to na dobre. Jak wróbel zajmie budkę lęgową, to mazurek nie ma co robić. One oczywiście konkurują o ten sam pokarm, ale przez to zdarzają się mieszane stada. Kiedy zaczynałem badania, największe liczyły po pięć tysięcy ptaków. Teraz jeśli uda się panu zobaczyć naraz sto mazurków, np. tu w Łomiankach, to będzie cud. Będziemy rozmawiać o tym, dlaczego giną? Bo to nam zajmie co najmniej godzinę.

Teren, na którym pasłem krowy, to bagienna wówczas pradolina Wisły położona między Tyńcem, Skawiną a wsią Sidzina. Raj dla ptaków, gnieździły się tam czajki, cyranki, krzyżówki, bekasy kszyki i wiele innych gatunków.

Możemy spróbować, chociaż skrótowo.

Każdy najdrobniejszy postęp cywilizacyjny zabija ptaki. Hindusi robili kiedyś w Pendżabie badania z samochodami, sprawdzali śmiertelność ptaków na drogach, którymi jeżdżą auta stare i wolne, a potem wraz z postępem motoryzacji zamieniali je na szybko jeżdżące samochody japońskie i wykonali ponowne badania. Różnice były wymowne. W Londynie im biedniejsza dzielnica, tym więcej wróbli domowych. Nasza gospodarka śmieciowa też robi swoje. Wszystko pakujemy do plastikowych worków, więc śmietniki dla małych ptaków przestały istnieć. Grubość śniegu 10-20 cm uniemożliwia mazurkom zdobycie pokarmu. Przy takiej pokrywie śnieżnej staje się on ptakiem synantropijnym, żyjącym przy człowieku. W 1962 r. spadło trzydzieści centymetrów śniegu pod Warszawą, rok później populacja mazurków załamała się i od tamtej pory już nie odrodziła. Potem pojawiły się jeszcze herbicydy i trawniki. Trawnik to jest ekologiczna zbrodnia! Mazurki nie mają przez nie co jeść. Weźmy te Łomianki: nie ma już ogrodów, terenów ruderalnych, chałup, które mogłyby w zimie dawać schronienie, wydeptanych ścieżek.

A inne gatunki ptaków? Zauważył Pan na przestrzeni swojego życia jeszcze jakieś znikanie?

Proszę pana, takie gatunki jak kukułka, dudek, turkawka, pustułka były powszechne! Ze swojego tarasu mogłem obserwować bekasa kszyka i słyszeć bąka. Cztery gatunki perkozów i błotniaki. W Łomiankach był potrzeszcz, choć rzadki, i bardzo pospolity ortolan, lerka borowa. Na terenie obecnego cmentarza Północnego były liche pola żyta i ziemniaków, tam wówczas latały świergotki polne, na brzegu lasu gnieździła się dzierzba rudogłowa. Częste były kobuzy. W 1957 r. po raz ostatni widziałem sokoła wędrownego. W 1961 r. mieliśmy nalot dzierzby czarnoczelnej.

Świat ptasi jest dziś zupełnie inny. Dużo uboższy. Wiele gatunków ubyło, niektóre przeniosły się do miast. Jak wrony i kosy, które dawniej można było spotkać tylko w lesie.

Są jakieś gatunki, które podczas swoich podróży po świecie chciał Pan zobaczyć, ale nie zobaczył?

Trochę mi już nazwy gatunkowe wylatują z głowy, więc muszę się chwilę zastanowić. Wie pan, mogłem raz dziennie jeść, ale jak coś sobie zaplanowałem, to mi się to udawało osiągnąć. Kondora królewskiego widziałem, pingwiny widziałem, nawet trzymałem jednego na rękach, to było na Wyspie Stewarta w Nowej Zelandii. No dobrze, ale mogę też panu opowiedzieć, co mi się nie udało.

Poproszę.

W 1884 r. Władysław Taczanowski wydał opracowanie dotyczące ptaków Peru, w oparciu o materiały innych wybitnych biologów z Polski: Jelskiego, Sztolcmana, Kalinowskiego. W 1984 r. miała być setna rocznica, tymczasem parę lat wcześniej podczas wizyty w Muzeum Narodowym w Limie szlag mnie trafił, bo jedną z sal poświęcono znanemu ornitologowi, Niemce, ale już takiemu Jelskiemu, który muzeum tworzył, to nie. Powiedziałem wtedy dyrektorowi, że musimy zorganizować dużą międzynarodową konferencję poświęconą ptakom Peru i wkładowi Polaków w ich badanie. Muzeum miało przygotować ekspozycję i nazwać parę sal nazwiskami naszych badaczy. Mieliśmy przysłać piękne portrety w ramach z epoki, które wręczyłby ambasador. Program konferencji był gotowy, zaproszenia też.

I co się stało?

Nie wiem, po prostu sprawa ucichła. Pisałem, a oni nie odpowiadali. Wtedy nie było przecież telefonów komórkowych, żeby zadzwonić na drugi koniec świata.

Ale już wiem, o jakim ptaku panu opowiem. Zawsze bardzo chciałem zobaczyć tłuszczaki. Wie pan, co to za ptaki?

Nie wiem.

Wspaniałe, z wyglądu trochę przypominające lelka, i jedne z niewielu, które posługują się echolokacją. Gnieżdżą się w ciemnych jaskiniach, do których nie dociera światło słoneczne. Dla nauki odkrył je Aleksander Humboldt. Żyją wyłącznie w Ameryce Środkowej i Południowej, wszędzie są pod ścisłą ochroną. Nazywają się tak, a nie inaczej, bo dawniej Indianie wytapiali z nich tłuszcz. Pojechałem w 1978 r. tysiąc kilometrów od Caracas, żeby je zobaczyć, a raczej nagrać. Od początku lat 60. przygotowywałem pogadanki radiowe dla dzieci i koniecznie chciałem puścić im takie nagranie. Do ich siedlisk nie wolno wnosić żadnego sprzętu fotograficznego, na szczęście na godzinę przed zmrokiem udało mi się umieścić magnetofon u wejścia do jednej z jaskiń. Wieczorem wyleciały rzeką, tysiące ptaków jednocześnie. I te głosy mi się nagrały! Niech pan to sobie wyobrazi: ptaki, które poruszają się w absolutnych ciemnościach, wykorzystując zjawisko echolokacji.

© Rozmawiał ADAM ROBIŃSKI

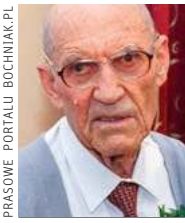

STANISŁAW MRÓZ / MATERIAŁY PRASOWE PORTALU BOCHNIAK.PL

PROFESOR JAN PINOWSKI (ur. 1930) jest ornitologiem. Przez pół wieku pracował w Instytucie Ekologii Polskiej Akademii Nauk, zajmując się przede wszystkim ptakami w krajobrazie rolniczym.

STANISŁAW

Mancewicz:
Szokujące zmiany

Wypada zacząć od wypowiedzi prezydenta Dudy przy okazji awantury o tzw. lex TVN. Powiedział on, że Amerykanie rozumieją po swojemu dwie rzeczy: prawo własności i wolność słowa. Oto amerykańska niewzruszona opinia jest taka, że własność to własność, a wolność to wolność. Amerykanie są w tych dwu sprawach – wedle prezydenta Dudy – uszyci z innego materiału niż pisowska nomenklatura i ichniejsi znawcy prawa własności i wolności. Jest to, rzec trzeba, w dzisiejszych czasach śliczna refleksja. Bardzo świeża, świadcząca o niemałej orientacji prezydenta w amerykańskim prawie i tamtejszej obyczajowości.

Warto rytmicznie przyklasnąć tym rozważaniom prezydenta państwa polskiego, bowiem nigdy niczego podobnie trzeźwego i słusznego z jego ust nie słyszeliśmy. Jesteśmy więc w tzw. pozytywnym szoku: ów prezydent bywa nie tylko odklejony, ale zdarzyło się właśnie, że jest oto przyklejony. Brawo. Opinie, z lewa, a zwłaszcza z prawa, że tym wyczynem prezydent chce wrócić do „polityki na serio", są świetne i świadczą o tym, że już od dawna nasz kraj przeżywa bardzo poważny kryzys bycia „nie serio".

Niestety, pozytywne zszokowanie nie może wynagrodzić nam od dawien dawna trwającej zgagi. Po pierwsze, powiedzmy i głośno, i poważnie, że jesteśmy przyzwyczajeni do najdziwniejszych reakcji polskiego społeczeństwa. Dziwnych pięknie i dziwnych wstrętnie. Drzemie w nas nieskrywany sentyment – choć z sentymentalizmów się głównie leczymy – do chwil, w których było tu dziwnie pięknie. Tymczasem popatrzmy, jak pechowo się złożyło i wciąż się tak składa, że słowo „solidarność", które było ongiś w Polsce słowem bardzo ważnym, a może najważniejszym, stało się słowem kompletnie nieważnym. Jest tylko symbolem dawnych triumfów, które dziś dla większości ludu są zdarzeniami z bardzo źle napisanego podręcznika szkolnego, i jest znakiem organizacji, która ma do niego prawo własności. Jest dziś także symbolem klasycznego polskiego nieporozumienia. Popatrzmy, że użycie słowa „solidarność", jako opis koniecznego, bo humanitarnego gestu wobec chorych i zmarzniętych ludzi, leżących teraz bez jedzenia na polskiej granicy państwowej, niesie ryzyko, a nawet pewność bycia nazwanym przez tutejszego ministra obrony idiotą. Pożytecznym idiotą. Nawiasem, ilość prawicowych działaczy używających cytatów z Lenina bądź określeń ze stalinowskiego wokabularza jest zastanawiająca. Chciałoby się, by katolicka prawica polska, zamiast zawzięcie wertować dzieła klasyków komunizmu w poszukiwaniu fajnych grepsów do użycia na konferencjach prasowych, otworzyła Katechizm Kościoła Katolickiego. Raz w tygodniu na dziesięć minut byłoby chyba wystarczająco.

W ferworze ostatnich wydarzeń, pośród najdziwniejszych interpretacji tego, co to jest wolność i własność, tego, czym jest solidarność, czym jest bycie człowiekiem albo idiotą – jak woli p. Błaszczak – nadeszła także szokująca informacja, że szykuje się rekonstrukcja rządu.

Mówiąc szczerze, nic się raczej na ciekawsze nie zmieni, poza jednym – przewidywanym odejściem Wiceprezesa Rady Ministrów, Przewodniczącego Komitetu ds. Bezpieczeństwa Narodowego i spraw Obronnych. Otóż teraz chcemy się popisać, też umiemy używać grepsów, albo je wręcz tworzyć. Krąży oto żarcik, że afgańscy talibowie w oczekiwaniu na tę zmianę wstrzymują nominację na analogicznym stanowisku w tworzonym właśnie rządzie kabulskim. Jest to szokujący greps – popatrzmy – i śmieszny, i nieśmieszny. Jak wszystko tutaj. ©℗

BARTOSZ MINKIEWICZ

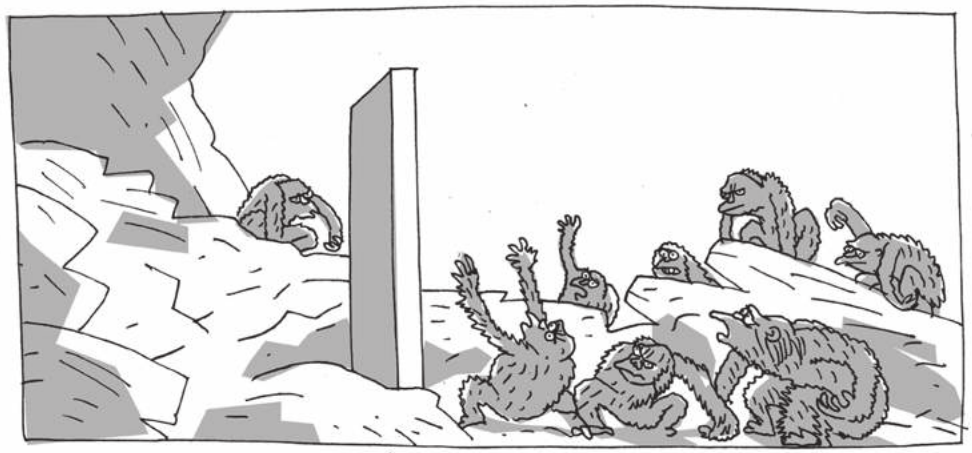

WIZJONERSKA SCENA Z FILMU 2001 ODYSEJA KOSMICZNA UKAZUJĄCA POLITYKÓW ODDAJĄCYCH CZEŚĆ SONDAŻOWEMU SŁUPKOWI.

JUŻ CZAS!

na wschód, zachód czy w Polskę w podróże na bieguny

w reportażach, esejach, bizarach, wywiadach zabiorą Was autorki i autorzy „Tygodnika”

Kup Tygodnikowy „Atlas miejsc niezwykłych. W drogę!”, usiądź i podróżuj wygodnie!

OGŁOSZENIE WŁASNE WYDAWCY / FOT. AGNIESZKA CYNARSKA-TARAN

TYGODNIK POWSZECHNY

FUNDACJA TYGODNIKA POWSZECHNEGO

PARTNERZY WYDANIA:

Albatros

LOGOS TRAVEL MAREK ŚLIWKA

REKLAMA

Największy festiwal filmowy w Polsce

f MillenniumDocsAgainstGravity

mdag.pl

Millennium 18th DOCS AGAINST GRAVITY FILM FESTIVAL

3—12.09

Warszawa · Wrocław
Gdynia · Poznań · Katowice
Lublin · Bydgoszcz

16.09—3.10

online → mdag.pl

MECENAS FESTIWALU

Millennium bank

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY W CE WARSZAWA

PROJEKT WSPÓŁFINANSOWANY PRZEZ UNIĘ EUROPEJSKĄ

Kreatywna Europa media

WSPÓŁFINANSOWANE

POLSKI INSTYTUT SZTUKI FILMOWEJ

DOFINANSOWANO ZE ŚRODKÓW MINISTERSTWA KULTURY, DZIEDZICTWA NARODOWEGO I SPORTU POCHODZĄCYCH Z FUNDUSZU PROMOCJI TWÓRCZOŚCI

Ministerstwo Kultury Dziedzictwa Narodowego i Sportu

WSPÓŁFINANSOWANE

TVP DOKUMENT

ORGANIZATOR

ORGANIZATOR

OKONAKINO

PARTNERZY

PATRONI MEDIALNI